

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom czterdziesty piąty.

MATKA KRÓLÓW

(CZASY JAGIEŁŁOWE).

PRZEZ

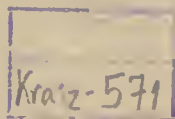
J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

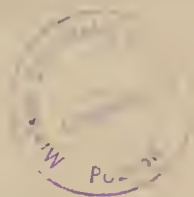
WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1890.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Января 1890 года.



W roku 1421 zamek wileński dolny i górny, samo miasto i okolica wcale inaczej stały się oku podróznego, niż przed laty kilkudziesięciu, nim krzyż zapanował nad tą stolicą, a Litwa połączyła się z Polką. Z ramienia Jagielly, siedział teraz Witold na Wilnie, lecz on raczej panował Polsce i jej królowi, niż Jagiello jemu.

Siła ducha i przewaga były po stronie syna Kiejstutowego... Starzejący król bawił się zawsze namiętnie myślistwem, lubił długo siedząc za stołem, lub wylegając się na łożu słuchać wesołych rozmów swego dworu, który po monarszemu obdarzał, ale rządy go nudziły. Chętnie uciekał w lasy, aby się od ich ciężaru uwolnić, i zdać je na senatorów świeckich i duchownych.

Miał się też kim wyręczać. W Wilnie i na Litwie zastępował go Witold, w Polsce Leliwy i Topory, z pośrodku których występował już chcący władzę ująć w silne dłonie, przodujący rozumem i charakterem Zbyszek z Oleśnicy, ten który pod Grünwaldem w rycerskiej zbroi stał jeszcze przy Jagielle i broniąc go od napaści Dypolda Kykieryca, pierwszy zadał mu cios śmiertelny.

Szybko potem z tego nadwornego pisarza Zbyszka

urósł Zbigniew wielki, jeden z tych mężów, co się rodzą do panowania i kierowania ludźmi. Czekala nań już krakowska infuła.

W ciągu następnych lat panowania Jagiełłowego, między Witoldem a Zbigniewem rozegrywa się dziejowy dramat połączonej z Litwą Polski.

W potężnej prawicy litewskiego księcia, jak wszystko, tak i Wilno urosło, obwarowało się, przyozdobiło prędko.

W miejscu starej świątyni pogańskiej stał kościół katedralny, wieżyca nieforemna Światoroha za dzwonicę mu służyła. Kilka krzyżów po nad świątyniami ebrześcijańskiem i wznosiły się tu i owdzie wśród poziomych dachów domostw drewnianych.

Oba zamki wzmocnione mogły się teraz skutecznie opierać napaści krzyżowych rycerzy, ale potęga ich zlamana była i lękać się tu nie potrzebowano nowego oblężenia.

Zamek górny opatrzony lepiej, przedstawiał się jeszcze mniej więcej podobną, nieforemnych dość murów gromadą, jak przed laty. Dolny się znacznie odmienił.

Ściany i baszty, które go otaczały, już nie prości murarze nieświadomi swej sztuki i dzikich kamieni, ale mistrze budownicz y z Niemiec i Polski sprowadzeni przerobili i upiększyli czerwonymi wysadzając cegłami, na wzór grodów krzyżackich.

Tak samo jak do koła miasta, grube mury w pewnych odstępach jeżyły się niższymi i wyższymi wieżami i basztami. Warowne bramy broniły wysoki, z których przystępu do nich mógł oblężony nie dopuścić. Kopane rowy głębokie zbliżyć się do nich nie dawały.

Po za okólnymi mury miasta rozlegały się przedmieścia w ogrodach, zasiane uboższymi chatami. W pośrodku miało już Wilno powyznaczane ulice, rynki, targowiska, przy których szybko wznosiły się budowle z cegły i kamienia.

Przeważały jeszcze domostwa drewniane, ale i te już, na wzór polski, powiększać się i do góry dźwigać zaczęły.

Na zamku Witoldowskim widać było ład i zamożność, a surowe rządy tego człowieka co czas miał na wszystko, wglądał sam w rzecz każdą i nie dopuszczał samowoli nieczyjej.

Przy niem też nie widzimy nikogo, coby śmiał i pokusił się wyręczać go i zastępować. Nie rządzi tu ani duchowny ni świecki ulubieniec, nie ma wpływu żona, nie wyzwalają się słudzy, Witold wyręcza się małemi urzędnikami, którzy sami przez się nic nie mogą.

Zamek nie odznaczał się teraz powierzchownością zbyt wytworną, oczy porywającą, ale rozmiary jego, krzepkie mury, gęste straże, w milczeniu i karności trzymana służba i załoga, oznajmywały, że tu stolicę swą miał potężny pan, przed którym drżeli i szanować go musieli wszyscy.

Nie było prawie dnia, któregoby jakieś poselstwo nie zawitało na zamek dolny, gdzie książę ciągle przebywał. Górny służył za zbrojownię, skarbiec i więzienie.

Szeroko rozpościerały się gmachy książęce, mieszkania urzędników, dworu, czeladzi, łaźnie, piekarnie, izby dla dworskich rękodzielników i stajnie, na których zawsze kilkaset koni pogotowiu stało.

Za zamkiem ku rzece, kiedy dawniej zapewne las być musiał, bo ten otaczał miasto za Olgerdowych lat, za Gedyminowych, stały jeszcze drzewa stare i zarośla, stanowiące rodzaj ogrodu, w którym czasu letniej spieki, schronić się było można.

Zwykle tu starsi urzędnicy dworu, niekiedy kobiety przy boku wielkiej księżnej zostające, przechadziły się w różnych dnia porach, nazbyt od zamku nie oddalając, bo u Witolda wszyscy i zawsze na zawołanie być musieli.

Właśnie jednego pięknego, ciepłego, jesiennego

poranku pod rozłożystymi drzewami w zamku, zabawiła się zbiegła z teremów księżnej Julianny, drngiej żony Witoldowej gromadka kobiet, w większej części młodych, której dziewczę nadzwyczajnej piękności, wysmukłe, czarnobrewę, z oczyma młodością, gorejącemi, tryskającemi życiem, przodowało.

Śmieszki i urywane piosenki słyhać było pod drzewami, ale mężki dwór księcia zbliżyć się nie śmiał tam, gdzie same były niewiasty, które Julianna surowo trzymała, poglądał tylko, chciwie je ścigając oczyma.

W pośród tego wesołego dziewcząt i starszych pań grona, rozmaicie poubieranych, na ruski, polski i niemiecki sposób, postawą, wdziękiem, i śmiałem a rozkazującym obejściem się rej wiodła, w pełni wiosennego rozkwitu, wesoła, hałaśliwa, roztrzępota czarnobrewa. Wszystko szło za nią i jej słuchało.

Ubiór dziewczęcia powszedni, zbyt wykwinny nie był, choć na chęci ustrojenia się nie zbywało zalotnemu wyrostkowi. Można było z niego sądzić, że więcej pragnęła się ustroić niż mogła. A to co miała na sobie zręcznie dobranem było, aby pokryć co zbywało.

Cały orszak wiodła przodując mu, podskakując, białemi rękami wskazując na drzewa, ciesząc się już zabawie, do której ciągnęła je za sobą.

Nawykła była snadź prowadzić swe towarzyszek i rozkazywać im, bo na skinienie jej wszystkie rzucały się posłuszne...

Pod drzewami, na grubych ich gałęziach, widać było zawieszoną prostą, z mocnych nici w sznury skręconych, z deską na nich przywiązaną, huśtawkę.

Ku niej biegiem, który do płaśów był podobnym, niekiedy w kółko się obracając i śmiejąc, dążyła śliczna czarnobrewa, a biegnąc nie dawała zamknąć się ustom, i każde jej słowo chórem wesołym odzywało się między towarzyszkami.

Sukienka zielona bramowana złotem, ale dobrze

wytarta, białe rąbki, na czole przepaska, naszyjnik cienki z wiszącymi na piersiach kółkami, tak umiała nieść na sobie, jakby ją klejnoty okrywały... Na małych bosych nóżkach miała trzewiczki jak suknia zielone, lecz od używania spłowiałe.

Zbliżywszy się do huśtawki, dziewczę raźnie na nią skoczyło, pochwyciło dwa grube sznury, na których wisiała i śmiejąc się, wykrzyknęło.

— Hej! do roboty! hej! A rzucajcie mną wysoko, pod same obłoki! po nad drzewa, nad wierzchołki... aż do gwiazd, pod niebiosa...

Starsza niewiasta, z twarzą bladą, przeciągniętą, z zagasłymi oczyma, uśmiechniona łagodnie, ubrana ciemno, z krzyżem na szyi, tuż przy huśtawce stojąca, przerwała cicho.

— Oh! kniahinko ty moja! Tobie się chce tak wysoko, a kto pod obłoki lata... spadać na ziemię musi... Lepiej po niej chodzić spokojnie. Od huśtawki się głowa zawraca.

— Ja bo lubię, żeby mi się w głowie kręciło, wolę wir niż martwą ciszę. Hej! hej! huku, wrzasku, biegu, lotu dusza pragnie, a tu taka w tych murach niewola!

I spozierając na zamek skrzywiło się wyraziście, jakby mu ją wyrzucało.

Dwie służebnice już z tyłu wzięły były sznury, któremi huśtawkę rozkołysać miały, ale starsza stojąca przy niej, wstrzymywała. Rozmowa była nieskończona. Księżniczka też już nie nagliła.

— Oj ty, ty ptaszku co ci skrzydła urosły — mówiła dalej stara. — Latałoby ci się latało, aż gdzieś sokołowi we szpony...

— Bodaj sokół pochwycił i rozdarł, lepiej niż tak gnić za krosnami, a słuchać...

Tu przerwało nagle.

— Nie strahaj mnie Femko, nie strachaj i nie wróż tak źle.

— Ja nie wróżę, bom nie wieszczbiarka, tylko przestrzegam — odpowiedziała smutnie Femka.

Księżniczka ciągle na huśtawce siedziała.

— O! jabym bardzo chciała, żeby mi kto kiedy powrózył — dodała czarnobrewa. — Na prawdę, Femko. Nie umiesz ty? Jam taka mojej przyszłości niecierpliwa i ciekawa.

— Ona tylko Bogu wiadoma — odparła Femka, a przyjdzie aż nadto rychło... Co przeznaczone nie minie.

Wtem jedna z towarzyszek księżniczki zbliżyła się do huśtawki.

— Do wróżenia—odezwała się z minką poważną, w której się głęboka wiara malowała — niema jak ta stara Mecha. Ona! co tylko której przepowiedziała, wszystko się ziściło.

— Mecha? a gdzież tej Mechy szukać? — westchnęło dziewczę. — Dałabym jej chętnie podarek..

Spojrzała po sobie, pomyślała i uśmiechnęła się gorzko, może przypomniawszy, że niewiele co dać mogła.

— Gdzie jej szukać?—wtrąciło żwawo dziewczę.— Mecha teraz zawsze siaduje pod kościołem. Wszyscy na nią mówią, że poganka jest i że dlatego tylko od drzwi kościoła nie odchodzi, bo tam dawniej ten ogień wieczny się palił, któremu ona posługiwała. Poganka nie poganka, ona wszystko wie, czyta w wodzie, z twarzy, z ręki jakby z pisma klecha.

Księżniczce aż rumieńce wystąpiły na twarzycekę.

— Zuba, ty, dziecko moje, pierścionek mieć będziesz odemnie, tylko mi tu sprowadź Mechę. Mnie się zdaje, że jak ona wyprorokuje, to i prędzej przyłeci co nowego.

Femka jakoś przecząco głową kręciła.

— Czarownica! poganka—szepnęła—jeszcze urok jaki rzuci.

— Ja się tam uroku nie boję, krzyżyk pobłogo-

slawiony na piersiach noszę, a takbym tę zaklętą przyszłość znać chciała...

— A jak w niej co złego siedzi?—spytała Femka.

— No, to będę czekać złego, a odżegnywać!—dodało dziewczę uparte.

Towarzyszki jej szeptały pomiędzy sobą. Księżniczka ciągle na huśtawce siedziała. Biegła tak do niej, spragniona rozrywki, a teraz się już jej całkiem odechciało; myślała o czem innem! o przyszłości.

Skoczyła z deski, na której się była tak wygodnie umieszcila.

— No — zaśmiała się Femka głaszcząc ją po ramionach—a tak ci się chciało podlecieć w obłoki?

— Po cóż lecieć kiedy nie doleczę! — tęskno westchnęła dziewczyna—nogi przykute do ziemi.

Femka odwróciła się.

— Jabym już huśtawkę wolała, niż wrózenie. Trzeba z niej korzystać póki jest, bo kto wie? czy długo będzie. Wiecie, że nasz książę powiesić ją tu kazał, gdy u nas w odwiedzinach był król Jagiello.

— Ah! Cóż? stary dziad huśtać się kazał? — parsknęła księżniczka.

— Ale nie!! Tylko tak lubi patrzeć, gdy się dziewczęta i chłopcy wysoko huśtają*). Siadywał tu godzinami, mając z tego zabawę wielką. Oka z nich nie spuszczał stary.

Książę Witold umyślnie dla niego powiesić ją kazał, a teraz gdy się go nie spodziewa, albo księżna odcepić każe, aby nie było swywoli. Używajcie póki jest.

Zamyślona księżniczka znowu wskoczyła na siedzenie, porwała za sznury, spojrzała na swe służe-

*) Historyczne.

ne, i pogrążona w dumach jakichś, rzucać się w powietrze kazała.

Lecz, choć tak mileżąca o czemś marzyła, piękna jej twarzyczka wcale smutnego nie nabrała wyrazu, jak gdyby nie umiała czy nie mogła się zachmurzyć. Nadto była młodą, szczęśliwą, czy życiem upojoną.

Femka przyglądała się jej mileżąca, a niekiedy jak dziecku poklaskiwała rękami. Oczy księżniczki tymczasem zwracały się ciągle w tę stronę, z której obiecana Mecha przyjść była powinna.

Posłanej po nią Zuli, ani jej, widać nie było.

W tem Femka coś w dali palcem ukazała. Z za murów mignęła naprzód biała z pasami czerwonymi sukienka, potem szare płachty kobiety, która zdala wcale do żebraczki podobną nie była.

Ślusznego wzrostu, wyprostowana poważnie, cała białawą zasloną pokryta, która od głowy do stóp po niej spływała, szła śmiało niewiasta nie młoda już, której twarz ponura, pomarszczona postrach i poszanowanie wrażała.

Rysy jej niegdyś piękne, wiek uczynił groźnemi, tak się głęboko żal i boleść na nich wryły. Siwe, długie włosy rozpuszczone spadały jej na ramiona, a z pod płótna, które ją okrywało całą, widać było na czole zwiędły wianek z ruty i liści dębowych.

Był to znak dziewictwa i kapłaństwa starej Mechy.

Chociaż ją wiedziono przed oblicze księżniczki, wcale się tem nie trwożyła, szła krokiem pewnym, rzucając oczyma ciemnymi z pod powiek jakby płaczem zakrwawionych.

Zobaczywszy ją, księżniczka dała znak służkom i z niecierpliwością płochego dziecięcia, niedoczekawszy się nim rozkołysana zatrzyma się huśtawka, zuchwale skoczyła na ziemię. Femka blisko stojąca pochwyciła ją w objęcia.

Stara Mecha stała przed nią, ciekawie się przypatrując, a usta zaciskając coraz mocniej.

Niestrwożone groźnem jej obliczem, dziewczę zbliżyło się napastliwie.

— Dobra ty, moja — rzekło przymilającym się dźwięcznym głosem — będziesz ty mnie wróżyła?

Wejdałotka milczała potrząsając głową.

— A tobie na co wróży moje? — odezwała się żalobnie — albo to ci los nie wywróżył już przyszłości? Rodziłaś się na starym kunigasów zamku w Holszarnach, ojcowie twoi ludziom panowali i ty będziesz królować.

Potrząsała głową wpatrując się w piękną księżniczkę, która gorące w nią wlepiła oczy.

— Na co tobie wróży moje — dodała — kiedy krew wróży i liczko wróży?

Dziewczęta ciekawe cisnąc się do koła otaczały Mechę i swoją panią, wyciągały główki, przestraszane nieco, usiłując najmniejszy szept pochwycić.

Mecha opornie, z niechęcią i wzdraganiem odpowiadała księżniczce. Ta zdjawszy pierścionek z palca, bo nic innego nie miała do podarowania starej, podała go jej z uśmiechem, ale Mecha nie przyjęła. Zlekka odtrąciła jej rączkę, mrużąc smutnie.

— Tobie on, krasawico, będzie wkrótce potrzebniejszy.

Zarumieniła się księżniczka.

— Na co?

— A doczegożby były dziewczętom pierścionki, jeśli nie na to, aby ją mężczyznom dawały?

Cicho było dokoła, słuchano i czekano co dalej powie Mecha, ale ta spuściwszy oczy szeptała coś sama do siebie, czy do niewidzialnych duchów, i nie pędko głowę podniosła.

Twarz się jej całkiem zmieniła.

Wstąpiła w nią siła wielka, tak że dziewczęta od jej wzroku rozstąpiły się ze strachem.

— Męża tobie wkrótce swatać będą — mówiła proroczym duchem natchniona. — A będzie swatał cię taki, coby może rad sam wziął gdyby mógł. Koronę

ci włożą na czoło i panować będziesz, a lży tobie ona wyciśnie. I swat się wrogiem stanie. Nieszczęśliwa będziesz szczęśliwa... Królom matką, po królach sierotą, we łzach krwawych złożony chleb pożywającą niewiastą.

Wlepiła w nią oczy, długo patrząc, i sama do siebie mruczając coś niewyraźnie.

— Po co tobie pytać mnie było i ból ze mnie wyciągać? Nie mogę ja dać nic, tylko to, co mi duchy przyniosą. Nie mam swojego nic, nie wiem sama nic... Płynie wszystko zdaleka.

Zamknęła sobie usta dłonią chudą, pokłoniła się i zawróciwszy, żywo iść poczęła ku bramom.

Dziewczęta stały wszystkie jak wryte, a księżniczka, której lice się paliło, powtarzała cicho jeden wyraz.—Korona!—Ten dla niej zagłuszył inne.

Femka ręce załamywała.

— Co ta stara czarownica wiedzieć może?—szepnęła zbliżywszy się.—Dobrze, że poszła sobie, mnie dreszcze przechodziły patrząc na nią. Pewnie poganką jest.

Do huśtawki nikt już nie miał ochoty. Smutek powiał po wszystkich, nawet wesola księżniczka zachmurzyła się nieco i na bok odciągnęła Femkę.

— Plotła niezdarne rzeczy!—rzekła.—Korona! ja bym i korony nie chciała, bylebym ztąd wyjść mogła.

— Alboż ci tu źle—szepnęła Femka—przecie wuj kocha bardzo.

— A Julianna nienawidzi prześladowuje mnie za to!—przerwała księżniczka.—Dobrze mi było za życia rodzonej ciotuchny, a teraz mnie Witoldowa prześladowuje za to, że sama uwiędła, i że jej mąż woli patrzeć na mnie młodą, niż się swarzyć z tą babą!

Femka jej pogroziła.

— Tst! nie mówciel albo ja nie wiem o tem, nie słucham i nie patrząc.

— O, wuj bardzo mnie kocha — dodała księżniczka — czasem na przekorę żonie, ale i jego kochanie i jej nienawiść, już mnie zmęczyły. Radabym ztąd, rada w świat... Wróżka przecie rychło coś wróżyła...

— Łzy! łzy!—sama do siebie zamruczała Femka. Szły tak razem ku zamkowi krokiem powolnym. Słońce zachodziło za góry; była to godzina, o której na zamku wieczерzę dawano.

Książę Witold zwykle, gdy dostojnych gości nie przyjmował, sam siadał do nakrytego stołu, bo długo przy nim, jak Jagiełło, siedzieć nie lubił, nie pijał nic, jadł niewiele, oprócz wody napoju nie znał...

I ten czas przy stole nie bywał dla niego stracony, bo do obiadu i wieczery zwoływał zwykle którego ze swych pisarzy. Cebulkę lub Lutka z Brzezia, pisma sobie przyniesione czytać kazał i odpowiedzi na nie dyktował.

Rzadko bywał tak swobodnym, aby z księżną, która zgryźliwie sporzyć z nim nawykła, gniewając się, że jej wolą się nie rządził, i z piękną z piewszej żony siostrzenicą Sonką, którąśmy przy huśtawce widzieli, mógł razem biesiadować.

Książę lubił bardzo tę piękną Sonkę, może więcej niżby żona chciała, która o nią była zazdrośna i zbyć się jej z domu pragnęła.

Ale Witold, który rzadko dla kogo powolnym bywał, żonie się nie dawał zmusić do niczego. Tem przykrzejszem to jej było, że czasem Sonka jednym słówkiem wolę jego zламala, uśmiechnąwszy mu się, spojrzawszy na niego oczyma gorącemi. Jej jednak niekiedy ująć się dawał...

Dziewczę wiedziało o tem dobrze, że wiele mogło u tego, u którego nikt nie nie mógł, bo samo sprzeciwienie się wywoływało w nim opór żelazny. Korzystało z tego czasem zuchwale na przekór księżnie, ale w małych sprawach tylko. Witold grę te rozumiał i żonę gniewliwą wyśmiewał.

Niechęć dwóch kobiet rosła, a Sonka w powszedniem życiu złośliwej Juliannie ulegać musiała.

Wchodząc z dziewczętami na zamek Sonka i miała się do swoich izb zawrócić, gdy drogę jej zaszedł Michno, Witoldowy sługa i pokazując na drzwi, rzekł z pokłonem.

— Książ a pan do siebie was prosić kazał. Już po zamku wszędzie szukałem.

— Wieczerzał już? Księżna jest u niego? — zapytała.

— Nie — odparła sługa — właśnie siedzi u stołu, sam jeden jest, nawet pisarzów wołać nie kazał. Oprócz czeladzi niema nikogo.

Sonka, dawszy znak Femce i dziewczętom, śmiało sama do jadalni wkroczyła.

Izba to była wielka, w której i książę jadał gdy sam był i gości czasem mnogich przyjmował. Po staremu, nad murami jej sklepienia nie było, ale ogromne belki z prosta rzeźbione i malowane pułap okrywały.

Jedną ścianę niemieckim obyczajem zajmowały police piętrzące się wysoko, na których piękne misy, dzbany i naczynia różne na okaz były porostawiane...

Kilka większych i mniejszych stołów ciężkich, z ławami wyściełanymi, wzdłuż izbę przerywały. Wąskie okna zaszklone, z szybami w ołów oprawnymi światło skąpe rzucały. Przy jednym z nich Witold sam wieczerzał.

Nie przenosił on wzrostem owego wieku barczystych i rozrosłych rycerzy, miernie słuszny, ale silnie zbudowany, kształtny, zahartowany życiem czynnem, miał coś w postawie i obliczu, co go czyniło wielkim nawet wśród olbrzymów. Pociągła twarz wszystkich książąt litewskich nie była u niego piękną, ale znaczącą i siłą napiętnowaną. Jaśniała na niej duma człowieka, który wiele złamał i zawsze zwyciężał. Oczy ciemne patrzyły bystro, nakazująco, rozumnie, czoło nad nimi stało pełne, podniesione, jasne, usta miały wyraz wodza i pana.

Ani wiek, ani boje, ni więzienia i niewole, nie odjęły mu potęgi, którą wyniósł z kolebki.

Teraz był to już człowiek, który młodość zostawił za sobą, ale starym ani się czuł, ni wydawał.

Ubrany w kaftan ciemny podpasany po domowemu, bez ozdób żadnych, z włosiem długim na ramiona rozrzuconym, siedział w ręku trzymając kawał mięsa pieczonego i nóż. Niósł do ust ten posiłek, gdy Sonka się w progu pokazała.

Bystro spojrzął na nią.

— Sonka! — zawołał. — Kazałem cię szukać po zamku, gdzie się ty kryjesz po komorach, latawico? Myślałem, że bojar jakiś rozmiłowany poniosł cię już na rumaku, ale jabym się za nim w pogoń puścił może. Kto wie? albobym pobłogosławił na drogę?

— Doprawdy? — odparło dziewczę śmiało — tak ja dla was mało warta, że nie wiecie?

— Ale ty wiesz, sroczo zła, że ja na ciebie i twoje oczy paskudne patrzeć lubię — rzekł Witold — tylko, już mi się sprzykrzyło pilnować latawicy, która w gnieździe usiedzieć nie może. Wolałbym opiekę oddać innemu...

Sonka tymczasem, gdy to mówił, zbliżyła się do stołu, sparła na nim, i śmiało patrzała mu w oczy.

— A pocóżście mnie szukać kazali? — spytała.

— Żeby wylać — rzekł Witold, ale niezbyt surowym głosem, i z półśmiechem na ustach. — Wyrosły ci skrzydła, latasz i rwiesz się, szczególnie gdzie młodzież się kręci. Radbym się zbył, bo w końcu nie upilnuję, a lada złodziejowi bym cię dać nie chciał.

Sonka ramionami ruszyła, poprawiła włosy. Witold jadł spokojnie i mówił powoli.

— Żebyś ty przynajmniej wdzięczną była za to, że cię tu jako własne chowałem dziecko. No? skarżyć się na mnie nie powinnaś?

— Alboż się skarżę?

— Hodowaliśmy cię troskliwie, Anna na ręku nosiła.

Popatrzał na nią, ona wzięwszy ze stołu jabłko, gryzła ogonek jego w ustach zadumana. Coś jej po głowie chodziło.

Wtem Witold, poważniejąc stopniowo, rzekł do niej:

— Dość bajania. Sonka! słuchaj mnie dobrze chcę cię wydać za mąż?

Dziewczę krzyknęło, ale trudno było rozeznąć w tym głosie radość czy przestrah go wywołał. Oczyma zalotnemi a ciekawemi Sonka nic nie mówiąc, pytać się zdawała.

— Za kogo?

— Żebyś ty rozum miała! do nógbyś mi paść powinna, aleś ty na pół dziecko, pół latawica.

Dziewczę nogą tupnęło.

— Mówże za kogo??

Witold kazał czekać długo, ważył coś.

— No — rzekł — jak przystało, za starego...

Wzdrygnęła się księżniczka.

— Nie chcę.

— Bo rozumu nie masz — odparł Witold. — Lepszego dla kobiety męża nad starego nie ma; wy młode wodzicie ich, zdradzacie bezkarnie, a oni was po nogach całują.

— Nie tak mi pilno iść za mąż — skłamało dziewczę.

Witold się uśmiechnął i rękę podniósł do góry. Sonka rozśmiała się też trochę, ale wnet przybrała minkę seryo.

— Ty swojej woli nie masz, ja wiem co dla ciebie potrzeba — zawołał — ojca twojego zastępuję. On mi nad tobą władzę zdał. Otóż mnie wydać cię za mąż pilno, abys ty się sama nie oddała komu, gdy ci się głowa zawróci.

Sonka po dziecinnemu się śmiała. Książę chleb łamał niecierpliwie, napił się wody, pomyślał znowu.

— Wiesz, że ja twojego szczęścia chcę — rzekł poważnie. — Bezemnie ty wielkiego nie zrobisz losu. Ojciec za tobą wiana w ziemi nie da, bo go niema, chyba koszule i sukienki, a krasę mieć będziesz w posagu. Weźmie cię-li małe książątko na Ruś, to już dla ciebie szczęście. Kto wie potem jakie

losy cię czekają na małym gródku, z którego brat lub swat wyżenie lada dzień. Oto los twój, a będziesz rozum miała, ja ci takiego męża dam, któremu królowe swatają, ale... stary!

W tej chwili Sonce przyszło na myśl proroctwo Mechy i pobladła, miałaż się tak rychło sprawdzić przepowiednia jej z koroną i łzami?

Witold się rozparł na siedzeniu, jedną ręką bijąc o stół, a patrząc na dziewczę zaciekawione już więcej, niż przelekłe.

— Staremu temu, który już trzy żony miał — rzekł — jeszcze się czwartej zachciało. Jedną poślubił co aniołem była, długą, prostą kobietę, trzecią wziął wiedźmę rodem z piekła, a ja mu ciebie chcę dać czwartą, abyś była królową.. No, Jagielle polskiemu cię swatami!

Sonka tym razem krzyknęła głośniej, i oczy sobie zakryła białymi rękami. Na łzy jej się zbierało.

Nie widziała ona dawno króla Jagielly, ale słyszała o nim, że bardzo już stary był, że przy żadnej żonie wysiedzieć nie mógł, bo wolał, ze psy po lasach jeździć, niż pilnować domu.

Wiele więcej rozpowiadano o nim, jak zazdrośnym był, jak podejrzewał żony, a lada donosów słuchał. Trwoga ją ogarnęła.

— Stary! prawda! — dodał Witold — ale Sonko, ty co się stroić lubisz, bawić i śmiać, królową być, kazać sobie pokłony bić, na twarz padać przed sobą, nielepiejże jak na Rusi w pustym zameczku marnieć?..

Dziewczę zadumane, odjęło ręce od oczów powoli, słuchało z uwagą.

— Jagiello niemłody — ciągnął książę dalej — jeśli by na niego co przyszło, kto wie, Polacy ci mogą młodego męża wyswatać, aby Brandeburczyka, którego Jadwidze przeznaczono się pozbyć.

Królową być, warto coś za to zapłacić... Klejno-

tów i sukienek, których jesteś żadna, będziesz miała do syta, i ludzie ci się kłaniać muszą.

Dziewczę lży już otarłszy, potrząsało tylko ramionami i głową. Witold usiłował odgadnąć co dumiała i domysleć się nie mógł.

— Ja wiem, ty rozumiesz, że takiej doli odrzucać nie można—mówił znowu—ale ja cię też darmo nie posadzę na tronie, ty mi tam jesteś potrzebną i to będziesz podszeptowała staremu co ja tobie... Tyś moja być powinna, Sonko, jak byłaś dotąd, dzieckiem posłusznem...

Wszystko będziesz mi nie winna, i ja od ciebie wierności wymagać mam prawol

To mówiąc wstał Witold, popatrzył na swą wychowankę, stojącą w zamyślach i dodał.

— Idź—rzekł—pomyśl com powiedział, a potem padnij mi do nóg i podziękuj, bo choć ze starym, wielka cześć i szczęście cię czeka!

Ze spuszczoną głową, nie odpowiedziawszy słowa, Sonka zwolna wysunęła się z jadalni, a drzwi ledwie się za nią zamknęły, gdy drugie uchylono niecierpliwie, niewieścia głowa wyjrzała przez nie i księżna Julianna, która na podsłuchach stała, wtargnęła niespokojna.

Na widok jej namarszczył się Witold, domyślając, że rozmowę z Sonką musiała u drzwi pochwycić.

Księżna była słusznego wzrostu, ani młodą ni starą, średnich lat, niegdyś dosyć pięknych rysów, dziś twarzy zwiędłej i charakter zgryźliwy zapowiadającej niewiastą. Chciała jeszcze być piękną, a właśnie to staranie, strój zbyt wykwintny, wyraz zbyt dziewiczy, który sobie nadać usiłowała, czyniły ją nie-miłą.

Starła się też o rzecz niemożliwą, bo o panowanie nad mężem, który przy każdym z nią starciu rozjątrzony, zwykle na przekór jej postępował. Kończyło się to na łzach i na czekaniu.

Sonka, którą Witold lubił dla jej piękności i wesołości dziecięcej, znenawidzoną była przez Juliannę.

Pewnie chętnie za kogokolwiekbydaż wydać ją i pozbyć się z domu, było najgorętszem jej pragnieniem, ale widzieć ją królową, gdy ona sama była tylko wielką księżną i być zmuszoną uchylić przed nią czoła, tej myśli znieść nie mogła.

Gwałtownie, z oburzeniem malującym się na twarzy, drgającej od gniewu, przyskoczyła do Witolda, który stał zimny i nieporuszony jak posąg.

— Uszom nie wierzę—krzyknęła.—Ja nie wiem nic, ja niegodna jestem, abyś mi się zwierzył, a tę ulubienicę swą, siostrzeniczkę kochaną, chcesz posadzić na tronie!!

— Chcę i posadzę — rzekł książę krótko i dosadnie.

— Ja? ja? na upokorzenie moje! — zawołała Julianna—aby mnie urągała!!

— Tam gdzie ją umieszczę, ona mnie służyć będzie—dodał Witold.

Julianna rozśmiała się.

— Myślisz? tak ty ją znasz?—krzyknęła.—Ona nikomu służyć nie zechce, oprócz samej sobie, a na tobie, na mnie, na nas mścić się będzie za dobrodziejstwa!!

Załamywała księżna ręce, Witold stał zimny i obojętny.

— Tyś się z nią zawsze źle obchodziła—rzekł—boś była śmiesznie zazdrośną, może dla ciebie nie mieć serca, ale u mnie się od dziecka wychowała, i mnie musi być posłuszną.

Chwilkę pomilczawszy, dumnie dorzucił książę.

— A nie będzie słuchać, to tak ją z tronu ściągnać potrafię, jak na tron powołałem.

Łzy poczęły płynąć z oczów księżnie.

— Nie kłam—zawołała.—Chce ci się swoją ulubienicę widzieć wysoko. O! wiem ja, że ona ci miłsza

nademnie i nad wszystkie, ale pan Bóg cię skarze, zobaczysz...

Witold uśmiechnął się tylko pogardliwie. Czas jakiś łkała z gniewu księżna.

— Mnie na złość, na upokorzenie czynisz to — dodała.

— Nie dla ciebie, ani dla niej to czynię — zimno wtrącił książę — ale dla siebie, a to com postanowił, musi się spełnić. — Lecz nie lej darmo; com rzekł, to się stanie.

To mówiąc książę, który niemiłemu sporowi z żoną chciał koniec położyć, klasnął w ręce odwracając się od niej. Znak to był zwykły dla przywołania sług lub oczekujących pisarzy. Usłyszawszy go księżna, nie chcąc się wydać ze łzami, pobiegła skryć je do izb swoich. W przedsieniu stojący na zawołanie Cebulka wsunął się cichemi krokami.

Był to szlachcic a Polak razem z drugim towarzyszem, Lutkiem z Brzezia, dość już dawno służący Witoldowi, tak jak on chciał, aby mu służyło.

Sposobił się niegdyś, ubogie chłopię, do stanu duchownego, ale święceń jeszcze nie mając, tylko naukę potrzebną, gdy się zręczność nadarzyła, przystał do wielkiego księcia i teraz już o sutannie nie myślał.

Nie tak szczodry jak Jagiełło, Witold jednak nagradzać umiał, usług nie zapominając nigdy. Cebulka przebiegły, rozumny, łatwego a bystrego pojęcia człowiek, na swój stan uczony dosyć, używając wszystkich tych darów na korzyść pana, woli własnej umiał się wyrzec zupełnie.

Zgadywał księcia, rozumiał go łatwiej i lepiej niż inni, ale nie występował nigdy ani z własnym rozumem, ni z radą. Był narzędziem dogodnem i czemś więcej się stać nie kusił. Gdy Witold nim nie kierował, sam nie ważył się na nic.

Małego wzrostu, płci śniadej, rysów nieznaczących,

średnich lat człeczek, niepokąźny dla tych, co głębiej nie zajrzeli w oczy, niedający w nich czytać, Cebulka miał nieograniczone zaufanie pana i nigdy go, nawet niezręcznością, nie zdradził...

Milczał jak grób, nikt nigdy nie nie dobył z niego; z obcemi niechętnie mówił i mało, nie wygadał się nikomu. Gdy potrzeba było namówić, przekonać, podejść, zyskać, umiał być zręcznym i chytrym, lecz wszystkie te przymioty występowały u niego tylko na rozkazanie, a chowały się jak u ślimaka rogi na skinienie pana.

Dla Cebulki Witold tajemnic nie miał, lecz sługa nie wyzywał zwierzeń, we wszystkim zachowywał się biernie. To właśnie czyniło go księciu miłym.

Pisarz stał pokornie w progu.

— Jagielle więc zachciało się żony, czy Zygmunt mu ją i Barbara narzucają! — rzekł zwracając się do Cebulki.

— On sam wcale o niej wprzód nie myślał — odparł Cebulka — i nie żądałby jej pewnie, gdyby mu Zygmunt własnej córki nie swatał, zdrajca, a ponieważ ta dzieckiem jest, czeską królową wdowę mu rai. Po obu posagi! po jednej koronę, po drugiej wiano ze Szląskiem...

Wmówili mu, że jeszcze żenić się powinien!! — dodał ciszej Cebulka poruszając ramionami.

— Przecież gdy Jadwigę, córkę swoją Braudeburczykowi zaręczał — wyrzekł się już tej głupiej myśli ożenienia. Przecież zapowiedzieli w Rzymie, gdy Granowskę brał, aby tym ślubom koniec było — mówił Witold. — Wszystko to Zygmuntowe sprawy, on tu nam mąci i chce starego sobie zjednać, aby nim władał, wiedząc, że słaby jest... Mnie się lęka...

Nie można dopuścić, aby Zygmunt wpływ swój małżeństwem zapewnił; wolę sam ożenić Jagiellę.

Spojrzał na Cebulkę, który pytać nie śmiał. Witold przeszedł się po izbie, i stanął przed nim.

— Muszę mu siostrzenicę poświęcić; Sonkę mu dam, co sądzicie o tem?

— Nasi panowie, biskup krakowski i Zbyszko nie chcą żadnej żony dla niego.

— Właśnie ja dlatego mu ją dam — rzekł książę. — Przez nią będę zawsze pewnym Jagielly i im szyki pomieszam... Młoda jest, piękna, zapanuje nad nim łatwo, a posłuszną mi być musi!

Cebulka wyzwany aby się odezwał z czemś, potwierdził zdanie pana, lub uczynił uwagę jaką, zmilczał. Wiedział on dobrze, iż Witold nie zmieni zdania.

— Wygotuj list odemnie — rzekł po chwili książę... Zaleć mu w nim Sonkę, sam z nim pojedziesz do Krakowa. Jagiello pewnie pytać cię będzie, zachwalaj mu dziewczkę, niech się stary zapali do krakowicy. Sam na sam z nim, wprzód nim on to Zbyszkowi i innym zwierzy, nabij mu dobrze w głowę, że drugiej takiej na świecie nie ma, a z mojej ręki ją śmiało wziąć może.

Rozumiesz??

Sklonił się Cebulka.

— List gotuj dziś, zrana mi go czytać będziesz, a jechać potrzeba co rychlej, aby Aleksandra mu znowu jakiej drugiej Granowskiej nie dała... Jak tylko się dowiedzą, że mu świta ożenienie, zewsząd raść poczną dziewczęta i wdowy; a ja—ma-li żonę brać!—muszę tam swoją postawić przy nim...

Raz jeszcze spojrzął na Cebulkę, który nie potrzebował słów wielu, ażeby pana zrozumiał. Miał już odchodzić, gdy książę wstrzymał go.

— Z listem jadąc — rzekł — staraj się go nie w Krakowie, gdzie nad nim czuwają klechy, ale na łowach gdzie przydybać. Będiesz miał czas i swobodę dobrze mu Sonkę opisać?

Potem mu już jej z głowy księża nie wybija. Pośpiechu trzeba w tem, jak w każdej rzeczy; wyprzedzą nas, stracimy wiele. Jeżeli kiedy, to dziś mi należy mieć tam pomocnika, bo wrogów ze strachu codzień rośnie!!

II.

Księżna Julianna nie przysła dnia tego do wieczerzy, nie chciała się spotkać z Sonką, potrzebowała gniew swój wypłakać i myśleć nad tem, jak męża odwieść od raz powziętego zamiaru. Nigdy w życiu się jej to nie powiodło, bo Witold żadnej nie uległ, niewieście ani mężowi, nie wyrzekła się jednak nadziei i mimo doświadczenia, nieopatrzna niewiasta, zawsze najgorszego dobierała sposobu do pokonania męża, oko w oko stojąc z nim do otwartej walki.

Przy wieczerzy Sonka też siedziała niemając do jedzenia ochoty, łamiąc chleb w rękach bezmyślnie i wodę popijając; a jak tylko misy zdejmować zaczęto, wymknęła się do swojej komnaty, do której za nią stara piastunka Femka ciągnęła...

Od tej niedawnej chwili, gdy się tak po dziecinemu na huśtawce zabawiała, Sonka zdawała się jakby o lat kilka dojrzałą i starszą.

Padł na nią ten Witoldowy wyrok, którego spełnienia wiedziała, że nie uniknie, jak ostudzający wody strumień. Wszystko teraz walczyło w niej, poruszało się, ważyło. — Czuła, że musiała być inną.

Gdy zostały same, rzuciła się w objęcia Femki i zawołała płaczliwie.

— Moja stara! moja stara! a! jak rychło przepowiednia się ziściła!!

Femka przywiązana do niej jak do dziecka, zadrzęła wylekła.

— Boże! cóż się stało?

Ode drzwi, pod któremi łatwo je posłuchać było, Sonka przeprowadziła ją ku oknu. Tu sama siadła na zwykłym, ulubionem krześle, wysłanem z ubogim przepychem dziecka, które wszystko, co je otaczało, stroić chciało, uczynić pięknem, a nie miało czem.

Jak to siedzenie proste sukno okrywało, ale jaszkrawo szyte dla złudzenia oczów, tak dziewczę kornatka cała była strojna tem, co się w ten sposób użyć dało... kwiatki, pióra, szyte i bramowane z lichego płótna opony, dziewczę rozwieszało, tworząc sobie przepych, o którym marzyło.

Femka jej w tem i palcami i różnemi środkami domagała, ale nad obiema czuwało zazdrosne oko Julianny, która nie dopuszczała najmniejszego zbytku, aby dokuczyć znienawidzonej dziewczynie.

Stara piastunka przypadła na ziemi u jej kolan; zaczęły rozmawiać pocichu. Niejeden raz już doświadczyły, że je szpiegowano.

— Wuj mnie swata — drżącym głosem poczęła Sonka...

Przeżegnała się Femka...

— Daj Boże w dobrą godzinę — rzekła, ręce składając. — Przecież byśmy wolne były od tej.

Wskazała na drzwi palcem...

— A tybyś odetchnęła swobodnie...

— Ale mąż — oczy sobie zakrywając poczęła Sonka — dziad stary! ojcemby mi być mógł, lub...

— Kto? — przerwała piastunka.

Sonka schyliła się jej do ucha.

— Jagiełło!

Teraz Femka sobie oczy zakryła rękami drżącemi i pozostała tak długo milcząca, jakby się modliła

czy płakała. Tymczasem dziewczę zadumane odzy-skiwało moc nad sobą.

— Taka dola — rzekła śmielej — stary, ale król... i Sonka królową, a Julianna by się jej kłaniać musiała!

W oczach jej błysnęła duma.

— Królową będąc, nie chodziłabym jak tu w tych łachmanach — potrząsa zieloną sukienką wytartą — obwiesiłby mnie klejnotami!

Sparta na ręku Femka, nie jakoś nie odpowiedziała.

— O! dla jednej Julianny ja nie będę się wypraszala! nie. Wiem, że się ona zje ze złości. Ona księżną, a Sonka królową!!

I potrząsnęła za ramię wzięwszy piastunkę, domagając się odpowiedzi. Dumiała w sobie zatopiona Femka.

— Widziałas ty Jagiełłę? — spytało dziewczę...

— O! o! wiele razy i dawniej gdy jeszcze młodszym był i teraz — poczęła Femka przybita tą niespodzianą wiadomością.

— Straszny on jest?

— A! nie — westchnęła piastunka — dobry nawet a powolny i szczodry... ale...

Tu pokręciła głową.

— Trzy żony miał! — wyrwało się Sonce.

Milczały obie. Księżniczka zamyślona, znowu ją uderzając po ramionach rozbudzić się starała.

— Mów ty mi o nim! — zawołała — ale prawdę, wszystko, bo ja wiedzieć muszę, komu mnie dadzą i co mnie czeka.

Westchnieniem naprzód odpowiedziała Femka.

— Boże mój miły — odezwiała się — wszystko to jak sen chodzi po mojej biednej głowie!! Trzeba ci było wrózkę wyzywać! wczoraj jeszcze siedziałyśmy spokojnie, a dziś.

Przeżegnała się bojaźliwie i wnet dalej ciągnęła.

— Stary już, ale taki krzepki do łowów i w lasy,

jakby młodym był. Tylko twarz ma zgrzybiałą, a włos siwieje... Małomówny... pobożny... nieufny... O! nie wierzy kobietom! nie wierzy.

Zawahała się trochę Femka.

— Pierwszą żonę węgierkę miał, której pono do dziś dnia żałuje, i pierścionka jej nigdy z palea nie zrzuca, a córce, którą miał z drugiej dał jej imię. Mówią, że jak anioł piękna była, ale od ciebie, dziecko moje, nie kraśniejsza pewnie, i dobra też miała być... ale szła za Jagiellę przymuszona, ludzie powiadali, że innemu przeznaczoną była i kochała go... przymusili Polacy... szła za niego! Taka dola nasza; kochasz czy nie, wydadzą cię; darmo płakać, kiedy słuchać trzeba...

Oskarżyli ją potem przed Jagiellą, że się z tamtym pierwszym swoim widywała... aż sąd musiał być i przysięgali ludzie, a potwarca odszczekał pod ławą, bo łgał jako pies.

Westchnęła Sonka, a rączka dziewczęcia, które ją trzymało za ramię, zadrżała i twarzyczka, wyrażająca ciekawość, pobladła.

— Nic długo żyli z sobą — mówiła dalej piastunka... Zmarła ta pierwsza królowa... biedaczka...

— No? i prędko drugą wziął? — spytała Sonka.

— Coś rychło, bo mówili, że się lękał, aby go Polacy precz nie wygnali, więc wziął inną z krwi polskiej, po ich królu dawnym... Ta już mu nie tak była miłą...

Spuściła głowę Femka.

— Jak za pierwszej tak z drugą — dodała — nie siedział nigdy razem, ciągle w lesie. Na zamku on gościem, aby zatrąbili na łowy, uciekał w bór, a pojechał na zwierzę, to go często miesiącami nie było... Nie wszędzie królowę z sobą brać, musiała to tn, to owdzie po zamkach się tulać, czekać na swego pana... I tej ludzie nie darowali... prawili, że mu była niewierna.

— A on? — spytało dziewczę.

— On? wierzy łatwo — mówiła Femka.

— Uczynił jej co?

— Poświadczyli i tej, że niewinną była...

Po tej pono niebardzo bolał, gdy mu zmarła...
Wyswatała mu siostra trzecią...

Sonka Westchnęła...

— Śmiali się a gardłowali ludzie, gdy się z nią żenił, bo stara baba była i chora, a zła i zgryźliwa; co gorzej, że ona mu, słyszę, chrzestną matką była, a z taką jak z rodzoną żenić się nie godzi, ale, czego królom nie wolno? Naprzód się żenił, potem księży o pozwolenie prosił. Więc co robić mieli. Ludzie tej starej nie lubili, bo i prosta szlachcianka była i trzech pono miała mężów, nim się królowi dostała... gdy od ślubu jechali, wozy się łamały i w króla piorun bił, że omal z życiem uszedł...

Dosyćby mu trzech było — zakończyła piastunka.

Położyła jej Sonka palce na ustach...

Długo tak siedziały obie zadumane... Femka z płaczem poczęła ścisnąć ją za kolana...

— A! innego tobie trzeba było, sokoła białego, bohatera w złotej zbroi, ze słonecznem liczkiem, jak ty pięknego i młodego!

Sonka wpatrzyła się w okno.

— Z dolą nie wojować, ściany nie przebić głową — rzekła — Witold co powie, to musi się spełnić. Uczyni mnie królową...

Pochyliła się do piastunki, szepnęła jej w ucho.

— Ale powiedział mi, że ja słuchać go muszę i służyć mu powinienam! Królowa? (pokręciła główką). Nie! mnie ludzie będą słuchali... nie, nie ja drugich nawet wuja Witolda...

Nie!! nie! Na to za starego idę, abym rozkazywała, jemu i wszystkim...

Z przestraczem słowa te usłyszała Femka i przeżegnała się jak zawsze, gdy coś złego odegnać chciała.

— Wojuj ty z kim chcesz — rzekła — tylko nie z nim! On i z Jagiełką co chce poczyną i z panami

niemieckimi i z królami i książętą, bo mocny jest i rozumny. Tobie z nim nie walczyć, ani mu się sprzeciwiać! O! nie!

Nie odpowiedziała nic Sonka.

Noc nadeszła w czasie rozmowy, Femka poszła łóżeczko uścielać, i kaganek zapalić, a księżniczka została przy oknie, zapatrzona w nie, choć po za nim nie już widać nie było, oprócz kawałka ciemnego nieba upstrzonego gwiazdami.

Nazajutrz Sonka wstała mężną, pogodzona ze swym losem, stary mąż z koroną na głowie zwyciężył.

Spotkały się z Julianną, która nie rzekła do niej słowa, władzę swą tylko nad nią wywierała z surowością największą, jakby przeczuwała, że niedługo będzie trwała.

Witold przy żonie, oczyma zmierzył siostrzenicę, i nie rozpoczynał rozmowy, aż do wieczora, gdy samą ją spotkał...

— Widzę — rzekł z trochę szyderstwa — żeś sobie oczu nie wyplakała... rozum masz... Pamiętajże, com mówił wczora. Królową cię uczynię, ale musisz mi być posłuszną, a staremu to do ucha kłaść co ja każę...

Sonka bystro na niego spojrzała, zdało się, że od powiedzieć coś chciała, ale wstrzymała się. Książę odszedł...

Tegoż dnia Cebulka potajemnie został wyprawiony do króla, który naówczas w lasach około Łysej góry na łowach był.

Zręczny poseł, po drodze już, wstępując do grodków i miasteczek, języka starał się dostać o Jagiellę...

Wskazano mu miejsce około Słupi, do którego podążył, lecz tu już Jagiellę nie było... Pociągnął w lasy dalej, a Cebulka za nim, nie spoczywając po drodze. Chciał go mieć koniecznie wprzódty nim do Krakowa powróci.

Błądząc tak ledwie w Niepołomicach go napędził

Szczeńściem dla niego, lasy tu zwierza pełne, króla wstrzymały. Niebardo też rad powracał do swej stolicy, gdzie go spornemi sprawy zbyt nęcano, choć je zdawał chętnie na innych.

Obrachował się tak zrzęcznie Cebulka, iż pod noc, gdy Jagiełły się na zamku spodziewano, wyprzedził go...

Z duchowieństwa i panów, których się obawiał Witold, podczas nikogo przy królu nie było, dwór tylko łowczy mnogi i różnych ludzi wiele, co radzi byli z niewyczerpanej szczodroblowości dobrodusznego pana korzystać.

W izbie dla Jagiełły przygotowanej z taką prostotą, do jakiej on był nawykły, pościel już skórami zasłana, ogień na kominie niewielki, i jadło stało w pogotowiu, aby wygłodniały mógł się pożywić.

Z Krakowa kilku komorników z listami od rana siedziało.

Z nimi razem przysiadł się Cebulka na króla oczekując i rozmowom się ich przysłuchując. Sam on ledwie półsłowem jakim się odzywał. Dawał się im wygadywać, na zwierzenia się wyciągał, a pytany, zawsze mawiał, że o niczem nie wiedział.

Późno w noc łowy wróciły, wozy za niemi zwierza pełne i król dobrej myśli, a głodny, rad ogniewi na kominie, pieczeni na misie i Cebulce, który mu się do stóp kłaniał...

Z Litwy posła zobaczywszy, aż mu się w pomarszczonych powiekach oczy zaśmiały, bo i w Krakowie i gdziekolwiek był, za swą Litwą tęsknił zawsze, a co mu nią pachło, choćby wrogię było, ciągnęło urokiem niewypowiedzianym.

Tych braci, z którymi nieraz musiał krwawe staczać boje, nierad widział uciśnionych, a mógł podać im rękę, gotów był zawsze..

Zobaczywszy Cebulkę, śmiać się poezął do niego i siadając za stół, stanąć mu kazał podle; zaraz o Witolda, o Wilno, o wszystko rozpytywać zaczął, takie

nawet mieszejąc drobnostki, na które pisarz Witoldów odpowiadać nie umiał, lub nie śmiał. Rad mu był bardzo.

Cebulka póki dwór ich otaczał, z listem od pana nie zdradził się, pokłon tylko przynosząc. Jagiello się tego domyślił łatwo, i po wieczery na pościel padłszy, dwór odprawił, Cebulkę zostawiając przy sobie.

— Z listem mnie do waszej królewskiej miłości pan mój posłał, ale pisanie to tajemne jest — odezwał się pisarz.

— Mówże co w niem, boś ty je pewnie pisał sam — uśmiechnął się król.

— Boleje książe Witold bardzo — mówił Cebulka, że w. miłości niebezpieczeństwo grozi.

Król się podniósł spierając na łokciu, oczyma rzucił do koła.

— Co? jakie?

— Od rzymskiego króla — mówił pisarz — bo to pan wielce chytry jest, kłamliwy i obłudny, a cokolwiek czyni, tylko dla siebie, nie dla miłości czyjej.

— Witold go nie lubi! — wtrącił zadumany Jagiello — a przecie on mi wielkie ofiarował związki i korzyści.

— My o tem wszystkiem wiemy — przerwał z poszanowaniem Cebulka — ale jego się najwięcej bać należy, gdy takim dobrym się czyni...

Książe i o tem słyszał, a wie pewnie, iż rzymski król swatem chciał być.

Rozśmiał się Jagiello.

— Wie Witold wszystko — rzekł — tajemnicy z tego nie robił Zygmunt. Córkę mi był gotów dać, albo wdowę królową czeską.

— A w obojgu zdrada tkwiła — dodał Cebulka. — Córka jego dziecięciem jest, na które byś miłość wasza czekać nie mógł, nim dorośnie, czeska zaś królowa wdową jest...

— Witold nie chce, bym się ja żenił — przerwał

król — ja to wiem. No i biskupi i Zbyszek, wszyscyby mnie od małżeństwa chcieli odwieść. Mówią mi, że m stary, a ja się nie czuję takim zgrzybiałym, żebym żonki nie mógł brać... Witold...

— Książę Witold właśnie zdania jest innego — żywo zawołał Cebulka, — i owszem chce i radzi, abys się miłość wasza żenił.

Król spojrział zdziwiony mocno.

— Możeż to być?

— Tak jest, i z tem mnie posyła — mówił pisarz... Tylko Niemki, ani Węgierki, ani Czeszki, wam nie radzi, ale starym obyczajem Rusinkę.

Król zwrócił się cały ku Cebulce i oczy mu poweselały.

— Niechże mi taką da — rozśmiał się — ale nie starą babę, tylko miłą krasawicę... a wesołe ptaszę...

Pisarz dał królowi chwilę czekać i odezwał się głosem zniżającym.

— Własną siostrzenicę, Sonkę Holszańską, książę Witold swata i rai. Dziewka młoda i urody osobliwej, humoru wesołego, dobra i piękna.

Słuchał Jagiełło z wielce natężoną uwagą.

— Mów, mów — dodał — jak ona wygląda, bom ja jej nie widział od dziecka... Liczko jakie, a oczy?

Cebulka z wolna opisywać zaczął, znając króla, że mu piękność niewieścia nigdy obojętną nie była. Słuchał Jagiełło ciągle wesół, aż się zachmurzył nagle.

— Taka jak ta pierwsza, co jej pierścień na palcu noszę — westchnął — taka jak tamta nie będzie...

— Miłościwy królu, ci co ją i tamtą widzieli — rzekł Cebulka — poświadczą, iż jej nie ustąpi, a weselszą jest, czego wam potrzeba, abyście po trudach mieli rozrywkę i wytchnienie przy niej.

— A zdradzi mnie i ta? — wtrącił nagle król, wspomnieniem jakimś zachmurzony. — Jam stary, ona młoda, ludzie na piękność chciwi.

Potrząsł głową.

— Miłościwy królu — odezwał się Cebulka — Ru-

sinki znacie, one tego nie czynią. Wychowane są zdala od ludzi, w teremach zamknięte, bojaźliwe i skromne...

Milczał Jagiełło trochę.

— Z tem Witold posłał was? — spytał.

— Z jednym tem bo książę szczęścia waszego pragnie i radby was widzieć na starość...

— Jam nie stary — zamruczał król — ale o tem pomyśleć trzeba. Sonka!! Sonka!! Prawiem o niej nie słyszał. Nie swataliście mi jej wprzód.

— Bo niedorostłą była. Witold nie wiedział, że miłość wasza chce mieć żonę.

— Dlaczego bym nie miał chcieć — odparł król. — To człowiekowi przyrodzona... Tylko mi Zbyszek i biskupi bronią tego i Papieżem mnie straszą, ale gdy mu się pokłonię, stary ojciec da pozwolenie...

Mówią, że cztery wiele... ale z pierwszą krótkom żył, z ostatnią jeszcze krócej, a co mnie o nią nagryźli!

Mów jak Sonka wygląda?

Cebulka począł chwalić na nowo, czując że już wyobraźnię króla nią zajął i że mu jej niełatwo z głowy wybija. Król słuchał bardzo uważnie, a ilekroć pisarz przestawał mówić, wyczerpawszy pochwały, poruszał głowę i pomrukiwał.

— Mów jeszcze, co więcej?

Naostatek Cebulka mówić już nie miał co. Król się zamyślił.

— A będzie mnie ona miłowała? — westchnął ponuro, bo to młode, a ja już... nie taki...

(Unikał widocznie nazwania siebie starym).

— Jakżeby tak dobrego pana nie miała kochać i nie być mu wdzięczną, że ją wyniósł nad wszystkie inne! — rzekł pisarz.

Wpatrzony w pościel dumał Jagiełło. Myśl zaślubienia krasawicy zajmowała go mocno — westchnął ciężko i podniósł znużone już całodziennym trudem powieki.

— Witold sam lubi kraśne dziewczęta, z jego ręki brać niebezpieczno — odezwał się z półśmiechem. — Kiedy ją królową uczynić chce, pewnie mu miła...

Spojrzał bystro na Cebulkę, który żywo podchwycił.

— Miła mu jest, to pewna, ale jak własne dziecko, nie inaczej, boć to siostrzenica Anny nieboszczki.

Król głową tylko potrząsnął, obejrzał się po za łożę, po izbie dokoła, jakby się lękał, aby go nie podsluchano.

— Jabym rad Sonkę wziął — rzekł powoli wahać się — ale niemało z tem trudu będzie, nim mi klechy pozwolą. Oni się już domyślają, że mi swatają ze wszech stron, to też spokoju nie dają odwodząc od małżeństwa. Zbyszek sobie, a to uparty człek jak żelazo, niczem go nie zyskać i nie przeprzeć, Wojciech także krakowski biskup wtóruje mu, ale ten chciwy jest, z nim sobie poradzę. Naostatek ta gadzina, żmija ta, Ciołek, co na nieboszczkę moją takie srogie i ohydne pisał rzeczy... Ten znów gotów mnie zohydzić.

— Miłościwy panie — przerwał Cebulka — alboż nie jesteście królem? nie macie woli swojej?

Jagiello cicho parsknął i w dłoni ukrył śmiech.

— Ja? królem? — rzekł. — A już ci do dawania i obdarowywania tom ja król, kłaniają mi się gdy odemnie biorą, a no nie wiesz, Cebulka, że ja nie mogę nic... nic... Co tu za panowanie w tej Polsce? Tu biskupi i panowie królują, a król słucha... Co ja mogę? Psy i psiarzy w pole wyprowadzić, w lesie tom ja pan, a w Krakowie... z jednej strony Zbyszek, z drugiej Wojtek, z trzeciej Staszek, a Jaśko z Tarnowa, a Mikula z Brzezia, a wszyscy oni... Pojadę na Ruś, tam mi pokłony biją i mogą robić co chcą, a tu w Krakowie... daliby mi dopiero, gdybym swoją wolę chciał mieć...

— Miłościwy panie — szepnął niewyraźnie pisarz —

mnie się zdaje, że gdybyście mojego pana słuchali, a jego w pomoc wzięli, onby tę samowolę ukrócił i panowalibyście sami.

Jagiello głową potrząsnął znowu.

— Zapóźno—rzekł—z panami tutejszemi już dziś nie porywać się do walki. Tamci królowie co przedemną byli nadawali im pergaminów i pieczęci, tak, że już teraz oni od nas mocniejsi. Dobrze Witoldowi na Litwie, bo mu tam nie brużdżą bojary, a mruknie który, łeb mu zetnie, a reszta w mysze dziury się chowa. Tyś sam Polak, wiesz, że tu król wszystkim służy, a jego pilnują tylko.

— W sprawach państwa—odparł Cebulka—trudno na to radzić, kiedy to w prawo przeszło, ale gdzie o żonę idzie, co komu do tego?? Zabronić nie mogą ożenić się królowi.

— Ol ol — przerwał Jagiello — mądrzy to są ludzie, jak sami nie będą mogli, to posłą do Rzymu, ztamtąd jak stary Papa nakiwa mi, muszę milczeć, a ja go potrzebuję, bo bez niego bym tych mnichów krzyżowych nie zgniółł.

Głową począł kręcić. Cebulka milczał.

— Witold mi dobrze życzy—dodał—i ja go kocham jak rodzonego... ale on tym mnichom daje się wodzić i teraz im przeciw mnie pomaga, a družbę trzyma z niemi...

Zmieszał się nieco poseł, bo czuł słuszność tych zarzutów, lecz musiał bronić swojego pana.

— Miłościwy królu!—rzekł—nie waśni się książę Witold z Krzyżakami, ale przyjaźnić z nimi nie może. Pomni on, co od nich sam wycierpiał.

— Wrogami są i będą, choć się płaszczą przed nami—dorzucił król—a dla mnie wrogiem kto z nimi trzyma.

Cebulka rad był już odwrócić rozmowę, bo się zbyt stała drażliwą, przebaknął więc znów o Sonce, aby nie dać królowi mówić o Krzyżakach. Udało mu się to, i Jagiello poweselał zaraz.

— Cóż ja mam odnieść panu mojemu w odpowiedzi?—zapytał.

— Czekaj do jutra — rzekł król po namyśle. — Jedź ze mną do Krakowa, tam odpowiedź otrzymasz.

Rusinka mi się lepiej od innych uśmiecha, bo to swoja.. jak moja matka była, i z nią łatwiej, niż z temi niemkiniami, do których trzeba włosy smarować i jedwabie wdziawać.

Przerwało mu powtórzone westchnienie.

— Idź spać, Cebulka, bo i mnie się już oczy kleją... a nikomu nie mów o Sonce.

Z tem się rozstali.

Nazajutrz choć zapowiedziane były łowy w puszczy, zrana wstawszy, a raczej obudziwszy się, bo z łóżka rychło nie powstając, swoim obyczajem wylegiwał się Jagiełło, nakazano szykować się do Krakowa...

Żał było królowi lasów, bo miasta i życia w nim nie lubił, a na zamku się nie rad zamykał, jechał markotny, ale już mu ta krasawica Rusinka po głowie chodziła. Im młodszą ją opisywał Cebulka, tem chciwszym był na ten kąsek stary.

Przez całą drogę jednak myśleć musiał jak się o tem rozmówi z panami. Odradzali mu oui w ogóle spóźnione śluby, przy których uporczywie stał, a z duchownemi i baronami swemi sprzeczać się nie lubił i nie umiał. Przemogli go zawsze i wymową i uporem stanieniem przy swoim.

Największą miał obawę o Zbyszka z Oleśnicy, który od czasu, jak mu pod Grunwaldem życie ocalił, ulubieńcem się stał, a z ulubieńca groził być panem. Temu nie kosztowało nie prawdę powiedzieć choć przykrą królowi, żadnej słabości jego nie uległ nigdy, wyrzucał mu ją na oczy, i zyskać się nie dawał niczem.

Jagiełło się na niego często pogniewał, odprawiał

nadaśany, lecz wkrótce potem przywoływał i przepraszał.

Zarzucano królowi słabość, w istocie nie miał on potęgi i energii Witoldowej, lecz serce chrześcijańskie, zdolne pokrzywdzonego prosić o przebaczenie, i błąd swój wyznać.

Tej cnoty dał był Jagiełło dowód, gdy porywczo z Krakowa do Poznania przesadzonego biskupa Piotra Wysza, pod dozorem osłabionych władz na łożu śmiertelnem jechał sam o zapomnienie winy prosić.

Im powolniejszym był król, tem ludzie tacy, jak Zbigniew z Oleśnicy, większą brali nad nim przewagę.

Przybywszy do Krakowa Jagiełło, niecierpliwy, posłał zaraz na probostwo Św. Floryana po Zbigniewa...

Był to już w oczach wszystkich przyszły biskup krakowski, choć dotąd stolicę tę Wojciech Jastrzębiec zajmował. Oczekiwano na zgon pierwszego Prymasa polski w Gnieźnie, aby Zbyszka w Krakowie, albo w Gnieźnie umieścić.

Wojciech biskup krakowski, dziecię jednego z najstarszych rodów szlacheckich Polski, który wielkiem rozrodzeniem się już naówczas zubożałe w sobie liczył gałęzie, wyszedł był z małego, ale dobił się wysoko uczonością swą, teologicznem wykształceniem, którego w pismach zostały dowody, i powiedzmy też, wielką giętkością charakteru, właściwą tym, którzy do góry się wspiać pragną, a ciężkich o to bojów staczać nie chcą.

Nie był on przeciwnikiem Zbigniewa z Oleśnicy, lecz ani sługą jego, ni narzędziem być nie chciał. Powolniejszy od niego, królowi wbrew się nie sprzeciwił, w ostatecznych razach zdanie dawał dwuznaczne, niejasne... Naginał się do okoliczności. Młodszy od niego, a niezłomny Zbigniew, nie mogąc mieć całkiem po sobie, musiał baczność mieć na niego, bo i nauką i zręcznością był groźny.

O baj ci duchowni byli naówczas w tych stosunkach dwuznacznych, które na przyszłość nie wnosić nie dają.

Zbyszek z Oleśnicy był jeszcze biskupa krakowskiego podwładnym, szanować go musiał, a Wojciech czując potęgę ducha i charakteru w nim, przewidując przyszłe znaczenie, zawczasu go rad sobie był zaskarbić.

Powołany do króla Zbyszek, po drodze wstąpił do biskupiego dworu oznajmić, że Jagiełło powrócił.

Był naówczas Oleśnicki w sile wieku mężczyzną, pięknej powierzchowności, wybitnych rysów twarzy, zbudowany silnie, oczu wydatnych i wyrazistych, w obejściu się nprzejmy, lecz razem żywy i śmiały.

Starszy od niego biskup Wojciech, wejrzeniem tylko zdradzał umysłu swojego siłę, twarz zresztą przystojną, pociągłą, z ustami uśmiechającemi się na pozór dobroduszenie, umiał uczynić niewyrazistą, jakby nią potrzebował pokryć siłę ducha. Nie wydawał się z nią wcale... Wesołością, nieopatrnością, lekceważeniem prawie zbywał sprawy, których znaczenie nie uszło jego przenikliwości.

Ale nie życzył sobie, aby go miano za tak zręcznego i rozumnego jak był.

W Oleśnickim coś było wojownika i żołnierza, w Jastrzębcu przeważał ksiądz uniżony, łagodny, pokorny, ale widzący kryjomo wszystko.

— Pasterzu miłościwy — rzekł witając go porywczco dosyć Zbyszek. — Król mnie wzywa, powrócił narreszcie z tych wiekuistych łowów. Nie będziecie na zamku?

— Chcecie bym był? — z uprzejmym uśmiechem odparł biskup.

— Sądzę, że nas tam i dwu i więcej nie będzie nadto — zaczął Zbyszek — aby Jagielle z głowy wybić, co mu król rzymski w nią włożył, nieszczęsną myśl ożenienia.

Biskup Wojciech ręce załamał i głowę potrząsnął potwierdzająco, nie odpowiedział nic.

— Staremu na co się to zdało!—mówił dalej Oleśnicki. — Dla żony pewnie łowów nie rzuci. Wiek późny. Papięż rozgrzeszając go za ostatnie małżeństwo z Granowską, wyrażony położył warunek, że ono ostatniem być miało.

Mówił, a biskup słuchał z oczyma spuszczonemi...

— Tak—odezwał się łagodnie, widząc że coś odpowiedzieć było potrzeba — tak, jest to nieszczęście wielkie, które chytróści Zygmunta winniśmy... Musimy króla starać się odwieść, ale to nie przyjdzie łatwo.

Od towarzyszenia na zamek Wojciech się wymówił zrećźnie, Oleśnicki sam stawiał się na Wawelu.

Król już po rannym obiedzie, czekał na niego w dolnej izbie małej, sam jeden. Powitanie było serdeczne ze strony Jagielly, pełne poszanowania, lecz razem i powagi ze strony duchownego.

Król o ile mógł twarz rozjaśniał... Począł naprzód opowiadać o łowach swych i o zwierzu... Zbyszek słuchał cierpliwie... Kazał mu się król. Dla znajomego dobrze Jagiellę, było już jawnem, że się miała ważniejsza a drażliwa rozpocząć rozmowa. Domyślał się nawet jej przedmiotu Oleśnicki, lecz pierwszy rozpocząć nie chciał.

Jagiello począł od uściskania go.

— Pamiętam — rzekł wzruszony — żeś mi życie ocalił i życzysz mi dobrze, a mówisz prawdę, gdy inni się podlizują i pochlebstwy mnie karmią. Bądź mi tak wiernym i teraz.

Popatrzał milczącemu w oczy.

— Czemuś ty małżeństwu przeciwny? — wyjąknął wreszcie.

Zbyszek potrząsnął głową.

— Ani wam, królu mój, ani Polsce ono niepotrzebne—rzekł rzeczko.—Lat macie blisko siedemdziesięciu, nie wick to do wesela. Małżeństwo przez Boga

i kościół ustanowione jest dla utrwalenia rodu ludzkiego, a wy już potomstwa spodziewać się nie możecie...

Król się zatrząsł cały.

— Dlaczego? — zawołał szybko i zająkliwie. — Jam w lasach żył, życie mam mocne, siły większe niż wy, coście w murach zamknęci.

Zbyszek pomilczał nieco.

— Obyczaj wasz też nie stworzył do domowego pożycia z niewiastą.—rzekł.—Dla najmilszej żony nie poświęcicie jeszcze milszych łowów... Cóż wam po małżonce, która samotne dnie pędzić będzie musiała, gdy wy na Boże narodzenie do Litwy, w zapusty na Ruś, na Zielone Świąta pojedziecie w Mazowsze za zwierzem.

Rozémiał się król.

— Dacie mi taką, coby mnie umiała utrzymać przy sobie.

Zbyszek ramionami ruszył.

— Nie znam takiej, a to wiem—odezwał się—że Ofka owdowiała czeska królowa nie będzie dla was jakiej życzyście... Cóż dopiero innel

Król oczy spuścił i po chwili szepnął.

— Do Ofki trzeba posłać kogoś, coby ją zobaczył i poznał, a mnie sprawę zdał... ale ja nie upieram się przy niej... Rusinkę mi dajcie, taką jak moja matka była...

Odstąpił kroków kilka zdziwiony duchowny.

— Więc już nowego coś? — zapytał — nie króla rzymskiego swaty.

Uśmiechem i skinieniem głowy odpowiedział Jagiełło.

— Rusinkę hym rad poślubił—dodał.

Stał zadumany smutnie Oleśnicki.

— Nie wierzycie mi—rzekł—pytacie innych duchownych, miłośnicy królu, czy wam kto z nich, przeciw wyraźnemu wyrokowi Papieża małżeństwo doradzi...

Zakłopotany Jagiełło posłyszawazy to usiadł i spart się na rękę. Oleśnicki patrzył nań tak, jakby na dziecko napierające się czegoś, spoglądał z politowaniem i miłością razem.

— Nie chcecie, abym z rąk króla rzymskiego żonę brał—rzekł po chwili — no to mi pomóżcie do innej. Ja bez żony być dłużej nie mogę i nie chcę.

Witold mi swata siostrzenicę swoją.

Tego imienia dosyć było Oleśnickiemu, aby obudzić nieufność i zrodzić niepokój. Powstał z siedzenia poruszony, mruczając.

— Witold! Witold!

Jagiełło pilno patrzył na niego.

— Dziewczę młode i urodziwe—dodał.—Któż to wie! Bóg może łaskę mi uczynić i dać potomka. Nie lepiejże byście pana z mej krwi mieli, niż zięcia przybranego dla Jadwigi?

Zbyszek nie chcąc się sprzeczać, nie odpowiadał, w myślach pogrążony.

— Witold? — powtórzył po długiem milczeniu. — Niepojęta to dla mnie rzecz. Ja się go lękam i posądzam...

Żywo przerwał Jagiełło.

— Ja go miłuję—odparł.—Krew to nasza, a rodzina cała mi drogą... Mąż rozumu wielkiego i rycerz dzielny...

— Lecz, jak rycerz podbojów i panowania chciwy—wtrącił Zbyszek.

— Sonka dla mnie stworzona na żonę — ciągnął przebojem już idąc król. — Nasze Rusinki za kratą się chowają, zamknięte... Świata nie widzą, zabaw nie lubią, skromne są i pobożne... Nie tak jak wasze, chciwe wesela i śmiechu niewiasty. Takiej mnie właśnie potrzeba...

— Lat ma ile?—zapytał Oleśnicki.

Król mruczeniem tylko odpowiedział.

— Pół wieku różnicy, miłościwy królu, jeżeli się

nie myślę—podchwycił Zbyszek—któżby wam dobrze życząc radził małżeństwo takie, gdy wszelkie nawet ze starszą, niepotrzebne a grzeszne.

— Wolisz więc, bym miłośnice miał?—podchwycił żywo Jagiello.

Oleśnicki ramionami podniósł i odstąpił kroków kilka nie dając odpowiedzi.

Nowa ta myśl króla, zrodzona z podszeptu Witolda, zdawała mu się groźną, pilno było rozwiedzieć się, rozsluchać i uzbroić przeciwko niej. Wstał więc Zbyszek i nie wznowiając rozmowy o tem, króla pożegnał.

Jagiello idąc oczyma za nim nie zatrzymał go, został sam. W myśli już szukał sobie sprzymierzeńców przeciwko Zbyszkowi, którzyby popierali ożenienie.

Niedługo potem oznajmiono mu biskupa Wojciecha. Ten wcale inaczej się z królem obchodził. Jagiello bywał z nim swobodniejszym, śmielszym i weselszym, bo w nim nigdy nie znajdował tak surowego sędziego i nauczyciela. Wyszedł ku drzwiom przeciwko niemu z twarzą wesołą.

— Widzicie, wilki mnie nie zjadły — zawołał — i jam znowu w Krakowie. Jeden niedźwiedź miał ochotę mi pogruchotać kości, alem ja mu oszczep wbił pod łopatkę, i ani zipnął.

Mówiąc to król, ukazywał ruchem rąk jak przeciwnika przebódl.

Siedli wreszcie oba.

— Wy, mój ojczy, rozumniejsi jesteście od nich tu wszystkich — rzekł łagodnie z twarzą rozjaśnioną, zwracając się do biskupa Wojciecha. — Wy mi też powinniście prawdę rzec... Możeli to być Bogu nie-milem, gdy człek chce żonę wziąć i potomstwo mieć?

Biskup głowę spuścił.

— Owszem, kościół zaleca małżeństwo świeckim—odparł cicho—lecz... lecz...

— Lecz co, mój ojczy?

— Lecz małżeństwa bywają różne — odparł Wojciech z pokorą. — Wy sami, miłościwy panie, wiecie ileście przez ostatnie przecierpieli, a ja też, com wycierpiał od królowej nieboszczki, żem pieczęci przyłożyć nie ehciał.

— Po co to wspominiacie — rzekł zafrasowany Jagiello. — Przeszło to wszystko.

— Ale nauka została — dodał Jastrzębiec.

— Potomka nie mam — odezwał się król — prędko. — Pragnę go mieć, ożenić się chcę i muszę.

Biskup na tak stanowczo wyrażoną wolę króla, nie odpowiedział nic, dwuznacznie głowę pochylił, jakby się jej poddawał.

— Wprost wam powiem wszystko — ciągnął dalej król — Zygmunt mnie swata, a z jego ręki wy się boicie żony, no, to od Witolda siostrzenicę, Rusinkę gdy wezmę, cóż macie przeciwko temu?

Zdumiał się biskup tak jak wprzód Oleśnicki.

— Miłościwy królu — odezwał się po długim namyśle. — Ja ani radzić wam ani odradzaćbym nie ehciał. Nie widzę złego w ożenieniu, lecz i dobrego nie widzę, wiek wasz podeszły, papież ojciec nasz zakazał wam powtarzać śluby...

— Papież mi pozwoli — wykrzyknął król — do Rzymu poślę, rękę jego pocałuję...

Milezał już Jastrzębiec, ale twarz jego smutkiem się oblokła; król czekał nadaremnie odpowiedzi.

— Nie sprzeciwicie się? — zapytał.

— Duchownym jestem — odparł zwolna biskup — pod władzą rzymskiego papieża zostaję. Co on wyrzekł, dla mnie święte... radzić więc przeciw temu?...

Zzłymnął się Jagiello.

— Innegom się po was spodziewał — począł z wyrazem żalu — wiecie, żem dla was dobrym i łaskawym zawsze był, miłości też spodziewałem się nawzajem. Chcecie bym tak sierotą, sam jeden życia dokonał? Dziwujecie się, że mnie ciągną łowy, a cóż

na zamku robić będę? Rządzić mi nie dajecie, bo rządzicie za mnie sami; szczęśliwym być mi nie dopuszczacie.

Mówił niemal płacźliwie, a biskup siedział zadumany.

— Królu miłościwy — rzekł — co pomoże, gdy ja waszej woli sprzeciwić się nie będę? Nie ja tu jeden jestem... innych pytajcie. Zgodzą się oni, ja pewno nie oprę.

— Ze Zbyszkim mówiłem — wtrącił król — ale z nim!!

Nie dokończył.

— Mówcie wy z nim za mną—dodał—argumentami przekonacie go...

Ks. Wojciechowi uśmiech pobieżał po ustach.

— Oleśnickiego ani pokonać, ani przekonać jam nie zdolny — rzekł — powaliłby mnie na ziemię jak Kykeryca włócznią...

Jagiello dowcip ten znalazł trafny, rozśmiał się głośno.

— O! ten Zbyszek—zawołał—ten Zbyszek, com ja go sobie sam na moje utrapienie wychował i wyniosł... a teraz słuchać go muszę...

Ani przeciw, ani za, nie rzekł słowa biskup.

— Jak sądzicie?—dodał król—uproszę go ja, aby mi Sonki wziąć nie bronił?

Zamyślił się Jastrzębiec i szepnął głos miarkując.

— Tem tylko chyba, że mu żonę z rąk rzymskiego króla zagroziecie...

A po małym przestanku dodał poufnie.

— Jego wyślijcie aby Sonkę widział i sądził czy na żonę dla was przystała, jemu powiercie sprawę. Odrzucić nie będzie mógł, pojedzie... Któż wie, może skłoni się sam, albo Witold go potrafi zjednać...

Na tem skończyła się z biskupem rozmowa. Powstał, król także z siedzenia się poruszył i przystąpił ku niemu. Cicho skłoniwszy się mu do ucha, szeptać począł.

— Nie bądźcie mi przeciwni, nie zatrzuwajcie ostatnich dni moich. Krzyw wam nie byłem, nie bądźcie mi wrogami.

— Królu — podchwycił Jastrzębiec — my cię miłujemy wszyscy! a właśnie miłość ta przestrzegać każe...

— Mów za mną Zbyszkowi—nie dając dokończyć odezwał się Jagiełło i prowadził go do drzwi.—Mówcie mu, że mnie do grzechu prowadzić nie powinien...

Biskup się skłonił i jakby mu pilno było ująć od nalegań, co rychlej za próg ustąpił.

Gdy się to działo, Cebulka na uboczu siedząc, nie rad się pokazując, nie dając wiedzieć o sobie, patrzył i słuchał. Ani przybycie Oleśnickiego, ani odwiedzin biskupa oka jego nie uszły.

Późno w noc, gdy już król leżał na łożu swem w sypialni, i kaganek tylko nocny w rogu jej zapalony, izbę oświecał, Jagiełło z dwóch komorników swych, którzy u drzwi jego sypiali, jednego wyprawił po Cebulkę...

Obu potem precz do sieni oddalić się kazał.

Na palcach ostrożnie wsunął się pisarz aż pod łożo królewskie. Jagiełło sparty na jednej ręce, oczekiwał na niego.

— Jutro jedź z powrotem — rzekł niespokojnie—listu nie trzeba, Witoldowi powiedz, że ja Sonkę przyjmuję z jego ręki, a co ponowie na to powiedzą, radzi będą czy nie, nie dbam!

Wyraz ten wymówił z niezwykłą siłą.

— Ale tym królikom trzeba okazać choć, że oni też coś mogą! Ja swoje uczynię, a ich pogłaskać muszę.

Rychło więc pošle tam Zbyszka na oględziny, aby Sonkę widział i sam rzekł mi jaką ona będzie królową.

Zbyszka niech Witold przyjmie a ujmie sobie, niech pogłaszcze...

Tu król zniżył głos bardzo...

— W orszaku jego będzie człowiek z mojej ręki, co mi prawdę powie! Rozumiesz.

Skinął ręką.

Cebulka stał z pochyloną głową.

— Zanieście pozdrowienie swemu panu — dodał król — i powiedźcie, że mu dziękuję, a będzie-li z jego siostrzenicy żona dobra, zawdzięczę mu — i miłować ją będę... i raj jej tu uczynię... a wyniosę jak żadną...

To mówiąc król, który nigdy posła ani gościa bez podarku nie odpuścił, przygotowany worek ze stołu pochwycił ręką drżącą i śmiejąc się dał go Cebulce, który kolana jego ścisnął i całował.

— Aby ci w drodze zbytnio nie ciążyło, konia kazałem dać z mojej stajni.

Jedź z Bogiem!

III.

Jednego zimnego poranka, orszak z kilkudziesięciu koni złożony, a wozów parę wiodący za sobą, ukazał się w bramie Wilna i wywołując ciekawych z domostw po drodze, wprost się kierował ku zamkowi.

Obyczajem ówczesnym jechali wszyscy konno, bo choć kolebki i pałuby a wozy kryte używane były, służyły one wyłącznie dla chorych, kobiet i uiedo-
łężnych starców.

Wszyscy nie wyjmując duchownych, odbywali podróże wierzchem, wstydząc się kazać wieść na kołach lub saniach, które tylko pod ciężary służyły.

Zbyszek też z Oleśnicy, ze swym orszakem z Krakowa do Wilna zdążał konno, a namioty jego i sprzęt wozy niosły.

Król, pod pozorem, aby dworowi posła dodać świetności, pomimo oporu Zbyszka, swoim komornikom kilku kazał się do służby przyłączyć.

Nie zbyt chętnie podróż tę podejmował proboszcz św. Floryana, przeciwko przekonaniu i woli swej, ulegając prośbom Jagielly, a w ostatku przenosząc już małżeństwo z Rusinką, niż jakiegokolwiek związanie się z chytrym, przewrotnym, niebezpiecznym królem rzymskim, który słabość Jagielly i dobre serce jego miękkie poznawszy, rachował, że je potrafi wyzyskać.

Bądź co bądź, wpływ Witolda przez siostrzenicę, jakkolwiek panom polskim niemiły, skuteczniejszym oporem i czuwaniem można było osłabić... Miał więc król zawrzeć to czwarte małżeństwo, któremu wszyscy byli przeciwni; wolano już w ostatku Sonkę, niż wdowę po królu czeskim lub inną powinowatą Zygmunta. Nie był oznaczonym czas obiecanego przybycia Oleśnickiego do Wilna, nie oczekiwano więc na niego, lecz na zamku gość nigdy nie był niespodzianym. Z Rusi przybywali nieustannie kniaziowie, zajeżdżali przypochlebiający się Witoldowi Krzyżacy, gotowi nawet do jego wypraw na Ruś mu służyć; ciągnęło i wielu panów polskich, szukając u Witolda opieki.

Nim orszak Oleśnickiego od bram miejskich dociągnął do zamkowej, już tu o nim wiadano, a służba miała rozkazy, aby komnaty wyznaczono i gością podejmowano ze czcią wielką.

Bystre oko litewskiego księcia już oddawna w Zbyszku odkryło przyszłego władzcę i spraw polskich kierownika. Zyskać go sobie, z nim razem iść było jedynem pragnieniem Witolda. Lecz Oleśnicki lepiej

jeszcze znał stryjecznego brata pana swego, niż on jego. Wiedział, że w nim tyle było woli żelaznej i siły, ile ich brakło Jagielle; i że książę już zdradzał zamiary oderwania Litwy, uczynienia jej samostną, a wielkimi podbojami na Rusi, Polsce niebezpieczną.

Witold, pan Nowogrodu i Pskowa, wielki książę całej Litwy, zrywając węzły, które go z Polską wiązały, łącząc się z Krzyżakami, mógł jej gotować zagładę.

Oprzeć się wszystkiemu co tę potęgę krzepić mogło, było dla Oleśnickiego pierwszym obowiązkiem.

Zaledwie na zamek wjechawszy, natychmiast powitany przez księcia, Oleśnicki suknie podróżne złożywszy, wezwanym był do zastawionego stołu.

Wiedział książę o celu poselstwa, ale mu w pierwszej chwili narzucać się ze swą Sonką nie godziło, Sam jeden więc gościa przyjmował, naprzód o zdrowie króla się dowiadując, który jak zwykle był już na objeździe kraju, a raczej lasów i podążał do Lublina i Sandomierza, zkąd na Ruś się miał dostać.

Nie było króla, któryby nad Jagiellę żywiej się poruszał i nieustanniej po wszystkich ziemiach i miastach z kolei obozował. Każdego niemal roku widywała go Ruś, Wielkopolska, Mazowsze, Sandomierskie i często zjazdy szlachty zwolywano do małych mięscin, aby mu z pobliskich łowów łatwiej na nie zjechać było.

Witolda wojna tylko lub jakiś cel narad ważny potrafił wyrwać z Wilna i z ulubionych Trok, król polski był prawdziwym koczującym królem, którego namiętność łowiecka wyganiała w coraz nowe ostępy...

Całe wozy i całe statki naładować soloną zwierzyną i słać je w podarkach, było dla niego największą rozkoszą. Miasta, magistraty, biskupi, wielcy urzędnicy, klasztory otrzymywały prawie corocznie te dary, a jeżeli wojna była przewidywana, król polował dla wojska...

Rozpytywał więc Witold uśmiechając się o powodzenie tych wypraw myśliwskich, o których Zbyszek niebardzo wiedział...

Lecz gdy pozostali sami, poseł nie zwlekając, oznajmił z czem przybywał.

— Ulegliśmy żądaniu króla wszyscy — odezwał się otwarcie — chociaż zamiaru jego ożenienia nie pochwalamy; przybywam z polecenia jego, aby widzieć i poznać tę, którą to wasza miłość przeznaczasz dla mego króla.

Z tonu i wyrazu twarzy Witold mógł poznać, że Zbigniew niechętnie spełniał wolę królewską; potwierdzały to słowa zimne i krótkie.

Chciał posłowi dać całą myśl wypowiedzieć, nimby sam rozpoczął.

Milezał więc. Zbigniew po chwili się odezwał.

— Księżniczka jest bardzo młodą.

— Będziecie ją dziś widzieli — odparł nakoniec Witold — młodą jest i piękną, lecz sądzę, że takiej właśnie potrzeba Jagielle, aby się do niej przywiązała. Mówi za nią to, że Rusinką jest, bo on od dzieciństwa przy matce do tego języka nawykł. Na-estatek, wyznam wam otwarcie, nie chcę pozwolić na to, aby król rzymski sam, lub przez następczone baby, słabego Jagiełłę oplątał. Jestto człowiek przewrotny, bez serca, któremu zaufać nie można.

Najlepiejby jednak było — rzekł Zbigniew — od wszelakiego odwieść małżeństwa, które królowi nie jest potrzebne, a z jego życiem i obyczajem się nie godzi.

— Gdyby to było możliwe — odparł Witold. — Znam go zdawna, natura jest taka, że kobiety go ciągną, nie ożenimy my, ożenią go drudzy, i niebezpieczeństwo zawsze grozić będzie. Przypomnijcie sobie Granowskę starą, z którą go Mazowiecka księżna przyjaciółka jej, wbrew wszystkim połączyła.

Przeciagnęła się rozmowa dłużej w tym tonie

chłodnym, gdyż oba twardzi ludzie, nie mieli ku sobie skłonności i na ostrożności się mieli.

Zbyszek nie tail, że chociaż przybył na oględziny, i jakkolwiekby znalazł księżniczkę, zawsze, sumieniem do tego zmuszony, odradzać będzie królowi ożenienie.

Siedzieli jeszcze, do tego przedmiotu dodając rozmaite zapytania i uwagi, gdyż Witold o Krzyżakach, o zbliżaniu się do Hohezollerna Brandeburskiego, o swoich na Rusi podbojach przedsiębranych, wtrącał po trosze, gdy drzwi się otworzyły w głębi i pierwsza weszła wolnym krokiem, nadając sobie majestatem powagę, kosztownie przystrojona, od klejnotów świecąca księżna Julianna, z oczyma gniewnymi i zaciśniętymi ustami.

Spełniała w tem wolę męża, iż przyprowadzała Sonkę, ale widać było co to ją kosztowało.

Tuż za nią postępowała, także na ten dzień w najpiękniejsze swe szaty strojna, młodziuchna Sonka; w sukni jedwabnej jasnej i płaszczyku na ramiona zarzuconym, ze starannie utrefionemi włosami rozpuszczonemi, w przepasce na czole, urodą i młodością świetniejąca. Chciała na przekór Juliannie być piękną, a to jej łatwo przyszło. Byłaby nią mimo stroju i bez starania, bo miała to, bez czego największa piękność nie czyni wrażenia. Świeżość rozkwitniętego zaledwie wiosennego pączka.

Szła po za księżną, wcale niezmiészana, śmiało, z dumnie podniesioną główką, patrząc na Zbigniewa, jak gdyby powiedzieć chciała:—Oto mnie masz! patrz nie jestem godną być królową waszą?

Oleśnicki, który powstał i niskim pokłonem witął Julianne, nie okazał zbytniej ciekawości.

Cztery panny służebne, które towarzyszyły księżnie zostały zdala u progu, skromnie stojąc z rękami na piersiach założonemi. Wszystkie one były młodziuchne i dobrane złośliwie pomiędzy najpiękniejszymi, postrojone, aby trochę piękność Sonki przyga-

sily. Pomyśl ten księżnej nie powiódł się, gdyż księżniczka była z nich wszystkich najurodziwszą...

Witold stojący z boku, śledził na twarzy duchownego wrażenie, jakie na nim uczyni dziewczę. Tymczasem księżna, głosem swym suchym i ostrym, wedle zwyczaju, zaczęła rozpytywać o zdrowie Jagielly, i naumyślnie czy przypadkiem, zagadnęła też o młodą królową Jadwigę, córkę króla.

Zbyszek na ruskie pytanie, musiał odpowiadać po polsku, ale tu wiele nie zależało na słowach, które znaczenia nie miały, przypatrywano się sobie z obu stron, a Oleśnickiego uderzyć było powinno, jak zuchwałę, niemal bez zarumienienia i trwogi żadnej, królowa wpatrywała się w posła...

Witold się tego nie spodziewał wcale i on doznał nieprzyjemnego uczucia, czoło mu się zmarszczyło. Pomyślał zkąd to płochę i wesołe dziewczę wzięło nagle taką pewność siebie i odwagę.

Siadła księżna Julianna, a Sonka, dla której nie było przy niej i księciu miejsca, musiała stać przy jej krześle. Ze strony księżnej było to może obrachowaniem na upokorzenie dziewczyny... Nie okazała po sobie, aby je czuła.

Z twarzy Zbigniewa nie się dopytać nie było można, zdawał się nawet nie chcieć zbyt pilno wpatrywać w Sonkę. O małżeństwie, o projektach nie mogło być najmniejszej wzmianki.

Zwolna tak obumierała i ożywiała się rozmowa, księżna z powodu wspomnienia o Krzyżakach, chwaliła się grzecznością ich i podarkami jakie odbierała od w. mistrza. Witold odzywał się też dosyć dla nich sympatycznie.

Zbyszek zbyt był oddany Jagiellie, aby im mógł potwarze i paskwile na króla ogłaszać przebaczyć—mleczal.

Tak czas przeszedł do wieczery, którą, gdy już podawać miano, księżna Julianna z Sonką i służebnemi ruszyła się i wyszła.

Drzwi się jeszcze nie zamknęły za niemi, gdy Witold zapytał Oleśnickiego.

— Coż o niej mówicie? nie miałem prawa zalecać ją, jako piękne i miłe dziewczę! nie podobał się wam ona?

— Nie mogę zaprzeczyć, że urodziwą jest bardzo — odrzekł Zbyszek — lecz i młodą nadto dla króla...

— Postarzejże rychło, jak one wszystkie, bo to im krasnieszje tem prędzej wiedznieje — rozśmiał się Witold.

Więcej dobyć z siebie nie dał Zbyszek, choć, Witold szeroko o księżniczce prawiąc, mocno ją zalecał...

Jak księżna Julianna tak i Sonka były greckiego obrzędu obie, lecz Witold ochrzczony i do kościoła rzymskiego przyjęty, w dnie świąteczne i przy ważniejszych obrzędach do kościoła na zamku uczęszczał, one też mu towarzyszyć musiały. Niekiedy i przez ciekawość szły się przypatrywać obrządkom katolickim, w świeżo wzniesionej świątyni.

Ściśle spełniający swe obowiązki duchowne Zbigniew, nazajutrz rano udał się naprzód dla odprawienia mszy do katedry.

Jakim sposobem potrafiła wymknąć się z Femką tylko sama jedna księżniczka i znaleźć na tej mszy, tego wytłumaczyć nie umiemy. Spostrzegł ją w czasie nabożeństwa Zbigniew, a gdy po niem miał, po modliwszy się na zamek wracać, niemało zdziwił, spotykając dziewczę w kruchcie kościoła, jak gdyby oczekujące.

Tknęło go to, gdyż się dorozumiewał, iż mogło mieć prośbę jaką lub zwierzenia się potrzebę; i pozdrowił Sonkę zatrzymując się przed nią.

Księżniczka śmiało patrząc mu w oczy, zdawała się czekać także na pytanie jakie i rozmowę.

Była to zaprawdę zręczność szczególna poznania lepszego przyszłej królowej, czy nastroczona przez Witolda, czy własną jej wołą, Zbigniew więc nie omieszkiał z tego korzystać.

Sonka, jak gdyby się lękała, ażeby im nie przeszkodzono, zostawując Femkę za sobą opodał, z usmiechem zbliżyła się do prałata.

— Nie jest mi tajno — rzekła z wdziękiem naiwnym dziewczęcia — że wyście przybyli na oględziny i że wuj mnie swata. Chciałam więc abyście widzieli Sonkę zbliżka i jeśli wola, wybadali...

Z tych słów mógł Zbyszek zmiarkować, że dziewczęciu myśl zamążpójścia za starego króla wstrętą nie była. Zdziwiło go to mocno, tak, że przez chwilę milczał.

— Tak — odparł potem poważnie. — Zesłano mnie dla widzenia was... Nie lękacie się zostać małżonką króla już w latach podeszłego?

Dziewczę oczy spuściło.

— Lepszy los mnie nie spotka tutaj — rzekło. — Wuj dosyć mnie kocha, księżna nie lubi, życie mam ciężkie.

Westchnęła i spojrzała wyraziście na Oleśnickiego, a wejrzenie to znaczyło.

— Weźcie mnie ztąd.

Po chwili namysłu zaszczębiotała niecierpliwie.

— Być może, iż wuj dlatego mnie wam daje, ażeby miał przy królu sługę swoją. Zgaduję w tem myśl jego, ale, że ona i wam przyjść może, pilno mi powiedzieć było wam, że nieczyją sługą nie będę, a komu wiarę poprzysięgnę, temu jej dotrzymam...

Zawierzcie mi — dodała z wyrazem wielkim... Stary król mieć będzie we mnie przyjaciela nie wroga...

To rzekłszy Sonka, obejrzała się trwożliwie za Femką i odstąpiwszy krok, dała wyjść naprzód z kościoła Zbigniewowi, który po chwili namysłu, pozdrowił ją, na zamek wracając.

Ona pozostała tu chwilę jeszcze, chciała aby wprzódy Oleśnicki doszedł do dworca.

U drzwi izb, które on zajmował, zebrali się jego orszaku dworzanie, a dowiedziawszy o tem, że prze-

znaczona na królowę pani do kościoła poszła, ciekaw widzenia jej, przygotowali się zejść drogę, gdy będzie powracała i przypatrzyć się przyszłej swej pani.

Pomiędzy tą młodzieżą był z dworu Jagielly, Hincza z Rogowa, z tych co w herbie rogi jelenie i krzydło sępie noszą, a zawołanie mają Działosza. Ojciec jego tegoż nazwiska do Litwy posłował po Jagiellę i miłym mu był, przeto i syna potem król na dwór swój wziął, a że chłopak był żyw, wesół, śmiały, słowo mu zabawne przychodziło łatwo i do wszelakiego czynu zuchwalszego był bardzo pocho-

pny, lubił go Jagiello. A jak zwykł był z najmniejszymi ludźmi i w lesie na łowach i na zamku poufalić się łatwo, tak i Hinczę sobie przyswoił i nim się posługiwał, dając mu wiele mówić sobie, a często i wyprosić wiele.

Młodemu, znudzonemu siedzeniem w jednym miejscu chłopcu, zachciało się, zasłyszawszy iż Zbigniewowi dworzan dodawano, także podróż tę odbywać.

Wkradł się więc wieczorem do królewskiej sypialni i przypadłszy do nóg Jagielle, począł go na pół seryo, pół śmiejąc się prosić, aby mu dał jechać na Litwę.

— Miłościwy królu — rzekł — posyłacie Zbyszka, całemu światu wiadomo po co, aby w. miłości żonkę opatrzył, a co klecha się na tem zna! Jemu one wszystkie brzydkie, bo oni na kobiety jak na szatana plwają. Pozwólcie mnie jechać, a ja się tak przypatrzę i opiszę, jakbym malowaną przywiózł.

Dobrodusznego króla Hincza łatwo zjednał tem i naznaczył go do podróży przy Zbyszku.

Na czele więc tych dworzan, co na przejście królowej przyszłej czatowali, stał on, strojny, urodziwy, młody, śmiały a ciekawy, gotów choćby na guza się narazić, byle księżniczkę widzieć. Dobrał więc sobie miejsce takie po drodze z kościoła do dworców, aby

jak najdłużej mógł Sonkę oglądać i dobrze się jej przypatrzeć.

Nie obrachował się tylko z tem, że i Femka i ona, obyczajem ruskim, twarze sobie pozawijały, tak, iż zaledwie oczy ich dostrzedz było można... Za to jego i dwór cały Oleśnickiego powracająca z katedry Sonka mogła widzieć, a na czele jego musiał wpaść w oczy Hinceza, bo się pięknie i strojno postawił.

On zaś czarne zaledwie ogniste oczy zobaczywszy, na tem musiał poprzestać... Zanadto jednak był przebiegły, aby zraziwszy się tem, po chybionej próbie wyrzekł się dopięcia celu.

Femkę, która nie miała potrzeby zwiędłej swej twarzy okrywać zbyt troskliwie przed oczyma ludzkiemi, postrzegł Hinceza i dobrze ją sobie zapamiętał. Nie było nad niego zręczniejszego człowieka do wślizgania się między niewiasty... a choć tu kobiece teremy surowiej były oddzielone i strzeżone, Działosza nie rozpaczał, że do starej piastunki zbliżyć się potrafi i zawrzeć z nią dobrą znajomość.

Całe dnie też miał wolne, a zdało mu się, że mógł więcej pozwolić sobie niż drudzy, gdy i on królewskim posłem, choć nie uznanym, był.

Krażąc po zamku jako człek nieświadomy i obcy, wiedział, że bezkarnie mógł zbłądzić. Póty więc błąkał się, zaglądał, aż Femkę idącą przez podwórcę najrzał. Śmiało przyskoczył do niej, bo mu na odwadze nie zbywało. Godzina była szarego mroku, a w dziedzińcach dosyć pusto... Rozpytując, a udając głuptaszka Hinceza, bardzo zręcznie się wypaplał, że dworzaninem króla był, że Jagiełło mu odjeżdżającemu zlecił, aby się dobrze księżniczce przypatrzył...

Femka się na to wziąć dała i mało co zawabawszy, wprowadziła do swej izby, w której nikogo nie było, dla swobodniejszej rozmowy.

Hinceza wesół i śmiały, gdy nie mógł prawdą, umiał sobie zręcznemi baśniami pomagać, i więcej mówić, niż wiedział.

Naprzód więc zagadnął o to piastunkę, czy księżniczka się iść za starego króla nie obawiała i nie miała ku niemu wstrętu. Dobroduszną Femkę, rada służyć swej ukochanej jak najlepiej, chwyciła tą zrećzność, sądząc, że pomoże Sonce...

— Albo myślicie, że my tu raj mamy? — odparła cicho. — Dziewczę tu w niewoli, a choć książę ją lubi, za to księżna zazdrośna nie cierpi. Czemuby na swobodę, na tron nie miała chcieć iść?

Hincza raz tak zawiódłszy rozmowę, pewnym już był, że celu dopnie, księżniczce się przypatrzy i dowie o niej ile potrzeba. Zaczął zapewniać Femkę, że starego pana nie było się co obawiać, bo dobrym był, a dla niewiast bardzo powolnym, tyle tylko, że zazdrośnym razem jako stary...

— Lepszej żony jak ta nie znajdzie — szeptała Femka—choćby świat zjeżdżili szukając jej dla niego. Zobaczycie jaka piękna, bo ja wam ją pokażę, abyście powiedzieć mogli, iż na całej Rusi i Litwie niema urodziwszej, a dobra też dla ludzi, i niełatwo ją kto podwiedzie lub oszuka, bo jak na człowieka spojrzysz, na wylot go zna. Wdzięczną będzie królowi, że ją ztąd wyzwoli, bo życie nam obmierzło...

Zrobiwszy tę znajomość Hincza, i otrzymawszy obietnicę, że Sonkę w jakikolwiek sposób będzie mógł widzieć, wymknął się nazad do swoich, przed nikim nie chwając zdobyczą.

Oleśnickiego, który rad był nazad co rychlej powracać, Witold usiłując zjednać i wybadać, zatrzymał przez dni kilka. Co dnia księżna wprowadzała, za rozkazem męża, księżniczkę, aby się jej mógł przypatrywać poseł, a dwakroć samą siostrzenicę zwołał Witold, rozmowę z nią zawiązując przy Zbyszku, aby poznał, że i rozumu jak na niewiastę ma dosyć.

Dowiodła go nawet więcej, niż się książę mógł spodziewać i przewidzieć, bo umiała się nie zdradzić przed wujem z tem, co myślała, a prałatowi okazać skromną i łagodną.

Nie pozyskało go to na stronę ożenienia królewskiego, bo mu pozostał jak był przeciwnym, patrząc na podeszłe lata, lecz przyszedł do przekonania Oleśnicki, iż ta mogła być lepszą, niż inna.

O córce Zygmunta, jakby na żart ofiarowanej Jagielle, mowy być nie mogło, gdyż ta dzieckiem była, a owdowiałej królowej Ofki, lękano się równie, jak wszelkich z Czechami stosunków, z powodu wrącego w tym kraju odszczepieństwa, z którym walka była trudną, a przymierze niemożliwe.

Sonka więc najmniej groźną była, i tylko jako Witolda sojusznica mogła nie przypadać Oleśnickiemu do rachub jego. Wystąpienie jej odważne w kruchcie kościoła, którego szczerości posądzać się nie godziło, obawę posła zmniejszało.

Miał się li więc niepotrzebnie żenić król, wołał Zbyszek, aby ta żoną była, niż inna.

Femka po widzeniu się z Hinczą, nie miała nic pilniejszego nad wygadanie się z tem przed swoją Sonką; a księżniczka zażądała koniecznie widzieć tego tajemnego posłańca i mówić z nim. Ułożyły więc tak, aby Hinczę, nie mu nie mówiąc, ściągnąć do komory Femki, a naówczas księżniczka przypadkiem tu niby wpaść miała.

Drugiego dnia z południa stara piastunka czatowała już na Hincza, dała mu znak porozumienia, a dworzanin bardzo zręcznie, niepostrzeżony do izby jej pośpieszył.

Sonka już była na to przygotowana. Przystroiliła się tak, aby Hincza mógł piękność jej podziwiać i gorąco ją królowi opisać. Ledwie wśliznąwszy się miał czas kilka słów do Femki przemówić młody dworzanin, gdy z kłębuszkiem wełny i iglicą, jakby szukając piastunki w pomoc sobie, ukazała się na progu księżniczka.

Ponieważ nie miała na sobie płaszczyka, tylko obcisłą sukienkę, mógł więc zdumiony pięknnością jej Hincza, nietylko przypatrzyć się ślicznej twarzy, ale

i dziewczą tę kibić jak utoczoną, zręczną, gibką, silną — podziwiać. Stał jak oślepiały, bo choć wiele kobiet w Krakowie i Polsce widywał pięknych, tak książęcej i pańskiej postaci w życiu nie oglądał.

Dziewczę, zobaczywszy go, niby przestraszone i zdziwione, uczyniło krok jakby się cofnąć chciało, ale Femka półgłosem uspokoiła ją i wskazując Hinczę, opowiedziała, że komornikiem króla Jagiełły był, a przyszłej swej pani radby czołem uderzyć.

Zuchwały zwykle Działosza, na ten raz stał trochę onieśmielony, ale to trwało krótko. Olśniła go piękność, ośmielił uśmiech łagodny.

Zawahawszy się nieco, bo srom niewieści okazać jej wypadało, Sonka spojrzała na Hinczę i poczęła miłym głosem...

— Nie macie co się ciekawić, bo królowi pono panowie polscy żenić się nie dopuszczają, a choćby żenili go, to mu inną dobiorą.

Hincza zaraz przerwał żywo, że w Bogu ma nadzieję, iż ona, a nie inna będzie królową.

— Gdy się nasz pan dowie o jej piękności...

Dziewczę się zarumieniło.

— Są piękniejsze — rzekło skromnie.

Zaklął się, że chyba nie było ich na świecie.

— A co wasz ksiądz powie o mnie? — dodała figlarnie.

— Ksiądz też zganić nie może, — zawołał Hincza — a choćby nawet nie opisał jak należy, król go słuchać nie będzie...

Tu śmiejąc się, dodał dworzanin, że on miał też zlecenie od pana, aby widział księżniczkę i dobrze się jej przypatrzył, aby opowiedzieć umiał.

Zasromiała się Sonka, trochę zakrywając rączkami, ale w ten sposób, że ręce ukazała lepiej, twarzy bardzo nie zasłoniwszy. Po chwili milczenia rad rozmowę przedłużyć Hincza począł opisywać jakie to szczęśliwe życie można było wieść na Krakowskim zamku, który daleko piękniejszym był od Wileńskiego

i komnaty miał malowane a złocone, izby ogromne, wspaniałe, jak Laskowiec... a obicia i kobierców i wszelakiego ochłodostwa bez liku; w skarbcu zaś kamieni drogich i noszenia złotego a pereł kubły całe...

Z natężoną uwagą, ciągle we drzwiach stojąc, tak aby na pierwszy popłoch pierzchnąć ztąd mogła, słuchała piękna Sonka opowiadania Hinczy, sama go czarując oczyną i uśmiechając mu się mile. Działoszy biednemu zawracało się w głowie, byłby tak wiek cały stał a prawil... Ona też nie nudziła się słuchając.

Od słowa do słowa, opisywał jej potem Jagiellę, jego podróże i łowy, obyczaj wszelki, dobroduszość a hojność dla ludzi...

Dobry czas upłynął nim się powtarzającemu po kilkakroć jedno Hinczy, który tymczasem jak w obraz patrzył w Sonkę, przebrało treści.

Szmer jakiś w sąsiedniej komnacie, zmusił też księżniczkę do szybkiego cofnięcia się za drzwi, które zaraz za sobą zamknęła.

Działosza stał długo oczarowany, przyjść niemożąc do siebie.

Cieszyć się potem począł i wykrzykiwać jacy wszyscy szczęśliwi będą, gdy taką panią pozyskają, która na smutne, posępne mury Wawelu wniesie z sobą wesele i szczęście...

— I pan nasz przy niej odmłodnieje — mówił z zapalem — a co nim teraz kłechy i panowie rządzą, to królowa go pod władzę zagarnie, i nastaną lepsze czasy.

Byłby tu jeszcze gwarzył tak może długo, nadzieję jakąś mając, nuż się zuowu księżniczka pokaże, ale go Femka, obawiając się ludzkich języków złych, precz odprawiła.

Dopiąwszy celu, rad bardzo z siebie, Hincza powrócił do swoich, lecz miał rozumu tyle, iż choć go

badano, o swoim szczęściu nie bąknął nikomu. Królowa ta przysłała głowę mu zawróciła...

— Tej pani służyć! — mówił sobie — dopieroby człowiek szczęśliw był!

Zręczny i przebiegły obiecywał sobie wszelkich dolożyć starań, aby i król się z nią ożenił i on na dwór pani mógł się dostać.

Po kilku dniach pobytu w Wilnie, gdy ani Zbyszek Witolda, ani Witold jego pozyskać sobie nie mógł, rozstali się dwaj przyszli zapaśnicy. Witold nie pokazał tego po sobie, iż opór żelazny Zbyszka, niemal nienawiścią ku niemu go napęlił. Owszem ze czcią wielką, obdarzywszy wedle zwyczaju, odprawił książe posła, zalecając mu tylko sprawę Sonki, o której Zbyszek milczał oględnie...

Napowrót więc długą znowu drogę przebywać musiał Oleśnicki, skracając ją sobie pracą, gdyż nawet noclegi i spoczynki na czytaniu spędzał i na pisaniu listów. Hincza nie dając z siebie nic dobyć nikomu, tak do Polski się ze dworem dostawszy, zręcznie zarządził, iż opuściwszy pod jakimś pozorem orszak Oleśnickiego, samowtór z pachółkiem przodem do Krakowa pobiegnął.

Tu się ich tak prędko nie spodziewano, a króla, który na łowach był znowu, nie zastał. Dowiedział się tylko przybywając, że Zawisza Czarny, którego król był tak samo jak Zbyszka do Wilna, wysłał do Czech do Ofki, schwycony w drodze i uwięziony był.

O królowej więc czeskiej myśleć zaprzestał Jagiełło i wszystko się tak składało, iż Sonka na królową wybraną być musiała.

W Krakowie jednak spodziewano się, że biskupi Jagielle w końcu małżeństwo z głowy wybiją. Nie czekając powrotu jego, Hincza gdy się dowiedział, że król około Przemyśla polował, nie długo czekając, puścił się, konia zmieniwszy na jego spotkanie.

Wiedział, że Oleśnicki w Krakowie na niego będzie oczekiwał.

Po drodze wszędzie przez komorników Jagiełły, którzy dlań zapowiadali noclegi i stanowniczych przodem wysyłanych, dopytując kędy go miał szukać, Hincza w końcu już ku Krakowu ciągnącego, na noclegu pochwycił.

Zręczne chłopię, nie dając znać o sobie, gdy król po wieczerzy na sianie legł, przyszedł jakby do zwykłej panu posługi.

Zadumany król nie poznał go zrazu, lecz przy świetle kaganka przypatrując mu się, krzyknął nań.

— Hincza? a tyś tu zkąd?

— Z Wilna, miłościwy panie.

— A Zbyszek?

— Jedzie jeszcze...

— Porzuciłeś go?

— Bo mi się do pana mojego stęskniło.

Rozśmiał się król palcem mu znak dając, aby się przybliżył.

Hincza stawiał się tuż.

— Mów, widzieliście ja?

Pałały oczy staremu i twarz się trzęsła, gdy to mówił.

— Mów niezdaro!

— Widzieliśmy miłościwy panie — rzekł — widzieliśmy to cudo, a jak człowiekowi, gdy w słońce spojrzy oczy potem bolą, tak nam popatrując na nią.

Rozśmiał się Jagiełło.

— Mówże jaka jest?..

Hincza musiał się namyślać od czego miał poczynąć.

— Miłościwy panie — odparł — albo to człowiek może taką piękność opowiedzieć. Ja jakem żyw, nie widziałem podobnej... Czarnobrewa, z oczyma jak dwie gwiazdy, uroda śliczna, postawa królewska, biała jak mleko... Ludzie mówią, że dobra i litościwa...

— Duża? mała? — wtrącił król.

— Mnie się wydała wielką, hom ja przy niej ro-

bakiem się czuł—rzekł Hincza.—Patrzeć strach, taka od niej jasność bije...

Jagiello słuchał.

Kazał mówić dalej. Działoszy już brakło co opisywać. Zamiast opowiadania o piękności, zeznał, iż słyszał jakoby księżna Julianna nie dobrą była dla Sonki, a przez to ona rada pewnie Wilno opuści i chętnie pójdzie za króla.

Dodał, że mu to mówiły niewiasty i piastunka, a zachwalały ją bardzo.

Twarz się królowi radowała.

— A Zbyszek co? — zapytał ciekawie.

— Miłościwy panie, co nasz ksiądz myśli, to jeden tylko wie pan Bóg. Nigdy on nikomu nie powie co ma w sobie, a odgadnąć go nie potrafi najmądrzejszy...

Trochę się znowu zasepił Jagiello, lecz natychmiast nowem opowiadaniem o posłuchaniu, o dworze wileńskim, o Witoldzie, o kochanej Litwie rozweselił go Hincza.

Dla tej Litwy swej, król na chwilę gotów był nawet o Sonce zapomnieć, w oczach mu się robiło wilgotno, gdy słyszał o niej, pierś się poruszyła żywiej, patrzył w dal, jakby ją chciał przez mury i góry dojrzeć...

— Prawda?—odezwał się do Hinczy—tam inaczej lasy pachną??

Dworzanin chętnie to potwierdził.

Do północy trzymał go tak przy sobie król badając, na koniec odprawił. Pilno było mu zobaczyć się ze Zbyszkiem, i choć łowy nie skończyły się jeszcze, kazał zawracać do Krakowa.

Po drodze Hincza ciągle był w robocie, aż mu inni zazdrościli.

Niezaspokojony tem co słyszał kazał sobie jedno a jedno powtarzać...

— Mów! a oczy jakie? — I śmiał się.

— A wzrost? a włosy?

Działosza cierpliwie śpiewał ciągle tą samą piosnkę, a stary jej słuchał, jakby dla niego coraz nową była. Znając go już wiedział Hincza, że teraz gdy głowę miał pełną pięknej księżniczki, nikt w świecie małżeństwu temu nie potrafi stanąć na przeszkodzie.

W innych sprawach powolny do zbytku, gdy o niewiasty chodziło, Jagiełło umiał być upartym. Tak małżeństwo ze starą Granowską, przeciw któremu byli wszyscy, z niewiastą schorowaną, wdową po mężach kilku, nie piękną już, ale, że mu się przypodobać zalotnością umiała, pomimo wszystkich i wbrew duchownym, król do skutku doprowadził.

Tu piękność i młodość były ponętami dla starca, którym on oprzeć się nie mógł. Hincza nim do Krakowa dojechali, pewnym swojego był.

Król dopiero w bramę wjeżdżał, gdy już dworzakin na probostwo Św. Floryana biegł, pozywając Zbyszka na zamek...

Koźucha podróżnego nie zrzucając czekał Jagiełło niecierpliwy, nie zdradził się jednak i pralatowi mówić dał naprzód o poselstwie.

— Sonkę widziałeś? — zapytał wstrzymawszy się nieco.

— Nie jeden raz, miłościwy królu — odezwał się zimno Oleśnicki. — Młodą jest do zbytku, a i piękną do zbytku może.

Jagiełło parsknął.

— Książd jesteś! — rzekł.

— Tak — odparł szorstko Oleśnicki — ale i świeccy ludzie to przyznają, że wielka piękność niewiastę rychlej psuje niż lepszą czyni. Robi ją dumną, płochą często, a w kadzidlach się miłującą.

Nanki tej moralnej król zdawał się nie chcieć słuchać.

— Kiedym z Granowską się żenił — zawołał — coście prawili? że stara i brzydka? Teraz gdy Sonkę chcę wziąć, mówicie, że młoda i piękna. I to złe, i to złe, jakże tu wam dogodzić?

— Byłby na to sposób, gdybyś miłość waszą wcale o małżeństwie nie myślał — odezwał się Oleśnicki. — Nie jest ono potrzebne...

— Wam! — przerwał król gwałtownie — a ja nie dla was się żenię!

Zerwaną na krótko rozmowę, Jagiello na nowo począł.

— Chwała ją, że dobrą i łagodną jest.

— Trudno o tem sądzić — rzekł Oleśnicki — lecz że śmiałą jest, o tem wiem, a muszę dodać, co mi każe sumienie, że małżeństwu przeciwną nie będzie.

Król w szerokie dłonie uderzył i na głos się śmiał, oczyma pomrugując. W tem Oleśnicki rad na co innego zwrócić uwagę, o Witoldzie rozpoczął, o jego zamysłach podbojów na Rusi, o wiązaniu się niedobrem z Krzyżakami.

Ze spuszczoną głową słuchał milezący już Jagiello posępnie. Wiedział, że Oleśnicki nie lubił Witolda i spełna nie dawał wiary temu co mówił, posądzając o przesadę. Nie sprzeciwiał się jednak napróżno.

Trzydziestokilkoletnie panowanie w Polsce oswoiło go już z położeniem, z granicami władzy i ludźmi co go otaczali... Wiedział Jagiello, że sam jeden nie przemoże szlachty i panów, którzy swoich praw pilno strzegli, starając się o rozszerzenie ich, a niedopuszczając najmniejszego zamachun a ich ścieśnienie. Wyrzekł się dawno myśli o tem, i płynął z prądem, któremu oprzeć się nie mógł. Niekiedy udawało mu się kupić sobie stronników, zcicha popierających go, ale i ci, jak biskup Jastrzębiec, głośno przeciw pp. senatorom i radzie nie śmieli wystąpić. Z tem biernem stanowiskiem swem, na którym cześć odbierał, łaski mógł świadczyć i łowami się zabawiać, pogodził się w końcu, szukając w Mazowszu u siostry, u Witolda w Litwie, na Rusi swobody, której nie miał w samej Polsce.

Zarazem też spadało z ramion jego brzemię wiel-

kie odpowiedzialności za losy państwa, któremi inni się za niego opiekowali.

Zygmunt król rzymki, Witold, oba samoistniejsi, ile razy wprost Jagiełłę zyskać sobie chcieli, spodziewając się, iż on pokieruje sprawami Polski po ich myśli, rozbijali się za każdym razem o to, że król wobec Zbyszka i panów krakowskich, w końcu się bezsilnym wydawał i odsyłał do nich...

W tym roku Władysław musiał, może przeciwko woli swej, rzec się przyniesionej mu i ofiarowanej czeskiej korony, z którą razem trzeba było kacerstwo poślubić i narazić się Rzymowi.

W jednej tylko sprawie krzyżackiego zakonu, Jagiełło zachował sobie własną wolę i żywo się nią zajmował, ale tu był w zgodzie z doradcami swymi, którzy równie jak on na zupełne złamanie potęgi krzyżackiej nastawali.

Po rozmowie o Sonce, której już król nie przedłużał, zwróciła się ona na sprawę z zakonem i dwuznaczne stosunki Witolda z nim.

— Miłościwy panie — odezwał się ze swą otwartością niekiedy szorstką i bezwzględną Oleśnicki. — Przypuściwszy, że przeciw wszystkim nam zechcesz siostrzenicę Witoldową poślubić, nie poślubiszże z nią mimo swej woli i wiedzy Witoldowych myśli i zamiarów? Tak blizka krewna, z jego ręki ci dana, przyniesie z sobą wpływ jego, złamie najmocniejsze postanowienia!

Przez krótką chwilę nie odpowiadał Jagiełło głowę trzymając zwieszoną... Podniósł ją potem zwolna i potrząsnął nią.

— Myślicie — rzekł — że ja, dlatego iż was słucham, tak samo i żony i Witolda słuchać muszę i żem tylko do posłuszeństwa stworzony... Znacnie więc mnie, a nie poznaliście jakim jestem. Słucham was, bo mi całe życie spierać się i walczyć ciężkoby było i wiem, że siła złego na jednego, nie przemogą. Po cóż da-

remnie mozoł sobie zadawać. Ale baba nie zapanuje nademną nigdy.

Zbyszek się uśmiechnął.

Na Krzyżakach więc znowu dokończono rozmów i Oleśnicki wyszedł, niewiedząc jakie będzie postanowienie królewskie co do ożenienia.

Przez kilka dni król unikał o tem rozmowy i wzmianki.

Bawił się tymczasem przyszłym małżonkiem córki swojej Jadwigi... narajonym jej ośmioletnim Brandenburczykiem, ciesząc, że choć po kądzieli przejdzie korona na krew...

Oleśnicki codzieln widywał Jagiellę, i o małżeństwie nie słysząc, uspokajał się, bo sądził, że król o niem zapomni i zleknie się nowych związków. Tymczasem stary pan ważył w myśli wszystkie niedogodności i niebezpieczeństwa, widział je, rachował, ale krewkość przemogła. Księżniczka piękna była i młoda, miałże ostatniej w życiu pociechy się pozbawić? nie wolnoż mu było jeszcze się raz o szczęście pokusić??

W tej niepewności gotów był na losy i na traf zdać rozstrzygnięcie, gdy jednego dnia na łowy wyruszywszy do Niepołomic, on, co się spotkania starych bab lękał, i przystępować im do siebie nie dawał, w podwórzu zameczku Niepołomickiego wieczorem postrzegł cały swój dwór cisnący się do jakiejs staruszki, która głośno wykrzykując i rękami poruszając, zabawiała młodzież jakimiś gadkami. Posłał się dowiedzieć co to byłol Hincza przyniósł mu wiadomość, że stara wędrowna z Pokucia baba Rusinka wszystkim wróżyła...

Pomimo zabobonnej obawy uroku, nie mógł wytrzymać król i babę kazał do izby przyprowadzić, nie mówiąc jej, że królem był, aby i jemu przyszłość przepowiedziała.

Uczynił to tem uspokojony, iż Hincza zaprzysiągł

jako babę widział w kościele w krnchcie święconą wodą żegnającą się i modlącą na klęczkach.

Stara przyprowadzona do izby prawie gwałtem, bo się obawiała, aby ją jako czarownicę nie zamknęto, po długiem wabaniu, z wosku poczęła królowi wróżyć...

Zapowiadała mu, że się wkrótce ożeni i mieć będzie żonę piękną i młodą, a z niej aż troje potomstwa, z których dwóch panować będą na ziemi, a jeden w niebie.

Król śmiał się z tego i ramionami ruszał, kazał babę nagrodzić, niewiele niby ważył co plotła, lecz mimowoli wróżba w nim wzmocniła postanowienie ożenienia.

Obawiając się oporn ze strony Zbyszka, Jagiełło potajemnie miejskiemu pisarzowi kazał list do Witolda ułożyć po niemiecku, oznajmjący mu, że na Litwie będzie, wedle zwyczaju o Bożem Narodzeniu i nawiedzi go w Trokach, gdzie się o dzień ślubu z Sonką ułożą. Hincza z tem pismem miał się niepostrzeżenie wykraść i zawieść go tak, aby się w Krakowie między panami nie domysłano.

Do takich spraw żwawy, obrotny i ochotny, gdzie trzeba było głowy i grzbiet nastawić, Hincza nadawał się doskonale. Nie był tak znaczną postacią we dworze, aby ubytek jego postrzeżono i podejrzenie powzięto; zjawiał się i znikał, a król wierności jego ufał...

Puścił się więc Działosza znanemi drogi znowu ku Wilnu, gdy w Krakowie jeszcze naradzano się nad tem, jakby króla od ożenienia odwieść i wyrwać z rąk Witolda... Sonka bowiem dla wszystkich wyobrażała tu jego ucho i żelazną rękę...

IV.

Na trockim zamku oczekiwano na króla. Była to ulubiona siedziba Witoldowa, w której on może się więcej czuł panem niezależnym niż w Wilnie. Nawykł był ją uważać za dziedzictwo swe i ojcowiznę, za swe dzieło. Murował się tu, ozdabiał zamki oba, obwarowywał je, przenosząc pobyt w nich cichy, spokojny, nad gwar Wileńskiego grodu, stolicy.

Ile razy znużonym się czuł, potrzebował spoczynku, wytchnienia i swobodnego rozmysłu, jechał do Trok. Mała przestrzeń dzieliła go od Wilna, a życie na Trockim zamku zupełnie było odmienne.

Rzadko i chyba takich przyjmował tu gości, z którymi być chciał sam na sam. Najczęściej albo z małym orszakiem, bez żony lub z nią i niewielą ludźmi zjeżdżał tu w lasy dumać i układać przyszłe Litwy losy.

Tym razem, wygodnie mu tu było zjechać się z Jagiełłą, gdyż znając słabość jego, wiedział, że kilku dni bez łowów nie wytrwa, a około Trok lasy pobliskie, obficie jeszcze niepłoszonego zwierza dostarczały.

Od czasu bytności Zbigniewa i po zapowiedzianym już przyjeździe Jagiełły przez Hinczę, Witold myślał ciągle o ożenieniu go z siostrzenicą i nie wątpił, że mimo oporu Oleśnickiego, Jagiełłę do tego skłoni.

Nimby to nastąpić mogło, Witold przywoływał często Sonkę do siebie, aby ją przysposobić i nauczyć, jak mu służyć miała będąc królową.

— Królową cię uczynię—powtarzał—ale tak samo cię z tronu będę mógł zrzucić, jeżeli mi nie zechcesz być posłuszną. Z mojej łaski zostaniesz żoną Jagiełły,

pamiętaj, ale od mojej zemsty, gdybyś zdradziła, ani Jagiello, ni panowie polscy cię nie osłonią...

Śluchając tych napomnień i gróźb z jakimś chłodem i poddaniem się Sonka nic na to nie odpowiadała. Witold chciał ją wyciągnąć na zobowiązania i przyrzeczenie, wówczas przebąkiwała coś dwuznacznie, niejasno, z tem tylko, że wdzięczną mu jest i będzie.

Witold nie zwracał na to uwagi, bo nadto był pewien siebie, aby mógł przypuszczać, że młode dziewczę będzie śmiało stawiać mu opór i nie pójść za jego wolą.

Księżna Julianna go przestrzegała, ale napróżno. Nawykły z nią staczać boje i przeciwieć się jej tak jak ona mu się stawiała opornie, śmiał się z jej pogroźek.

— Ale ty nie znasz tej gadziny, którą na swych piersiach wychowałeś—powtarzała—to dziewczę chytre i mściwe... Jemu wierzyć nie można! ona cię zdradził!

Witold śmiał się i mówić o tem nie dawał. W oczach jego Sonka była słabą istotą, która się swą od niego czerpnąć musiała, na nim się opierać. Niechęci dla pięknej dziewczyny przypisywał książę te wróżby, z których się naśmiewał.

Nie uderzało go to nawet, że Sonka dawniej mówna, wesoła, tizpiotowata z nim, nagle stała się poważną i milczącą.

Dziewczę kryło w sobie co myślało i czuło, zwierając się tylko Femce, która z obawy, aby nie przyniknęto jej, usta zamykała.

Gdy przybycie do Trok ku nowemu latu zapowiedziano, Witold rozmyślał tylko jak ma Sonkę Jagielle wskazać, bo nie poco innego król tu ściągał... Sprowadzić ją do Trok, czy Jagiellę przywieść do Wilna?

Pierwsze zdało się dogodniejszym, chociaż drugie łatwiejszem było.

Przewidywał opór i nadąsanie księżnej Julianny, zmuszonej wieść z sobą nieklubioną księżniczkę, aby jej ułatwić wywyższenie, któremuby raczej zapobiedz chciała.

W tem jednak, jak we wszystkim czego Witold chciał i co nakazywał, ani ona ani nikt mu się opierać nie mógł.

Zapowiedział żonie, aby z dworem swym i Sonką, razem z nim do Trok jechała. W milczeniu nadąsaniem księżna wysłuchiwała rozkazu.

Witold poprzedził je na zamek, na którym nawet dla króla i liczego jego dworu zbyt wielkich przygotowań nie było potrzeba. Liczny tylko orszak wyżywić było ciężko, lecz Wilno miało zapasy, a wicśniacy wozy i sanie na skinienie.

We dnie jeszcze w wigilią nowego lata nadbiegł goniec króla poprzedzający... Witold rad go dobrze usposobić dla siebie, na spotkanie wyjechał. W mili od Trok spotkali się na gościńcu i z koni zsiadłszy uściskali.

Król nie miał z sobą wielkiego dworu, kilku zaledwie panów mu towarzyszyło, lecz pomiędzy nimi był nieodstępny Oleśnicki.

Zobaczywszy go Witold, mimowoli się zżymnął. Spodziewał się, że Jagiełło choć tyle mieć będzie mocy i zręczności, aby mu nie dać jechać z sobą, gdy... miał być tylko zawadą.

Powitał jednak przeciwnika uprzejmie, nie ukazując mu chmurnego czoła.

Z twarzy Jagielly, podróżą i ruchem jakby odmłodzonej, widać było pragnienie poznania swej przyszłej i rozbudzoną ciekawość.

Stary niecierpliwym był jak dziecko, i ukrywać się z tem nie umiał. Zaledwie kilka słów przemówili do siebie, gdy do ucha pochyliwszy się Witoldowi, szepnął mu.

— A zobaczę ja ją rychło.

Książę odparł wesóło.

— Dziś jeszcze nawet.

Słów tych parę zamienili tak, że ich nikt podsłuchać nie mógł. Głośno Jagiełło przemówił o podróży, o mrozie, i o polowaniach odbytych po drodze. Choć wiele czasu nanie nie było, dwa wozy nabitego zwierza wlokły się za obozem królewskim... król, jak zawsze, chwalił się niemi.

Pomimo, iż podróż ta jak najspieszniej dokonana, umyślnie była z małym przedsięwziętą orszakiem, wyglądał on okazale i królewsko.

Panowie polscy i dwór, właśnie dla tego, że Jagiełło w prostym kożuchu baranym zwykł był jeździć, a nawet pokrycia na nim jaskrawego nie znosił, tylko szare, stroili się tem wytworniej, chcieli aby potęgę i możność Jagiełły widział świat cały. Towarzyszący mu kopijnicy, czeladź, komornicy, pacholki, woźnice daleko pyszniej się przedstawiali, niż sam król. Każdy z urzędników i panów krakowskich wiodł z sobą poczet okazały, wszystkich ich szuby kryte szkarłatem, kołpaki, pasy, rzędy na koniach od złota polyskiwały. A i postacie i twarze też były poważne i rycerskie.

Czuć było w tych ludziach wyswobodzonych, pewnych siebie, senatorów i panów, którzy szli w pomoc panu swemu, ale mu nie służyli niewolniczo. Gdy przed Witoldem wszystko co się około niego obracało, drżało, tu każdy poczynawszy od Zbyszka, do góry głowę nosił.

Bjzarowie litewscy towarzyszący Witoldowi, dostatni, poważni, postrojeni kosztownie, znać było, iż mu służyli, a woli własnej, ani słowa swobodnego nie mieli.

Dwa poczty jak niebo do ziemi nie były do siebie podobne i panowie też ich w przeciwieństwie byli z sobą.

Dobroduszny a niepozbawiony przebiegłości Jagiełło, był więcej ojcem swoich, niż królem, Witold zaś wodziem i wszechwładnym panem.

Na skinienie jego jak tatarsej ciurowie pod Grunwaldem, wieszać się szli gotowi, tak tu bojarowie wszyscy bodaj w ogień i wodę.

Z polskiemu senatorami musiałby się być król wprzód rozmówić, nimby poszli na oślep...

Jechali dalej na konie siadłszy przodem, sami z sobą, a za nimi tuż, naprzód duchowni, bo Zbyszek kapelana miał z sobą i pisarza, potem wojewoda krakowski, urzędnicy dworu, komornicy i rycerstwo.

Jagiello, którego już sam widok Litwy czynił wesołym, śmiał się i podżartowywał. Wspomnień starych pełno dlań było po drodze. Znał wszystkie te lasy, pamiętał niejednen pobyt w Trokach... Zasepiało go to tylko chwilkami i chmury po czole przechodziły, gdy mimowolnie obliczał ile lat upłynęło od czasów owych... i jak już starym był, choć nim się nie czuł jeszcze.

Uśmiechnął się, gdy wyjechawszy z lasu, ujrzeli jezioro, mury zamków obu, na tle wieczora zimowego świecące oknami ognistemi, wesoło w górę podnoszące się dymy i przy pierwszym zamku gromadę ludzi ciekawych, która na widok pana swego i króla okrzykiwać ich zaczęła po litewsku.

Widok tych ludzi, strojów, dźwięk tej mowy rozdzonej, poruszył Jagiellę bardziej jeszcze. Mógł nawet zapomnieć o polskiej drużynie i o polskiej koronie na chwilę, tak się czuł dzieckiem tej ziemi i lasów...

Witano ich ciągle po drodze, starym obyczajem czołem bijąc i na ziemię padając. Z kościoła odezwały się dzwony, wyszło i duchowieństwo...

Witold, który tu panem był, znikał na czas przed królem, z którego ręki trzymał Litwę, ale kłaniając się Jagielle trwożliwie patrzano na niego.

W podwórzu posiadali z koni, a tu służba z pochodniami stała... Księżna Julianna strojna wielce, sztywna, blada, witała też w progu króla, wiedząc

go do wielkiej sali, na której olbrzymim kominie ogień płonął ogromny.

Jagiello wiódł oczyma niespokojnie witając ją, bo się spodziewał w jej orszaku Sonkę zobaczyć.

Księżna nie wzięła jej z sobą.

Oczyma pytał król Witolda, sądząc, że między pannami za Julianną idącemi się kryła, lecz książę głową mu dał znak, ażeby tu jej nie szukał.

Czekały już przybywających stoły nakryte dla dworu osobno, a w bocznej komnacie dla Jagielly i Witolda.

Tu mogli być sami, a choć drzwi do sali stały otworem, rozmówić się niesłuchani. Księżna Julianna nie wieczerzała z nimi... Nie śmiejąc pytać o Sonkę, a żądny ją zobaczyć, król spoglądał na Witolda, dla którego wzrok ten był zrozumiałym.

Niespokój króla dobrze wróżył.

Gdy zasiedli do mis, Witold rzekł zeicha.

— Po wieczerzy!

Wyszła księżna, której mąż pocichu dał rozkazy.

Z sali, do której zaproszono gości, i gdzie Cebulka, Lutek z Brzecia i Małdrzyk, Polacy w Witoldowej służbie, uprzejmie gospodarowali, dochodził gwar wesóły, brzęk mis i dzbanów... Król wziął się do jedzenia, nie tak jakby po wyglodzeniu podróżą powinien był...

Oczy miał ciągle ku drzwiom obrócone... Zabawiał go jak mógł Witold obojętnemi wiadomościakami o Litwie. Król milczał, ledwie gdzie wtrącając słówko...

Na misach stały już tylko łakocie, gdy drzwi narazie otwały się szeroko i w nich ukazała Julian-na, z twarzą chmurną, spełniająca rozkaz męża. Wiodła ona Sonkę za sobą.

Na widok jej, król się porwał z siedzenia.

Księżniczka była bardzo skromnie ubraną, bo jej nie dozwolono ustroić się jak chciała, nie umniejszało to jej dziewiczego wdzięku. Stojące na stole światło

woskowe i blask od ognia padający, oblały jaskrawo i wyraziście postać chudą i surową księżnej, a obok bładą trochę z trwogi, lecz piękną i dumnie a śmiało podchodzącą ku stołowi Sonkę.

W oczach zapatrzonego na nią Jagielly, księżniczka pokraśniała rumieńcem cała, oczy jej pełne blasku wprost się zwróciły na starca, który się jej uśmiechał, ręką dając znak powitania.

Zboku stojący Witold badał wrażenie... W oczach Julianny gniew pałał, groźnie zmierzyla niemi króla i cofnęła się nieco.

Jagiello mógł się dobrze przypatrzeć swej przyszłej i nic nie uszło badawczego starca wzroku. Ruszył się z za stołu i z siedzenia, aby zbliżyć do Sonki, która nie okazywała najmniejszej trwogi.

Zawsze dość niewyraźnie, prędko i zająkliwie mówiącemu królowi, w tej chwili słów zabrakło. Uśmiechały się usta tylko i gorzały oczy.

— Ja ciebie—odezwał się nareszcie—ot taką małą widziałem—aleś mi wyrosła.

Sonka nie wiedziała co odpowiedzieć.

— A ja, prawda—dodał—postarzałem dużo.

Dziewczę tylko głową potrząsnęło.

Julianna stała tuż ciągle, lecz Witold dał jej znak i odprowadził sam na stronę, zostawując Sonkę z królem, aby swobodniej mogli przemówić do siebie.

Milcząca ustąpiła Julianna, bledsza coraz i drżąca. Nie słysząc już było rozmowy Jagielly cichej z Sonką, bo na kominie ogień trzaskał, a z sali gwar coraz huczniejszy dochodził.

Księżna postrzegła jednak, że król pytał i otrzymał odpowiedzi...

Kilka zaledwie minut to trwało, gdy Witold przystąpił bliżej, a Julianna, korzystając z tego, Sonkę za suknię pociągnęła i niemal gwałtem z sobą jej iść kazała.

Miała jednak czas księżniczka głowę skinać królowi i wolnym krokiem wyszła za Julianną.

Stał moment Jagiello zadumany patrząc na ogień, a potem na ławę się rzucił. Rękę wyciągnął do Witolda.

— Wdzięčen ci jestem! — rzekł — dziewczka kraśna i młoda, a niepłochliwa...

Rozśmiał się.

— Bóg da szczęście?

— Spodziewam się go dla was — dodał Witold — bo Sonkę Anna chowała jak własne dziecko... Dobrą jest, cichą, łagodną niewiastą, taką jakiej tobie potrzeba. Gdy ciebie nie będzie w domu, zamknie się i cierpliwie czekać potrafi. Do zabaw nie nawykła, do przepychu także.

— Kraśna! kraśna! — powtarzał król. Mnie takiej było potrzeba dawno...

— No, a Zbyszek i twoi panowie? — zapytał Witold.

Król posępnie spuścił głowę.

— Wojnę z nimi staczać przyjdzie — zamruczał — to wiem... lecz gotówem na ich opór nie zważać. Nie zechce żaden z nich ślubu mi dać — to Maciej biskup wileński nie odmówi.

— Tego jestem pewnym — dodał książę...

W sali jeszcze uczta się przeciągała, bo Witold gościnnym i szczodrym dla obcych był zawsze, a jego dwór pilno się około Polaków krzątał, gdy król z księciem poszedł do sypialni dla niego przeznaczonej.

Dnia tego nikogo ze swoich nie miał widzieć oprócz komorników i służby; ale Hincza mu się umyślnie nastreczył, gdy szedł do łóżka.

Jagiello uderzył go po ramieniu.

— Nie skłamałeś! — zamruczał i rozśmiał się — piękną jest...

Dla przypodobania się Bogu i pobożnemu Zbysz-kowi, król nazajutrz dzień od mszy rozpoczął i słu-

chał jej z wielkiem przejęciem. Przewidywał już co go czekało, bo w drodze prałat nie przestawał mu małżeństwa odradzać i grozić nim... Nie dawał się przelamać.

Spodziewał się w pomoc wziąć Witolda.

Przy blasku dnia, Sonka królowi jeszcze się piękniejszą i świeższą wydała, gotów był stoczyć bój, a ostatecznie przebojem ślub brać na Litwie z pomocą Witolda i biskupa Macieja.

Książę wymawiał mu ciągle, iż zbyt powolnością Polaków uzuchwala.

W ciągu dnia choć Oleśnicki był przy królu, gdyż sprawy czeskie i grożąca z Krzyżakami wojna wymagały z Witoldem narady, nie wspomniano o Sonce. On też nie tykał drażliwego tego przedmiotu, patrzył tylko i czekał.

Przed wieczrą sam książę zagaił, bo mu już było pilno wyjść z niepewności.

— Swaty moje — odezwał się do Oleśnickiego — jak widzę, miłe są Jagielle. Sonka mu się podoba; dlaczegoby się żenić nie miał?

— Chcę się ożenić! — dodał Jagiełło.

— My nie radzimy i zgody naszej na to nie będzie — spokojnie rzekł Zbyszek. — Pan nasz miłościwy wie dobrze, bośmy o tem niejeden raz z nim rozmawiali, dlaczego nie pochwalamy tych ślubów spóźnionych.

Oprócz innych powodów, mamy i ten, że Papież ich nie dopuści... to wola jego...

— Papieża prześlągamy — rzekł Witold.

— Naprzód więc Ojca Św. by należało pytać i pozwolenie jego mieć — przerwał Oleśnicki.

Król z siedzenia się poruszył.

— Do Rzymu śłać! czekać!! Jam stary, ja czasu nie mam! wiecie ile potrzeba miesięcy nim pośle z tego Rzymu powrócą.

— Miłościwy panie — rzekł Zbyszek śmiało —

czekać na pozwolenie, jak mówicie, że starzy jesteście, a do ożenienia nie czujecie się za starym?

Z gniewem odwrócił się król od niego i nie dał odpowiedzi.

— Żaden z biskupów naszych—dodał Oleśnicki—w obec papieżskiego zakazu, ślubu wam nie da...

Król już się miał wyrwać z odwołaniem do Macieja wileńskiego biskupa, gdy Witold oczyma mu dał znak, aby przedwcześnie się nie zdradził.

Oleśnicki uprzedzony, mógł litewskiego pasterza groźbami na swoją przeciagnąć stronę.

Jagiello, gdy spór z panami i duchowieństwem polskim do ostatecznych dochodził granic, prawie zawsze zamykał go milczeniem, a często nawet z izby się oddalał, unikając szermierki wyrazów, w której nie był nigdy mocniejszym. I teraz też zamiast się dłużej ucierać z Oleśnickim, usiadł za stół, spartł się na rękach i milczał.

Witold rozpoczął na nowo.

— Miejcież wzgląd na króla — rzekł — któremu korona polska, okrom pierwszych kilku lat szczęśliwych nie przyniosła wiele pociechy. Wy królujecie nie on, a on cierpi za was. Przymierza mu nie dajecie zawrzeć jakby pragnął, dajcież małżeństwo po myśli sobie dobrać.

— Niesłuszne nam książę czynisz wyrzuty — odezwał się Oleśnicki. — Przymierzy pilnujemy dla kraju, a małżeństwa dla króla samego nie chcemy dopuścić... Miłujemy go jak ojca...

Spór tak rozpoczęty, pomiędzy księciem a Zbyszkciem, nie rokując, aby się mógł porozumieniem skończyć, prowadzony dosyć długo, zniechęcił tylko obu ich sobie.

Król nie brał w nim udziału, pomrukiwał tylko, a gdy Oleśnicki odszedł nareszcie, Jagiello wstał poruszony i zbliżywszy się do Witolda, rzekł stanowczo.

— Nie zważając na nich, musimy swoje zrobić.

Niech potem krzyczą... Do Polski wieść ją dla ślubu w Krakowie, gorzejby było, ja sam przyjadę po nią na Litwę.

— Kiedy? — zapytał Witold — po Wielkiej nocy?

— A! nie, długo czekać — żywo rzekł Jagiello — na zapusty...

Pośpiech ten może nie był na rękę Witoldowi, ale miarkował, że przeciągać było niebezpiecznie

W powolności też wielkiej dla Jagielly, sprawy inne grały rolę wielką. Sonka miała być przy królu szpiegiem i pomocnicą Witolda, tego się spodziewał, lecz oprócz tego, chciał wymódl na królu, aby wbrew najuroczystszych zobowiązaniom swym, nie mieszania się do spraw czeskich, nie wspomagania burzących się hussytów, a nawet wbrew obietnicy uczynionej wysłania posiłków przeciwko nim, mógł bezkarnie Witold wysłać do Czech Zygmunta Korybuta.

Na wszystko więc Witold gotów się był zgodzić, pomagać Jagielle, ułatwiać mu ten związek, tak pilny dla starca, byle... on przez szpary patrzył na wyprawę Korybutową.

Tegoż wieczora zagadnął go w sypialni książę.

— Przez twoich panów duchownych — rzekł — którzy dla Rzymu i papieża własnego interesu nie widzą, musiałeś się ty wyrzec korony czeskiej, a za tobą i ja... Z rąk nam ją wyrwali... Zygmunt Czechom nie da rady, a nam przepadnie królestwo...

Jagiello uląkł się niezmiernie.

— Z Zygmuntem zawarte przymierze! — zakrzyczał...

A on pierwszy je złamie, gdy mu będzie potrzeba — gorąco poczał Witold. — Zresztą ani ty ani ja, nie pójdziemy do Czech...

Jagiello uszy sobie rękami zasłonił.

— Korybut wielką ochotę ma, a my go hamować nie mamy obowiązku. Niech idzie...

Król dawał znaki aby milczał, lecz Witold słuchać go nie chciał.

Szkoda kraju... język prawie ten sam co w Polsce, garnie się do was, rękę tylko wyciągnąć.

Ciągle strwożony jeszcze król, rękami się od słów opędał.

— Kacerze są, niewierni! przed którymi kościoły zamykają, szatanowi służą... Ojca Papieża nie uznają... przekłeci są.

Witold dziwnie wykręcał ustami.

— A nam co do ich wiary? — przerwał — Ja Tatarów osadzam na Litwie, i daję się im jak chcą modlić, choć oni Chrystusa nie uznają, żydów cierpimy wszędzie, nie mielibyśmy zaś tych co Chrystusa inaczej jak my czczą, znosić i dawać im swobody chwalenia go, wedle ich obyczaju?

— Od pogan gorsi, kacerze! — zawołał Jagiełło gorąco i z obawą wielką. — Słyszałem to z ust biskupów, tamci Chrystusa nie znali, ci go odstąpili i od kościoła się odszczepiają.

— Sprawa księży nie nasza — przerwał Witold — my podbijać i powiększać państwo powinniśmy, to nasz obowiązek... Gdy Czechy zagarnie nasz, Korybut, niech potem twoi duchowni ziarno w nich od plewy oddzielają.

Jagiełło ciągle zatykał uszy. Spoglądał z obawą na drzwi i do koła, czy ich nie podsłuchają, drżał. Oprócz duchownych, bał się samego Boga, którego gniewem mu grożono... Zbyszek szczególnie nieubłagany był w sprawie hussytów, namawiając, by ogniem i mieczem kacerstwo wyplenić...

Witold bez względu na to, nalegał nie ustępując. Korybut był gotów.

Pomiędzy dwoma, Zbigniewem, który pioruny rzucał na Czechów, a litewskim księciem, który sprawę wiary oddzielał od ziemskich i państwo chciał rozszerzać, Jagiełło lękając się obu, znajdował się w najprzykrejszym położeniu.

Witolda nie chciał zniechęcać dla siebie, z powodu małżeństwa, do którego on mu miał dopomagać, Zbi-

gniewa zaś obawiał się, bo go nieustannie miał przy sobie i nad sobą, a on wyobrażał i większość duchowieństwa i przeważną część senatorów i radę.

W duszy stary, znużony król, był za pokojem nie za nową wojną, obawiał się potęgi papieża i Kościoła.

Widać było z oblicza na pół strwożonego, na pół znękanego, że rozmowa ta dręczyła go i niemiłą była. Spoglądał ku Witoldowi, jakby go o litość błagał. Lecz właśnie stan ten Jagielly skłaniał księcia do silniejszego następowania.

— Zygmunt Korybut bądź co bądź wyruszy do Czech! — rzekł Witold — na to się przygotować potrzeba. Ja go pewnie wstrzymywać nie będę.

— Ale zaręczenie dane Luksemburczykowi! — wołał Jagiełło cichym, stłumionym a poruszonym głosem. — Narazimy go sobie, uczynim nieprzyjacielem... właśnie gdy wojna z zakonem lada godzina nieuchronna.

— Zygmunt nigdy naszym ani niczym przyjacielem nie będzie — wykrzyknął Witold. — Znać potrzeba tego człowieka. Jedno złoto go może pozyskać, a tego ani ty, ani ja nie dostarczym mu nigdy do syta.

I Witold powtórzył dobitnie.

— Korybut pójdzie na Czechy.

Jagiello milczał wylekły.

— Ja na to zezwolić nie mogę — rzekł.

— A ja zapobiegać nie chcę — odparł Witold. —

Myśmy nie księcia i sprawa papieżka nas nie obchodzi.

Znowu Jagiełło uszy sobie zatulił.

— Wiedzieć o tem nie chcę, znać nie chcę, milcz!

— zawołał gwałtownie. — Papieża potrzebuję dla małżeństwa mojego, aby mi je potwierdził.

— A mnie też, abym ci Sonkę dał — zawołał Witold. — Musisz na Korybuta oczy zamknąć.

— O niczem znać i wiedzieć nie chcę! — powtórzył król.

Witold się szydersko rozśmiał.

— Ale ja też nie będę głosił przed światem, żem go wyprawiał! — rzekł wesoło — ja także się go wyprę, choć rad jestem, że to królestwo, które nam z rąk wydarł twój Zbyszek, może przez Korybuta odzyskamy.

Westchnął król...

— Papież i król rzymski są wielką potęgą — szepnął smutnie — my przeciwko nim walczyć nie możemy. Rzymski biskup ma swoich podwładnych między naszymi wszędzie, sługi jego trzymają kościoły, klasztory, ziemie, ludzi, no i sumienia.

Musiemy słuchać!!!

Milcząc spoglądali na siebie długo.

— Ani siebie ani mnie do sprawy Korybuta nie mięszajcie — począł zasmucony Jagiello. — Nie możecie go wstrzymać.

— Nie chcę go wstrzymywać — przerwał książę.

Jagiello zagadnął o Krzyżakach, z którymi Witold zdawał się być w bliższych i poufalszych stosunkach niż przedtem.

— Ja wojnę im wypowiedzieć będę musiał znowu — dodał — a ty iść musisz ze mną.

Książę nie okazał wcale, aby mu to wstrętniwe było.

— Krzyżacy — rzekł — obojętni mi są... Słabsi starają się mnie pozyskać, ja chcę się nimi wysłużyć, a złamiemy ich, tem lepiej...

Nie odtrącam ich, ale bronić i osłaniać nie będę.

Wiedział Witold, że dłuższa rozprawa o tych rzeczach Jagielle będzie nieznośna, zasepi go i zrazi, dokonawszy więc co chciał, to jest zapowiedziawszy królowi wyprawę Korybuta, starał się zasepić jego czoło rozmarszczyć.

Jagiello w obawie, aby od niego dla Korybuta więcej nie wymagano, na bierne i obojętne znalezienie się — mówił już o wyjeździe z Trok, a potrzebie przygotowania się do wesela...

Dla rozweselenia go, Witold Sonkę raz i drugi wprowadził, aby mógł się jej przypatrzeć i nacieszyć...

Jagiello patrząc na nią, zapominał o ciężarach panowania i korony.

Ostatniego dnia pobytu w Trokach, gdy już o Korybucie wcale mowy nie było, nagle przed rozstaniem samem, król oznajmił Witoldowi.

— Wiesz, że ja królowi rzymskiemu posiłki przeciwko Czechom obiecałem i że pošlę mu pięć tysięcy ludzi.

Zimno przyjął to Witold.

— Jeśli ich stracić ci nie żal — rzekł książę — czyń jakieś postanowił. Jabym mu i jednego nie dał człowieka...

To nie przeszkodzi Korybutowi iść także do Czech, a gdy tam twoich ludzi spotka, nie zważać, że Polacy są.

Popatrzyli na się, Jagiello posmutniał. Witold pogodnem czołem wszystkie te konieczności położenia znosił. Posługiwać się umiał wszystkim.

Przy widzeniu się z Sonką, gdy ją żegnał Jagiello i pierścień jej zaręczynny na palec wkładał, prosząc aby mu była wierną towarzyszką, księżniczka podniesionym głosem przyrzekła mu to.

Od świąt Bożego Narodzenia do Zapust nie tak wiele czasu pozostało dla przygotowań do wesela.

Król śpieszył, aby sprawy co najpilniejsze załatwiwszy, módtz na Litwę powrócić.

Z Witoldem rozstawali się serdecznie, w najlepszej zgodzie i porozumieniu. Jagiello o Korybucie wiedzieć nie chciał wprawdzie, lecz jego wyprawy nie zdradził przed panami polskimi i przeszkadzać jej nie miał. Oleśnicki o niej nie wiedział. Na wyjeździe z Trok, spodziewał się on stoczyć jeszcze ze starym królem walkę o małżeństwo, ale Jagiello nie mówił o niem.

Odłożył więc Zbyszek rozmowę o tem do podróży

wnosząc, że gdy Witolda nie stanie, król powolniejszy będzie. Zawiódł się na tem. Na pierwsze wspomnienie o Sonce, Jagiełło odpowiedział sucho.

— Małżeństwo postanowione...

Oleśnicki zamilkł...

— W Krakowie — odezwał się po przestanku — bez pozwolenia Papieża ślubu nikt nie da.

— Znajdzie się taki co mi go nie odmówi — zamruczał król...

Nie drażnił już prałat swojego pana napróżnem sprzeciwianiem mu się. Wolał w końcu uleść tej upartej starca fantazyi, tylko jemu samemu groźnej, aby w ważniejszych sprawach stanać tem silniej.

Było to jego zdanie, a zdanie Oleśnickiego zawsze prawie przeważało w radzie. Zgodzili się chętnie wszyscy na to, aby królowi nie czynić oporu i nie przeszkadzać.

Z pewną obawą patrzano w przyszłość, lecz ta była nieuniknioną już.

Król w podróży ciągle małżeństwem był zajęty. Na wszystko się zgadzał, obsypywał łaskami, wymagał tylko, aby mu w tem posłużono...

Wyprawiwszy wskok do Krakowa, po to, co do wesela było potrzebnem, polował w Wągrowskiej puszczy.

Ztąd posły i gońce biegały nieustannie to do Nowogródka, który wyznaczono jako miejsce chrztu i małżeństwa, to do Krakowa, zkąd musiano ludzi i podarki, dwór i sprzęt różny ściagać.

Panowie polscy za przykładem Oleśnickiego idąc, gotowali się pokłonić królowej młodej, choć jej sobie nie życzyli.

Spełniała się wola i rachuby Witoldowe...

W najprzepaścistszy koniec zimy, bezdroża i roztopy, nappełnił się Nowogródek niespodzianie całemi zastępami dworu Jagiełły, który zdala od stolicy, w małym miasteczku, jakby unikając oczu ludzkich, małżeństwo chciał mieć jak najokazalszem. Witold też

siostrzenicę swą, ubogą, wyposażał przynajmniej świe-
tością orszaku, jaki jej towarzyszył.

Pomimo woli swej, zmuszona ciągnęła z nią księ-
żna Julianna, zjechał ściągnięty na ten dzień z Rusi,
stary Siemion książę Holszański, stryj Sonki, który
ją zdawszy na opiekę Witoldowi, jemu los siostrze-
nicy niespodziany zawdzięczał.

Zjechali panowie królowi bliżsi i mili z Polski ze
wspaniałemi pocztami, aby Jagiełłę otoczyć, Witold
wiódł z sobą mnogich kniaziów ruskich i bojarów
litewskich.

Z Wilna umyślnie w tym celu zaproszony do or-
szaku księcia, przybył Maciej biskup wileński, który
chrzcić miał księżniczkę i ślub dawać. Nie chciano
prosić o to biskupów polskich.

Przez cały czas oczekiwania, przyborów tych, po-
dróży, Sonka, prawie łzy nie uroniwszy, spokojna, na
pozór obojętna, posłuszna dawała z sobą czynić co
kazano. Nie okazywała ani radości, ni trwogi.

Witold, choć nie rozumiał jej może, tłumaczył so-
bie to bierne zachowanie się, ogromem szczęścia, któ-
re spadało na dziewczę niespodziewanie.

Nie przestawał powtarzać, iż jemu zawdzięczając
wszystko, Sonka powinna też być oddaną mu i po-
słuszną.

Nigdy na to nie otrzymywał odpowiedzi, lecz dzie-
wiczka trwoga to tłumaczyła.

Z tym pośpiechem z jakim nalegał Jagiełło o mał-
żeństwo, poszły uroczystości nowogrodzkie. Znale-
ziono na zamku przygotowanem wszystko. Nazajutrz
po przybyciu, Sonka podług obrządku rzymskiego
ochrzczoną została, i tegoż dnia jeszcze sędziwy król
połączył się z nią u ołtarza.

Uczta była już zastawioną, trąby i piszczałki
grzmiały, okrzyki się rozlegały, tłumy cisnęły aby
młodą panią oglądać...

Polski dwór króla, ze zdumieniem widział ją w tej
chwili stanowczej, bez łzy w oku, z podniesionemi

w górę oczyma jasnymi, patrzącą śmiało, kroczącą dumnie, nie okazującą najmniejszego wzruszenia, jakby przygotowaną do tego losu, który ją spotkał.

W księżnie Juliannie budziło to gniew tem większy, w Witoldzie poszanowanie i radość, bo im więcej siły okazywała ta jego królowa, tem on pewniej na nią mógł rachować.

Zdawało mu się, że odniósł zwycięstwo wielkie, krok ważny uczynił do opanowania steru spraw ogólnych Polski i Litwy.

Rachunek był prosty i na pozór nieomylny. Królowa wszystko jemu była winna, starego króla opanować musiała, znaną była jego powolność. Witold przez nią miał rządzić Jagiellą i Polską.

Ponieważ wojna z zakonem w tym roku była nieuchronną i przysposabiać się do niej musiano zawczasu, weselne więc gody w Nowogródka długo się nie mogły przeciągać. Witold pośpieszał do Wilna, król z żoną jechał do Krakowa, gdzie na nich oczekiwała córka jego Jadwiga i przyszły dla niej przeznaczony małżonek ośmioletni Brandeburezyk, którego król chciał sobie jako syna wychować.

Młodej pani pilno zdawało się być do swej stolicy. Jagiellę jeszcze w okolicach Nowogródka ciągnęły puszcze i obiecane w nich łowy, a czas powrotu do Krakowa zwlec się miał o dni kilka, gdy Sonka wymogła z wielkiem zdziwieniem wuja, że podróż przyspieszono...

Był to pierwszy dowód siły, jaki dała młoda królowa: Jagiellę dla niej poświęcił myślistwo.

Zapowiadało to, że Sonka potrafi zawładnąć mężem, który czułym dla niej i powolnym od pierwszych dni się okazywał.

Ruszono z Nowogródka dworno i huczno, po drodze zawczasu oznaczonej nieustannie przyjmując hołdy duchowieństwa, ziemian i ludu.

Stanowniczowie potrzebowali oznajmić o królu,

aby miasta i wsie wszystkiego dostarczyły, co było potrzeba dla ugostczenia pana.

Wszystkich oczy w ciągu tej podróży zwrócone były na królowę. Starano się odgadnąć ją i przewidzieć pożycie. W Nowogródku Jagiełło okazywał się szczęśliwym, lecz uroczystości już go znużyły, nie lubił nigdy występów, dla których przystrajać się musiał i królewską swą godność nosić z powagą i w majestacie.

Królowa przeciwnie była w swoim żywiole.

W Nowogródku już szaty i klejnoty, których jej obfitość wielką złożoną w darze, poczęła przydziewać, stroić się i z widoczną radością okazywać w nich publicznie.

Z dawnych sług, jechała z nią jedna stara nieodstępna Femka, lecz liczna polska służba i dwór polski ją otoczył, z którym ciekawie i ochoczo zabierała znajomość.

Zręczny Hincza z Rogowa umiał tak radzić sobie, że ochmistrz dworu Wojciech Malski, Nałęcz, zaliczył go do służby pani. Dla Femki i dla niej był to jakby stary znajomy i pierwszy on ofiarował się za pośrednika do reszty dworaków, za powiernika i poufnego sługę.

Cisnęli się zresztą i inni usiłując przypodobać, zalecić, pozyskać względy i obyczajem wszystkich dworów, zawiści i niechęci rodziły się już pomiędzy współubiegającymi.

W podróży król nie wytrwał u boku żony... Gdy przebywać trzeba było lasy, woń mu zaleciała zwierza dzikiego, psy spostrzegł, łowców ciągnących próżno, i dał się skusić. Królowa została sama, ciągnąc dalej powoli.

Nie okazała ztąd ani smutku, ani próbowała króla odwieźć od ulubionej zabawy. Ofiarowała się nań czekać. Stary przyrzekał ją napędzić.

Na twarzy siedemdziesięcioletniego nowożeńca, gdy znowu uczuł się sam i swobodny, zaśmiała się radość

dziwna. Z pośpiechem rzucił się w lasy. Sonka spojrzała za odjeżdżającymi wzrokiem chłodnym, a pozostawszy z dworem swym, wesołości nie straciła...

Nie chciała tylko sama wjeżdżać do Krakowa, ani bez Jagielly znaleźć się na zamku w obec córki jego, a całego zastępu obcych ludzi, oczekujących tam na nich z Brandebureczykiem i posłami.

Podróż więc stosowano tak do łowów Jagielly, ażeby mógł się połączyć z orszakiem Sonki, która u boku jego chciała się ukazać panom polskim.

Jagiello, posłuszny żonie, zjechał się z nią w czas i przystroił do uroczystego wjazdu.

Były to pierwsze dni wiosenne... W Krakowie z ciekawością, lecz z niezbyt chętnym usposobieniem oczekiwano Rusinki. Duchowieństwo tego czwartego małżeństwa się lękało, w Sonce widziano Witolda siostrzenicę, a jemu niedowierzano i lękali się go wszyscy.

Król jechał czując to, że go nie przyjmą z temi okazami radości, jakie niegdyś mu towarzyszyły... Czuł się niemal winnym i potrzebującym przebaczenia...

Prowadził żonę wziętą mimo woli narodu, która nie była koronowaną jeszcze, więc nie królową, ale króla małżonką. Sonka domyślała się tego, lecz nie okazała trwogi, ani upokorzenia, zdawała się wyzywać śmiałością swoją.

Uroczystego przyjęcia być nie miało... Z ostatniego spoczynku pod Krakowem, siadł król na koniu w szubie bramowanej i kołpaku, towarzysząc Sonce, która nie pytając go, przywdziała gronostaje, płaszcz szkarłatny i na głowę złote klejnoty. Dworowi też swojemu kazała się przybrać strojno i okazale.

Król się nie sprzeciwiał. W mieście gromady ludu ogromne stały, cisnęły się, podglądały, ale milczące... Królowi czapkami wiewano tylko... Poważnie lecz cicho orszak przeciągał przez ulice. Z kościołów wy-

chodziło pana witać duchowieństwo, odezwały się dzwony, ale radości, uniesień, wesela nie było. Jakieś oczekiwanie trwożliwe.

Po twarzy królowej, która czuła się tu niepożądanym gościem, przebiegały rumieńce, w oczach połyskiwały płomyki gniewu, lecz usta uśmiechały się posłuszne. Serce jej biło, wiedziała, że ją otaczają nieprzyjaciele, niechętni, źli może, potrzeba było podjąć walkę, zwyciężyć ich, zapanować tu, zostać naprawdę królową.

Inna możeby poczuła lżę na powiece i trwogę, Sonka знаła swą siłę i wytrwałość. Długie lata walki stały przed nią, krok za krokiem powoli musiała iść do celu, lecz dojść do niego, była pewną.

Jagiello z nieśmiałością podnosił wzrok i spuszczał oczy, Sonka radować się zdawała pięknemu miastu i zamożnemu ludowi...

Biskup Wojciech czekał na Wawelu... Przy nim stał milczący Oleśnicki, w szatach kapłańskich, ryccerz postawą. Król dał mu znak przyjazny głową, jakby o przejednanie go prosił.

W przedsieni zamku, czekała na przybraną matkę królowna Jadwiga, kilkunastoletnie dziewczę strwożone i blade, wystrojone i zdające się upadać pod brzemieniem klejnotów, którei ją okryto...

Tuż obok ośmioletni Brandenburczyk w niemieckim stroju, z czapeczką w rękę, obcisłej sukni i płaszczyku, z włosami długimi, utrefionemi w pukle, przy którym ks. Eljasz i Piotr Chelmski nauczyciel i dozorca stali czuwając, gotował się witać Jagiellę, zdala uśmiechającego dzieciom.

Sonka pierwsza pośpieszyła uściskać przeleklą i drżącą królowną, której łzy strumieniem biegly po twarzy.

Król wszystkich witał z uprzejmością niezwykłą,

z radością, ze wzruszeniem, starając się pokryć niepokój, który go ogarnął, a mając przestąpić próg zamku, szepnął Sonce po rusku.

— Patrzajcie! przez próg prawą nogą!

V.

Rok przeszło upłynął od tego dnia pamiętnego, gdy królowa Sonka po raz pierwszy wstąpiła na swój zamek krakowski, ścigana oczyma niechętnemi, wśród wiele znaczącego mileżenia. Na oko nie zaszły tu żadne zmiany uderzające, ludzie pozostali ciż sami, tryb życia króla nie uległ obyczajowi nowemu, a jednak inaczej tu było teraz, i obok Jagielly czuli ludzie siłę tej niewieściej małej rączki, która żelazną być umiała...

Bez rozgłosu, bez przewrotów, zwolna i cicho dokonywały się nawrócenia, przejednania, objęcie rządów i panowania.

Dwór króla był tak dobrze jej własnym dworem i pod jej władzą, że niewiasty i mężczyźni, życie za nią dać byli gotowi; na dworze króla, Sonka miała swoich, miała ich w radzie, między duchownemi, w mieście, wszędzie.

Ale miała tyleż prawie niechętnych i przeciwników.

Kiedy i jak się to dokonało, zaprawdę nie umiałby był nikt powiedzieć. Sonka się ze swą władzą nie chwaliła i nie rada jej okazywać, ledwie nie chciała ją ukryć.

Jagiello kochał żonę i posadzić było można, że się razem obawiał. Nie znajdował ją może tak powolną jak sobie wyobrażał, choć zarzucić nie nie mógł. Powracał z każdych łowów i podróży stęskniony i rozmiłowany, a po jakimś czasie tęsknił za lasami... U królowej na zamku było dla niego za świetnie, za majestatycznie, daleko mniej poufale, niż w lesie przy ognisku, wśród wesołych myśliwych.

On o swem panowaniu radby był zapomniał, ona o koronie, której nie miała jeszcze, pamiętała nieustannie. Przy każdej rozmowie z mężem umiała mu ją przypomnieć. Jagiello, obawiając się spotkać jakie przeszkody, trudności, zwlekał.

Niektórzy z duchownych nawet w rozmowach z królem napomykali o koronacji, jako o uroczystości, na którą wszyscy oczekiwali. Z panów polskich Malski ochmistrz królowej, starsi komornicy Mszczuj ze Skrzynna, Klemens Wątróbka, niby przypadkowo mówili o niej, jako rzeczy spodziewanej.

Do osób, które młoda pani pozyskać sobie umiała, tak, iż one same niespostrzegły zmiany we własnych usposobieniach, należał i wrogi niegdyś Zbyszek z Oleśnicy, teraz już biskup krakowski, bo Wojciech Jastrzębiec rad nie rad poszedł ustępując mu guiznieńską stolicę.

Nieugięty ten mąż nie należał do przyjaciół Sonki, z pewną nieufnością spoglądał na nią zawsze, widząc w niej Witolda siostrzenicę, ale nie był jej wrogiem. Szanował w niej cnoty, które sam miał, mężtwo i wytrwałość.

Nie tajemem mu było, że ona tu rzucona w świat obcy, musiała pracować, aby go zjednać sobie, patrzył na ten podbój powolny i umiał go ocenić.

Dla młodych i starych królowa była uprzejmą wielce, na zamku urządzała zabawy, spraszała gości, chciała je mieć wesołemi, każdemu rzuciła słówko dobre, serca sobie jednała... Młodzież szalała za

piękną Sonką, ale ją majestat otaczał taki, a umiała wejrzeniem jednym groźnem tak odepchnąć od siebie, jak mogła przyciągnąć.

Biskupa Zbigniewa zjednało na ostatku jedno znalezienie się jej, gdy w sprawie zjazdu z Zygmuntem Witold przysłał tu posła do niej i żądał, aby ona go poparła. Szło jeszcze o nieszczęśliwego Korybuta, który z niczem z Czech powracał, gdzie wrzało i paliło się wojną.

Cebulka przyjechał wioząc do króla listy, a do królowej słowne rozkazy.

Naówczas Sonka wezwała krakowskiego biskupa do siebie, i opowiedziała mu, czego od niej wymagano.

Biskup wysłuchał, okazując pewien niepokój i sądząc, że królowa zażąda od niego, aby i on Witoldowi dopomagał.

— Nie mogę w sumieniu mem uczynić tego — rzekł — bym przeciw dobru pana mego, przeciw przekonaniu własnemu głos zabierał.

— Ani ja też tego nie uczynię — odezwała się Sonka — a dla tegom uwiadomić was o tem chciała, iż czuję, że mnie o słuzenie wujowi posądzacie.

Tak-li jest?

Biskup potwierdził milczeniem.

— Niesłusznie byście mnie obwiniali — dodała. — Ani w tej, ni w żadnej innej sprawie, przeciw dobru męża mego i kraju nie stanę... Szanuję wuja, lecz posłuszną mu być, ani służką jego i niewolnicą nie mogę i nie chcę.

Oleśnicki z radością to posłyszawszy, pokłonił się jej.

— Wytrwaj miłościwa pani! — rzekł krótko.

Cebulka powrócił z niczem, lecz od tej chwili biskup inaczej patrzył na królowę i większe dla niej okazywał poszanowanie. Być może, iż więcej też się jej obawiać począł, choć nie okazywał tego. Baczniej tylko na każdy krok jej spoglądał.

Najtrudniej było Sonce pozyskać sobie sierotkę Jadwigę, córkę królewską. Od pierwszego wejrzenia dziecię w młodej pani poczuło nieprzyjaciółkę, ona w niem istotę niechętną i nieprzejednaną.

Ukochać się nie mogły, a Jadwiga skutkiem podszeptów sług, obawiała się macochy. Gdy ją wprowadzano do niej, gdy sadzano do stołu, zabawiano, obdarzano... oglądała się trwożliwie, czekać się zdawała tylko chwili, w którejby uciec mogła.

Sonka czuła się tem obrażoną i po usiłowaniach napróżnych, mniej już troskliwą okazywała się dla dziecka, które jej jawne niechęci dało dowody. Jadwidze wmówiono, że ta królowa nowa, praw ją należnych pozbawi, że na jej życie czyhać będzie...

Nie skarżyła się na to królowa przed Jagiełłą, znosiła cierpliwie. Król przybywając ze swych wycieczek, sadzał przy sobie małego Brandenbureczyka z jednej strony u stołu, Jadwigę z drugiej, bawił się niemi, ale nic nie widział i nie domyślał się niczego.

Na dworze w tych kółkach, których królowa obie nie pozyskała jeszcze, siano plotki o niebezpieczeństwach, jakie biednej groziły sierocie, użalając się nad jej losem.

Donoszono o tem Sonce, gardziła potwarzami, a nie czuła się winną. Czyniła co mogła, czas powinien był dokonać reszty.

Ilekroć Jagiełło przybywał z nieustannych objazdów kraju i polowań, w progu zamku znajdował zawsze królowę uśmiechniętą, radą panu swojemu, uprzejmą, bez słowa wymówki na ustach. Nie zwykła też była prosić o nic, a Jagiełło, gdy się czuł winnym długiego zaniedbania, nagradzał to darami chojnemi...

Na Wniebowzięcie powracał właśnie z pod Czersztyna, dokąd go znowu Zygmunt wyciągnął. Królowa jak zawsze gotowała się na przyjęcie. Z Jagiełłą

razem jechali znaczniejsi panowie, którzy mu towarzyszyli, dla zgody i pojednania.

Stary, nieznużony pan, na jednym miejscu nigdy długo nieumiejący usiedzieć, czasem jednak radował się, gdy do Krakowa zawitał.

Był on tu tak dobrze gościem jak gdzieindziej, lecz gniazdo tu czuł swoje, gdy Wilno już w cudze oddać musiał ręce.

Na wiadomość o zbliżaniu się, wyjechała Sonka, biorąc z sobą Jadwigę i Brandenburczyka, dla powitania króla, z orszakiem tak wspaniałym i strojnym, iż całe miasto wybiegło mu się przyglądać. Jagiełło wystawności tej nie lubił, królowa znajdowała ją potrzebną i miłą. Lubowała się w szatach, rzędach i klejnotach...

Liczni dworzanie otaczali Sonkę, która z jednej strony wiodła z sobą niechętnie jej towarzyszącą Jadwigę, z drugiej małego jej narzeczonego...

Spotkanie u Prądnika było bardzo czułe ze strony króla, który z konia zsiadłszy, żonę wobec wszystkich uściskał, córkę potem całował i małą chłopię podniósł w górę do pocałunku... Radował się powrotem i opowiadał znużonym a stęsknionym. Tu zawróciwszy się jechali nazad do miasta, a że Jagiełło mówić nie lubił, słowy więc tylko rzucanemi drugich, do opowiadania podbudzał i śmiał się.

Na zamku mnogi dwór oczekiwał na pana, za którym tem bardziej tęsknił, że Jagiełło obdarzał chętnie tych, co przy nim się znajdowali, i tęskniono za nim więcej dla darów, których nie odmawiał nigdy, niż dla niego samego.

Każdy przyjazd do Krakowa, opłacał sowiec stary, gotów rozdawać co tylko miał i dopóki miał.

Spieszyli więc cheiwi łask na spotkanie i na służbę... Król bardzo dobrej był myśli. Brandenburczykowi i córce na przemiany własną ręką z mis dawał najlepsze kawałki, karmił ich, a do królowej naprzeciw siedzącej uśmiechał się mile.

Sonka powitawszy go z uszanowaniem i tą twarzą pogodną, którą zawsze miała dla niego, siedziała jednak trochę posępniejsza i zamyślona więcej niż zwykle. Napróżno król pobudzał ją do śmiechu. Przebiegał on po jej ustach i znikał. Jagiełło takich chmurnych twarzy przy sobie widzieć nie lubił.

Nazajutrz co było senatorów w Krakowie, biskup Zbyszek, urzędnicy od rannej godziny oblegali zamek.

Spraw zalegało mnóstwo, nie dano wytechnąć po podróży, przychodząc z niemi. Duchowni z różnych stron kraju z mnogimi prośbami oczekujący na Jagiełłę, ze skargami ze sporami cisnęli się, starając wyjednać potwierdzenia dawnych przywilejów, lub uzyskać nowe. Cały dzień tak trzymano go znużonego niezmiernie, wzdychającego tak, że żonę, córkę i przyszłego zięcia, ledwie mógł widzieć na chwilę.

Wprawilo go to w złe usposobienie, które zamyśleniem i milczeniem się objawiać zwykło. Może i chmurka nieschodząca z czoła pięknej Sonki, przyczyniła się do utrapienia starego. Kilka razy w ciągu dnia zapytywał ją król pocichu, czy miała powód jaki do smutku.

— Nie mam żadnego i smutną nie jestem — odparła królowa.

Jagiełło badać nie śmiał. Późno już, nim się na spoczynek miał udać, opanowany tą myślą, iż Sonka była nie tak wesołą jak zwykle, kazał król Hinczy przywołać do siebie ochmistrza jej, Wojciecha Nałęcz Malskiego.

Malski należał do jednej z najstarszych gałęzi, prastarego Nałęczów rodu, który już za Piastów najwyższe piastował dostojęństwa. Rozrodzeni byli jak wszystkie zawołania najdawniejsze, mniej możni niż kiedyś, lecz zawsze jeszcze do tych się liczyli, którzy dziedziczyli w swych rodach pierwsze krzesła i grody. Malski sam był mężem poważnym, milczącym, a postrzegającym bystro co się wkoło działo, prawym mę-

żem, mniej dbałym o korzystanie z położenia, a więcej o cześć własną. Surowy dla podwładnych, wyznaczony był nie bez przyczyny ochmistrem dworu, w którym na młodzież i na niewieście towarzystwo oko pilne mieć było potrzeba... Obawiano się go, bo nie przebaczał nikomu, lecz wielu rzeczy pomimo przenikliwości nie wiedział, bo ich prawosć własna domyślać mu się nie dozwalała.

Dwór z młodzieży złożony, gdy się spodziewał ochmistra, gdy najrzał go zdaleka, przybierał inne, pokorne i spokojne postacie, udawał wielce skromnym, choć za plecami jego dokazywał.

Gdy Malski wszedł do izby królewskiej, zastał Jagiełłę karmiącego psy, niedawno otrzymane, ale zamysłonego i posępnego.

Komornikowi, który przy drzwiach stał, kazał zaraz precz iść, a ochmistrowi bliżej przystąpić.

— Co Sonce jest?—zapytał.—Czegoś ja znalazłem inną. Posmutniała! Nic wiecie przyczyny?

Mówiąc to król patrzył nalegająco na Malskiego, który milczał, widać było, że mógłby był odpowiedzieć coś, wahał się tylko.

Powtórzył Jagiełło pytanie.

— Miłościwy królu — rzekł w końcu ochmistrz — łatwiej to zobaczyć, iż królowa smutna, niż powiedzieć dlaczego.

— Wy przecież wiedzieć powinniście? — zawołał król gderliwie.—To wasza rzecz...

Malski głową wahał i usta poruszał.

— Wasza miłość też moglibyście się domyśleć przyczyn tego humoru—odparł i zamilkł.

— Jaj! jaj!—Jagiełło trochę się nadaśał.

— Co bo mówisz — zawołał płacząc się z pośpiechu.—Ja? dlaczego? Alboż ja w czem winien jestem? Że mnie często w Krakowie niema, a królowej dla samego znużenia wszędzie za sobą ciągnąć nie mogę?? Alboż ona nie wiedziała za mąż idąc, że ja

muszę w nieustannych rozjazdach, co roku Wielkopolskę, Ruś, Mazury i Litwę nawiedzać!

— Miłościwy panie, w tem winy niema, i królowa się nie skarży na to—rzekł Malski.

— A czegoż jej brak? Mało klejnotów ma i mało do użycia i rozdawania?

Malski ramionami poruszył.

— No, to mówże — zabełkotał coraz bardziej niecierpliwiący się Jagiełło.

Ochmistrz w stół patrząc zwlekał jeszcze, ale król naglił mruczeniem groźnem.

— Mówże, głowy ci nie zdejmę z karku...

— O głowę ja się nie zwykłem lękać—zimno odparł Malski — ale miłości waszej przykrości bym nie rad uczynić.

Zaczynał się marszczyć Jagiełło, do takich przygotowań niezwykle i nie lubiący ich, bo i sam poprostu mówił i żądał, by mu otwarcie, bez ogródki prawdę dawano.

— Nie można tego królowej za złe mieć — odezwał się ochmistrz — że się czasem zachmurzy; łatwo zgadnąć czemu, tylko ja waszej miłości opowiadać nie mogę, czego się domyślam, aby posądzenia nie było, że mi się królowa zwierzyła.

Jako żywo, od niej nigdy nie słyszałem nic, nie skarży się, na to mogę na Ewangelii przysiąc. Słowo z jej ust nie wyjdzie.

— A czegoż ty się domyślasz? — napastliwie za rękaw ciągnąc ochmistrza podchwycił Jagiełło — czego?

Malski się w końcu zebrał na odwagę.

— Mielście przed nią miłościwy panie, trzy żony... Wszystkie one, nawet ostatnia, choć się przeciwiano i sarkano, koronowane były, a ta przeszło rok czeka i wcale o koronacyi nie słyhać.

Ludzie to widzą. Może nie raz dano to poznać, że w niej znają tylko żonę waszą, ale nie swą?

panią. Służba nie szanuję jej tak, jakby przynależało.

— A wy do czego jesteście—wybuchnął Jagiełło, albo to lochu i dorotki nie macie?

Malski się rozśmiał nieco.

— Trudno bez występku sądzić ludzi, za to, że koso patrzą i gęby krzywią. Kary wymierzać nie ma za co, a niemniej to boli.

Zadumał się Jagiełło, sparlszy na rękę, słuchał z uwagą zakłopotany.

— Na dworze też różnych ludzi siła — ciągnął Malski dalej. — Wielu takich co kąkol sieją radzi. Królowna Jadwiga z ich poduszczeń do macochy przystąpić nie może, choć ta ją jak własne dziecko upieściłby rada ..

Albo to miło pani, gdy dziecko podanych mu łakoci z jej ręki nie bierze jakby się obawiało truczny.

Jęknął stary król i poruszył się.

— Za mało szanują królowę—dodał ochmistrz.— Po kątach plotą, że ona korony nigdy widzieć nie będzie... a uchwaj Boże nieszczęścia...

Król nie lubił podobnych przypuszczeń i przerwał mowę Malskiemu.

Zdawało się, że już miał tych zwierzeń dosyć i chciał go odpuścić, ale Malski stał.

— Wszystko to com mówił, miłościwy królu — dodał — mówiłem z siebie tylko. Niech Bóg uchwaj, aby królowa posądzano była, iż się skarżyła i poznać dała po sobie, że cierpi. Stara się wesółą twarz okazać zawsze, skargi od niej nie słyszał nikt nigdy.

Jagiełło powstał z ławy, na której siedział, ręce rozkładając szeroko.

— Kiedyż było koronacją tę naznaczyć? Wojny, zjazdy; zbory, podróże, chwili nie miałem...

— Ale i mowy o niej nie było—rzekł Malski.

— Sonka mi ani razu nie wspomniała, żeby jej pilno było.

— Boć sam srom dobijać się o to, co jej należy, nie dopuszczał — szepnął ochmistrz—a ja proszę miłości waszej, aby to, com wyznał przed nią, nie było poczytanem za mieszanie się niewczesne w sprawy, które do mnie nie należą... Z dobrego serca a miłości dla pana się to rzekło...

Malski głęboki pokłon uczyniwszy, cofnął się ku drzwiom i wyszedł powoli, niewstrzymywany. Król sam pozostał. Siadł za stół i wodę pił.

Wieczorem późnym zeszli się z królową, ale jej nie powiedział nic, nie badał, patrzył tylko ukradkiem i wyraz twarzyczki pilno postrzegał, czulszym się okazując niż zwykle...

Łalił się, że mu sprawy państwa, na domowe szczęście czasu nie dają, a spoczynekby mu był miły...

Małomówną dnia tego była Sonka, słuchała tylko.

Nazajutrz, znalazł ją taką, jak wczora, ani zbyt smutną, ni wesołą. Chciał z niej wyciągnąć jakie słowo uzalania, odpowiedziała mu, iż troski przymnażać nie chce, a co na nią spadało, cierpliwie znieść gotowa.

Przyprowadzić kazał córkę Jadwigę, gdy u królowej był i niezręczny w obejściu się z dziećmi, przy Sonce napominać ją zaczął, że kochać powinna macochę jak rodzoną...

Zarumieniła się królowa, bo z tego posadzić ją mogło dziecię, że się ona skarżyła na nie.

— Ja się na ciebie nie uskarżam—rzekła do niej — bo miłości nakazać nie można, lecz powiedzcie, czy nie obchodzę się z wami po macierzyńsku, macie jaką krzywdę odemnie?

Królewna bełkotała niewyraźnie zmieszana bardzo, tłumacząc się, ale pomimo nalegań ojca nie chcąc serdeczniej zbliżyć do macochy. Karmiono ją ciągle nieufnością ku niej.

Przykra ta scena, coby miała polepszyć stosunki,

połaziła obie strony, a gdy Jadwiga wyszła zapłakana, Sonka odezwała się chłodno, że czas tylko może nawrócić serce dziewczęcia, i że gwałtu mu zadować się nie godzi.

Przez cały ten dzień król się namyślał i ważył w sobie co miał czynić. Przypadek przyspieszył koniec i wahanie się, a odkładanie, Jagielle zwykle, zamknął nagle postanowieniem.

Gdy po obiedzie spoczywał siedząc u okna wychodzącego na podsienia, tak, że widać go nie było, i mimowolnie przysłuchiwał się śmiechom i gwarom młodych dworzan, stojących nieopodal w podwórzu, nadszedł nagle znajomy sobie głos Hinczy z Rogowa, który wołał.

— Strasz! czekaj Strasz! królowa rozkazała abyś na miasto jechał, i Mszczuja szukał, wyprawionego po iglice, a nie wraca od rana, bo gdzieś pewnie w piwnicy siedzi...

Strasz Jan z Białaczowa, należał naówczas do komorników królewskich, a człek był hardy i opryskliwy, próbował on przypodobać się królowej i zyskać jej względy, co mu się nie udało. Miał nienawiść do Hinczy posądzając, że ten mu szkodził, a Sonce też przebaczyć nie mógł, że dla innych okazując się łaskawą, jego się zbywała i szorstką dała mu kilka razy odprawę.

Strasz zły, począł podniesionym głosem.

— A cóż to ty mi będziesz rozkazywał? Jam pod tobą jeszcze nie służył?

— Ja ci też nie od siebie, ale od królowej rozkaz przynoszę—zakrzyczał Hincza.

— Jaka to mi królowa?—zuchwale przerwał Strasz... Ja tu królowej żadnej nie znam. Przywiózł z sobą pan z Litwy niewiastę, niewiadomo kto i gdzie mu z nią ślub dawał, a koronacyi nie było... Królowej tu niema...

Hincza skoczył do niego i zawzięta się kłótnia

okrutna, z której o mało do bijatyki nie przyszło. Jagiełło słyszał wszystko, płomień mu oblał twarz...

Wieczorem nakazano, aby Strasz się na dworze pokazywać nie śmiał... nie mówiąc za co, ale on sam o tem najlepiej wiedział pewnie. Hinczę król wieczorem przychodzącego na służbę po ramieniu uderzył, i zaśmiał mu się, ale nie powiedział nic, nie chciał się przyznać do tego, że rozmowę podsłuchał.

Zrana przybywającego biskupa krakowskiego, którego się zawsze lękał, gdy miał co ważniejszego przedsiębrać, poczał Jagiełło dobrymi słowy sobie zyskiwać. Zbyszek się dorozumiał łatwo, iż król czegoś poządał, niepewien, czy mu to łatwo przyjdzie...

Po wahaniu długiem, wyjąknął wreszcie Jagiełło.

— Królowa niekoronowana, krzywda się dzieje biednej niewieście...

Biskup oddawna był przygotowany do tego, iż Sonka ukoronowaną być musi, nie widział w tem nic zdrożnego, gdy raz małżeństwo było dokonane.

— Wasza miłość możecie się w tem rozporządzić wedle woli swej—rzekł biskup.—Należy to czwartej, co się trzem dostało, gorszą od nich być nie powinna.

Z widoczną radością porwał się król z siedzenia i przystąpił do Biskupa...

— Sprawimy jej obrzęd wspaniały...—zawołał.—Z Zygmuntem mimo zjazdu pod Czorsztynem wiele jeszcze pozostało do mówienia... Koronacya nam posłuży do ściągnięcia go tu z małżonką... Mam na myśli Eryka Duńskiego, zaproszę Mistrza Krzyżaków, książąt Piastów z Mazowsza i Szlązka... Papież mi też przyśle kogo ze swej ręki dla pobłogosławienia...

Mówił żywo bardzo, śpiesząc, myśląc się, poprawiając, gotów zapraszać ledwieznanych książąt niemieckich, a z Rusi i Litwy kto żyw był, kto na myśl przychodził.

Biskup musiał ten zapęd powstrzymać. Uczynił uwagę nieśmiałą, że dla takich gości, którzy bez

ogromnych pocztów przybyć nie mogą, zamku nie stanie i miejskich gospód...

Jagiello śmiał się wmawiając biskopowi, że i on i inni duchowni powinni po swych dworach rozebrać dostojnych gości, gdyby na Wawelu ciasno było.

Raz przelamawszy tę pierwszą trudność, król już nie miał spoczynku, dopóki listów zapraszających na biskupie nie wymógł, które kancelarya natychmiast wygotować miała.

Królowa i nikt na dworze nie wiedział jeszcze o królewskim postanowieniu, gdy już w dolnej owej komnacie między Jagiellą a Oleśnickim, liczba osób mających otrzymać wezwania, była oznaczoną.

Jagiello mocno obstawał przy królu rzymskim i węgierskim Zygmuncie, przy Eryku Duńskim i szwedzkim, do ziemi świętej ciągnącym, książętach mazowieckich i szlązkich Piastach, krzyżackim Mistrzu, z którym znowu pokój był zawarty.

Powolny w tem co szkodliwem ani groźnem być nie mogło, biskup przystał na wszystkich, z westchnieniem tylko dodając.

— Skarb się twój wyczerpie, miłościwy panie, bo ich bez darów nie odpuścisz, a same przyjęcia wiele nas będą kosztować.

Gdy to mówił król na swoje letnie bardzo proste ubranie, rzemienny pas i buty ze skóry szarej, wskazał.

— Dla siebie ja nie potrzebuję wiele — zawolał — nie marnuję na przepychy, bo ich nie cierpię, ale królowi polskiemu przystało być hojnym! Niech obcy monarchowie, niech Luksemburczyk i ten Pomorczyk (tak zwano Eryka duńskiego) zna, żeśmy nieostatni!

Zbyszek nie sprzeczał się już więcej, obiecując królowi, że listy zapraszające w kancelaryi natychmiast gotować każe.

Po tej naradzie z biskupem, gdy Jagiello poszedł do komnat Sonki, zaniósł z sobą na twarzy takie uweselenie jakieś widoczne, iż od progu poznała kró-

lowa, że z dobrem czemś przychodził. Nie domyślała się jednak wcale co ją czekało.

W duszy Sonka pragnęła tego uświęcenia małżeństwa jej obrzędem uroczystym, lecz nie spodziewała się tak rycie króla przygotować i skłonić do niego. Jagiełło siadł do koła się rozpatrując po komnacie, w której szycia różne i opony były porozrzucone.

— No — rzekł po rusku — abyście pośpieszyli na czas ze wszystkim, bo choć u was musi być siła szat i płaszców, przecie nowych a bogatych skoro potrzebować będziecie...

— Kogóż się spodziewacie? — zapytała królowa.

— Ho! ho! niemałych gości! — żartobliwie spoglądając na nią mówił stary — naprzód króla rzymskiego z żoną...

— Ci — przerwała królowa — nawykli są do wspaniałości wielkiej.

— Eryk Pomorczyk przybędzie też — ciągnął dalej Jagiełło — to już królów dwu, a książąt myślę dla nich ściągnąć, ile ich mam w pobliżu...

Zapłonęła królowa i poruszyła głową.

— Kiedyż zjadą? — spytała.

— Na ten dzień, gdy moją Sonkę ukoronuje arcybiskup — zawołał Jagiełło wesoło.

Uderzyła w ręce królowa i na kolana padła przed starym, który czule ją uściskał.

— Alboż nie pora była? — rzekł. — Bóg widzi, nie mogłem wcześniej, choć chciałem. Teraz na pewno szyjcie szaty, a ze skarba choćby skojec pereł niech wydadzą, abyśmy się przed królami nie wstydzali...

Ze wzruszeniem i wdzięcznością, przyjęła Sonka nowinę radosną, twarz się jej rozjaśniła, starała się okazać Jagielle jak ją uczynił szczęśliwą. Król też z siebie i ze wszystkich rad był dnia tego, a najpierwszym skutkiem rozechocenia tego było, że na-
zajutrz do dnia do Niepołomic na łowy ruszył.

Rezeszła się po dworze wieść we mgnieniu oka i przyjaciół licznych już królowej uradowała. Tryum-

fował dwór jej, roznosząc po mieście, rozsyłając po kraju wiadomość, że Sonka będzie koronowana, a na obrzęd ten z całego świata proszeni zostaną monarchowie.

Mała garstka wiernych królownie Jadwidze, sarkana i gryzła się tem. Teraz dopiero macocha ukoronowana pracować miała, aby się pozbyć znienawidzonego dziecięcia.

Szeptano już, że z Brandeburczykiem, którego syn był dla niej przeznaczony, układy zachwiane zostały...

Biskup krakowski natychmiast listy zapraszające wysłał wedle żądania króla. Jednym z pierwszych był wyprawiony do Witolda, któremu Jagiello spodziewał się tem uczynić przyjemność.

Lecz, rok upłyniony, jeśli nie zerwał dobrych i przyjaznych stosunków między wujem a siostrzenicą, to je przynajmniej ostudził znacznie. Nie przypuszczał Witold, aby się ona ważyła wbrew działać przeciwko niemu, lecz wyrzucał, że odwagi jej brakło, aby go czynnie popierać. Cebulka wyprawiany kilkakroć, wracał bezskutecznie.

Witoldowe szpiegi, których Kraków był pełny, donosili, że Sonka nie dosyć popierała sprawy wuja i okazywała się zupełnie obojętną.

Księżna Julianna korzystała z tego, aby przeciw niej podburzać.

— Przepowiadałam to — mówiła mężowi — wiem, że się nam niewdzięcznością wypłaci... A teraz gdy jej koronę włożą na głowę, je-zcze się stanie nieprzystępniejszą... Stary dziad będzie czynił co ona mu każe...

Rok jej starczył na to, żeby tam sobie niemal wszystkich zjednała... Zbyszek biskup już z nią trzyma.

Wygnyany ze dworu czasowo ów Jan Strasz z Białaczowa, szlachcic z Odrowążów, ze złością i gniewem w sercu pociągnął na Litwę. Gotów był jak Cebulka,

Małdrzyk i Lutek z Brzezia usługi swe ofiarować wielkiemu księciu.

Przybył do Wilna z goryczą, z narzekaniem, z wymówkami, z potwarzami przeciw króla i królowej, a że w Krakowie się dawniej spotykał z Cebulką, do niego naprzód trafił.

Człek był porywczy i namiętny, nie tak zły jak prędki, nierachujący się ze słowy swemi, lekkomyślny. Cebulka, do którego wpadł dopraszając się służby u księcia, doniósł o tem Witoldowi.

Baczny na wszystko książę, nie przypuścił go do siebie, jednakże polecił swoim polskim sługom, aby go badali i starali się poznać...

Karmiono i pojono Strasza, ciągnąc za język, którego on trzymać za zębami nie umiał.

Strasz malował wszystko w barwach najczarniejszych, a przyszłość przewidywał gorszą jeszcze.

— Niewiasta młoda, przebiegła, zręczna, uczyni z dziadem co zamarzy. Wszyscy jej już po trosze służą, bo sobie jednać umie to uśmiechem, to smutkiem, to datkiem, to obietnicami.

Ulubieńców i zauszników tłum się roi... na palcach ich wyliczyć mogę, od Hinczy z Rogowa począwszy, który od jej drzwi nie odchodzi, a jak pies przy nich czatuje... Gdy króla nie ma, a kiedyż on długo posiedzi w domu, dopieroż wesele i ucztę, i śmiechy i płasy i śpiewy... Niewiasty sobie dobrała takie jak sama... więc wczasu dobrego zażywają.

Plótł tak Strasz niestworzone rzeczy, zmyślając wiele. Słuchający głowami potrząsali, Cebulka jeśli nie wszystko, przynajmniej co ważniejszego Witoldowi powtórzył.

Przez dni kilka trzymano tak Strasza na dworze, nie dopuszczając go do księcia.

Naostatek Cebulka we cztery oczy mu powiedział, że Witold do służby swej przyjąć gotów, ale do takiej, do jakiej sam go wyznaczy.

— Z tego coście tu przynieśli — rzekł mu —

widzi pan mój, że tam pilno czuwać potrzeba, a na dworze nie mamy nikogo, coby mógł patrzeć, słuchać i nas ostrzegać. Musicie tam powrócić nazad, to będzie służba wasza.

Zakrzyknął naprzód Odrowąż, iż jako człek rycerski inaczej się spodziewał, a na dwór Jagiełły za nic i nigdy powracać nie chce... Zaczął potem ostygąć, a zemsta mu doradziła, bodaj podjąć się tego stania na straży...

— Służby na dworze nie przyjmę — rzekł — ale i bez niej w Krakowie siedzieć, na zamku bywać i o wszystkim wiedzieć mogę — pojedę.

Wyprawiono więc z poleceniami Odrowąża, który ledwie do swojego Białaczowa zboczywszy i wytchnąwszy, zjawił się znowu w Krakowie, na mieście gospodę opatrzywszy.

Wolny człek, niby sobie zajęcia szukający, spokrewniony z wielu, rozpoczął życie, które mu najlepiej zawsze smakowało. Od rana do wieczora mógł nic nie robiąc, siedzieć a rozprawiać i śmiać się.

Znał wszystkie te kąty i piwnice, gdzie się ze dworu komornicy i młodzież zbierała. Z wielu bardzo miał dawną poufałość i znajomość. Utyskiwał, że go niesprawiedliwie wypędzono beczesnie, za co srogi żal miał...

Jedni mu potakiwali, drudzy spierali się, zrywać z nim nikt nie myślał.

Jeden Hincza, gdy się w ulicy z sobą spotykali, namarszczony głowę odwracał i znać go nie chciał. Jemu też Strasz zemstę poprzysiągł.

— Żyw chyba nie będę, jeśli tego pyszałka nie zawiodę do ciemnicy, aż jak pies na barłogu zdechnie...

Z tem się jednak przed nikim nie chwalił, bo Hincza więcej od niego miał przyjaciół, a że królowa nań łaskawa była, król także, górą się nosił i Strasz nie obawiał wcale.

Nie był Odrowąż tak chytrym, ani mógł się tak

ułożyć, aby pozornie zgodę zawrzeć i z niej korzystać. Do dworu napowrót się nie napierał, lecz na Wawel iść i ze staremi znajomymi przestawać nikt mu nie mógł zabronić. O jego bytności na Litwie i służbie u Witolda żywa dusza nie wiedziała.

Miał też Strasz przy królownie Jadwidze bawiącą pannę, daleką powinowatą Salkę z Załucza, do której, jak ludzie utrzymywali, zalecał się od dawna, i żenić się z nią nawet pomimo pokrewieństwa był gotów.

Do niej dostać się na dwór nie miał trudności, a powinowata przy królownie służyła za wymówkę, dlaczego tak często go tu widywano.

Jak wszystkie starsze i młodsze niewiasty otaczające Jadwigę, Salka była nieprzyjaciółką królowej Sonki. Miłość dla biednej sieroty, budziła nienawiść dla macochy. W tem kółku tworzono baśnie, powtarzano słowa królowej w usta wkładane i groźby.

Kobiety czuwające przy Jadwidze, trzymały ją w ciągłej trwodze, to trucizny, to zamachu na jej życie.

Najdziwaczniejsze plotki znajdowały wiarę i ztąd dalej w świat płynęły.

Gdy koronacja postanowioną została, płacz nie ustawał około Jadwigi, przepowiadano przyszłość jeszcze straszniejszą, wysłanie gdzieś do Chęcina, lub do oddalonego pustego grodu.

Nie tajono się z temi domysłami przed królowną, której serce napełniało się coraz większą nienawiścią dla macochy.

Jeżeli król, przybywszy do Krakowa, nie zapytał którego dnia o córkę i nie widział jej, snuto z tego zaraz wnioski najgorsze, przypisując wpływowi królowej.

Strasz służył dobrze, przynosił z miasta co tam się nasłuchiwał, wnosił co tu plotły kobiety — dodawał i swego potroszę.

Swoją drogą w podworcach i podsieniach zamko-

wych z dawnemi znajomemi i towarzyszami spotykając się, stawał do gawędy, czerpiąc od nich co wiedzieli o królu i królowej.

Mógł więc do Wilna dać wiedzieć nie tylko co się tu działo, ale czego się domyślano i co przewidywano.

Ucha i oka jego nic nie uszło.

Jakby na przekorę Hinczy, który się z nim co dzień spotykał, krążył sobie Strasz swobodnie po zamku, pewien, że go nikt wygonić nie śmie.

Hincza miał wielu przyjaciół, równie krzywo patrzących jak on na Strasza, lecz żaden z nich zadziierać się z nim nie chciał. Od słowa przysłoby było łąčno do korda, do którego i oni i Odrowąż porywcy byli.

Ale Hincza zżymał się i odgrażał.

— Gdybym wiedział, jak się tego Strasza ztąd pozbyć — mówił do druhów swych Jana z Koniecpola i Pietrasza ze Szczekocina, dworzan królowej — jednej godziny bym go tu nie zcierpiał, tak mi on tu śmierdzi, patrzeć nań nie mogę.

Radzono różnie, i nie uradzono nic, aż Hincza jednego wieczoru ochmistrzowi królowej Malskiemu szepnął, że wypędzony Strasz nie darmo się tu kręci i pewnie przez swą powinowatą Salkę z Załucza, królowną Jadwigę buntuje przeciw królowej.

Nim się na to znalazł dowód i pozór do pozbycia się Strasza, tymczasem on przez swą przyjaciółkę do królowej się zalecił, a ona obiecała ojca prosić za nim, aby przy niej komornikiem go zrobiono.

Jagiello gdy mógł tylko, rad był córki żądanie spełnić i na prośbę jej, ręką dał znak, że pozwala.

Strasz więc już, choć nie do czynienia nie miał, prawo zyskał wisieć przy dworze.

Gdy ochmistrz jednego dnia, spotkawszy w podwórzu, zapytał go, jakim prawem się tu nieustannie wciska, gdy z królewskiego rozkazu, powinien był się oddalić, Strasz niemal zuchwale mu odpowiedział, iż Jagiello przy dworze królowej pozwolił mu zostać.

Nie było więc sposobu się go pozbyć, ale Hincza zebrawszy dworzan królowej, którzy wszyscy za nim trzymali, wymógł na nich, ażeby żaden ze Straszem nie przestawał, nie mówił i znać go nie chciał.

Piotr Kurowski, Wawrzyn Zaręba z Kalinowej, Jan Kraska, Jan z Koniecpola, Piotr i Dobiesław ze Szczekocin, wszyscy się słowem związali, iż ze Straszem znać się, ani obcować nie będą.

— Myśmy służyć królowej, przeciwko której on śmiał bluźnić — mówił Hincza — a przebaczyć mu tego nie możemy.

Za przykładem tych kilku młodych, co tu rej wiedli, na dane hasło, inni też zamkowi urzędnicy, komornicy, starsza służba poczęła od Odrowąża tak stronić, tyłem się doń zwracać, nie słuchać pozdrowień, ani patrzeć nań, że gdy szedł lub powracał od królowej, słowa do nikogo nie mógł przemówić, a nikt się nie odezwał do niego.

Jak od zapowietrzonego uchodzili wszyscy. W Straszku się zburzyła krew, ale co miał czynić? Jedno zostawało, lub wynosić się ze dworu, albo szukać zaczepki i raz się rozprawić. Ostatnie zdawało się nieuniknione. Musiał jednak Strasz w mieście przydybać którego z winowajców, bo na zamku korda dobyć nie było bezpiecznie. Kto pierwszy się tego dopuścił, temu by nie uszło płazem.

Czatował więc około tych piwnic i browarów, do których czasem młódź przychodziła, aby w zakazane kości grywać.

Hincza, Pietrasz ze Szczekocin, i Jan z Koniecpola siedzieli dnia jednego u Stana przy Grodzkiej ulicy, gdy Strasz wpadł do izby, może nie wiedząc ilu ich tam było.

Zaledwie chwila upłynęła, gdy najokropniejsza wrzawa rozległa się w izbie, tak, że w ulicy ją aż słyszać było i wiertelnicy nadbiegli, ale drzwi znaleźli zawałone drągiem. Dobyć się do nich nie było podobna.

Krzyk ustał, wewnątrz zrobiło się cicho; gospodarz pachółków poprowadził do okna od podwórza, aby tamtędy łatwiej się dostali do izby. Tu znaleźli otwartą okiennicę, wiszącą na jednym haku, a zajrzawszy do wnętrza, nikogo więcej tylko Strasza na podłodze, posiekanego i we krwi pływającego.

Przybiegł go tam zaraz barwierz opatrzyć, krew zatamować i obwiązać, rany nie okazały się śmiertelne, lecz lizać się z nich długo było potrzeba.

Wypadek ten następstw nie miał zresztą żadnych, bo gospodarz Stano, choć wiedział kto sprawcą był, wydać nie śmiał, aby się na zemstę dworaków nie narazić, a Strasz nie skarżył też, obiecując sobie sam domierzyć sprawiedliwość.

Leżał chory długo, lecz ówczesni ludzie mieli taką naturę, że albo na placu legli, lub póki ducha w nich stało, dźwigali się nie pieszcząc, jak najrychlej mogli, bo łóżka zarówno z trumną się lękali.

Strasz jeszcze plastrami oblepiony był, gdy już na zamek wrócił.

Rozplakały się niewiasty nad nim, a Salka z Zalcza poprzysięgła, iż nieszczęście to spotkało jej powinowatego za to tylko, iż królownie Jadwidze sprzyjał.

Ci co go porabali zobaczywszy zmartwychpowstałego, nie pokazali po sobie zdziwienia, ani strachu. Znowu po dawnemu mijano się w krążgankach nie widząc, ocierano o siebie nie mówiąc. Obie strony wiedziały, że sprawa nie była skończona i że gdzieś, kiedyś znowu ją żelazo będzie rozstrzygać.

Strasz nieulekniony, przybywał jak dawniej, nie skarżył się nikomu — milczał.

Przygotowania do koronacyi trochę pamięć tych starć zatarły. Było wistocie wiele do czynienia. Ze Skarbca dobywano sukna, opony, srebra, rzędy na konie, wszystko to czeladź musiała trzepać, czyścić, szlifować pod dozorem starszych. Komnaty główne

jak Malowaną, Laskowiec i nad niemi górne, które miał Eryk zajmować, obijano i opatrywano we sprzęty.

Królowa Sonka sama ze swemi kobietami i komornikami doglądała wszystkiego... Nie było czasu klócić się i spierać, bo każdy o sobie myśleć musiał jak wystąpi, aby wstydu klejnotowi nie uczynił.

VI.

Na tydzień przed niedzielą, na którą koronacya oznaczona była, komornik królewski Sassin, przybiegł z listami do królowej, oznajmując o tem, iż Jagiełło wyruszył z Grodna i pośpiesznie na Jedlnę, Ilżę, Łysą Górę i Wiślicę do Krakowa podążał.

Sam on osobiście pisanie wręczywszy i czołem uderzywszy, opowiadał jako król w dobrem zdrowiu i dobrej myśli, lada godzina mógł podążyć za nim, bo mu bardzo pilno było dla dostojnych gości przyjąć zgotować ich godne.

— Książę Witold mu towarzyszy? — zapytała Sonka.

Sassin, człek już stary, na usługach królewskich od czasów Jadwigi, zawiędły, niskiego czoła, oczu głęboko pod czaszką siedzących, małomówny — na to pytanie, głowę spuściwszy, długo nie chciał odpowiadać.

Stapał z nogi na nogę.

— Nie wiem — rzekł po namyśle.

— A zkądże cię król wyprawił! — zapytała Sonka.

— Z Ilży — zamruczał Sassin.

- Witolda nie było przy królu?
- W Grodnie pozostał.
- Nadciągnie więc rychło?
- Sassin powtórzył swe zakłopotane.
- Nie wiem.

Do czytania listu od króla powołać musiano pisarza, a tymczasem biskup krakowski, który też listy od Jagielly miał, na zamek przybył.

Poszła Sonka naprzeciw niego z poszanowaniem, bo go teraz wielce sobie pozyskać była rada, on też dosyć się jej okazywał przyjaznym.

— Król — rzekła — daje znać o sobie, ale spodziewałam się z nim razem przybycia wuja, a o tym mi Sassin nie powiedzieć nie umie.

Zbyszek okiem rzucił do koła i rzekł poważnie.

— Ja więcej może potrafię... książę Witold przybycia swojego odmówił.

Usłyszawszy to królowa, zarumieniała się cofając kroków parę. Niebytność najbliższego z rodziny, opiekuna, była niemal upokarzającą dla niej. Zdradzała przed obcymi to, co się działo na dworze i w rodzinie.

O podrażnieniu i niechęci wuja wiedziała Sonka dobrze, spodziewać się ich mogła i przyczyna nie była jej tajną, nie sądziła wszakże, aby gniew Witolda tak już zaszedł daleko, aby się miał objawić przed światem.

Było to wypowiedzenie wojny.

Spojrzała na biskupa.

— Król daje mi wiedzieć — ciągnął dalej Oleśnicki — że napróżno księcia prosił, błagał, zaklinał, nie mógł go przewyciężyć. Nie tai się z tem, że do miłości waszej żal ma największy, że przebaczyć jej nie może.

Królowej lzy zakręciły się w oczach.

— Któż do mnie żalu, gniewu i niechęci nie ma?
— odparła gorąco. — Oprócz króla a męża mego,

nie mam przyjaciół, a wrogami są wszyscy... Teraz do nich i wuj przystał.

— Gniew Witolda cześć wam czyni — odezwał się Zbyszek — łaska jego i powolność złyby znakiem była, przy pomocy bożej pokonasz miłość waszą nieprzyjaciół... Niebytność księcia chorobą lub wojną da się tłumaczyć, a będzie go kim zastąpić.

Kraków już cały jakby jedna gospoda, tak wielu się gości zapowiada.

Twarz królowej rozjaśniała się nieco, dodała jednak zcicha.

— Do tegośmy już więc przyszli?

Strasz pocichu na kilka dni wprzód między kobiety puścił był wiadomość, że Witolda ani Julianny niema się co spodziewać, ale mu nie wierzone, i do królowej to nie doszło...

Nieprzyjaciele Sonki, choć tem małym pocieszali się zwycięstwem.

Ona sama po pierwszym doznaniem wrażeniu bolesnem, musiała zamknąć w sobie żal, jaki czuła za tę obelgę do wuja. Koronacya się zbliżała, na zamku nie było jednej godziny spokoju... Przyjeżdżali książęta. Piastowie, posłowie, gońcy ze stron różnych, na Wawelu trwały olbrzymie do ugoszczenia przygotowania.

Nie samych bowiem królów i książąt przyjmować musiano, ale zwyczajem ówczesnym, całe dwory ich, liczne, często z kilkuset osób złożone, trzeba było mieścić, karmić i obdarzać.

Całe komnaty na dole pod dozorem podskarbiego napelniły się jednemi tylko podarkami, sorokami soboli, kun, gronostajów, postawami sukna, aksamitu przetykanego złotem, jedwabów; naczyniami srebrnemi i złotem.

W chwili, gdy już się cieszano obiecanem na pewno przybyciem Zygmunta króla rzymskiego, sam przewrotny i zdradę w sercu mający Luksemburczyk,

nie ufając Jagielle, uląkł się i przysłał gońców, żądając zakładników za siebie znacznych i listów ochronnych.

Działo się to gdy już Eryk król duński i szwedzki, przejechawszy przez Polskę bez żadnych poręczeń dla odwiedzenia Zygmunta, przybył do Krakowa i siedział na Wawelu na górnem piętrze, którego jedna izba długo się potem od imienia jego zwała.

Wśród panujących owego czasu, równie jak Zygmunt Luksemburczyk, był on niezwyčajnem zjawiskiem, które nieskończona tylko różnaitość charakterów i odmian człowieka mogła uczynić współczesnym i potomnym zrozumiałym. Łączyły się w nim jak w Zigmuncie przymioty wielkie z równie poczwarnymi wadami, tak jakby jedne na drugie wcale nie oddziaływały.

Na stan swój uczony, miłujący naukę, wykształcony tak, że o początkach narodu swego mógł pisać, wrzekomo pobożny tak, że zamierzał odbyć pielgrzymkę do Grobu Pańskiego, choć trudno było rozsądzić, czy go tam religja, czy duch awanturniczy popychał, Eryk zarazem był największym łupieżcą i zbujem w domu, a królem najsroższym i najokrutniejszym, choć prawodawcą być zamierzał, a szczęście albo raczej żona dopomogła mu dokonać wielkiego dzieła unii dwu skandynawskich narodów.

W podróży do Polski i do Węgier, z z przepychem i znacznymi kosztownościami przedsięwziętej, wioząc za sobą srebrne i złoto stołu zastawy, wcale się nie obawiał niczego, nie prosił o giejty, przerzynał się przez kraj nieznany, na Wawel przybywał jak do domu.

Żywego umysłu, śmiały aż do zapamiętania, wesoły, rozmówny, król duńsko-szwedzki Jagielle był na rękę, bo się podejmował Zygmunta przyprowadzić, służyć za pośrednika i odwagą a stanowczością swą w chwilach niepewności serca mu dodawał. Na zam-

ku krakowskim on teraz więcej może niż Jagiełło gospodarzył...

Królowa też widziała go wdzięcznem okiem, gdyż lękała się, aby po Witoldzie nie zabrakło i Zygmunta, coby wiele świetności obrzędowi ujęło. Eryk zaś zaklinał się, iż bodajby miał sam po niego i żonę jechać do Węgier, sprowadzi go niezawodnie.

Gdy goniec Zygmuntów nadjechał, a na zamku zawieruszyło się niepokojem i król Łagiełło dotknięty tem niespodzianem wymaganiem, obrażony niemal, głowę tracił, Eryk uśmiechem lekceważącym go pocieszył.

Goniec donosił, że Zygmunt z żoną i dworem stał obozem w Starej Wsi za Szramowicami... Czasu było niewiele, natychmiast radzić musiano, a rady nie miał Jagiełło innej nad Zbyszka biskupa. Gdy inni milczeli i stali bezradni, on jeden znalazł zawsze lekarstwo i ratunek. Do niego w pomoc przybywał Eryk Pomorezyk, który nie wątpił, że słowem swem u Zygmunta zakładników i poręki zastąpi.

W kilka godzin orszak był gotów i zakładnicy. Do nich należał sam król, Zbigniew biskup krakowski, i Zbyszek z Brzezia, marszałek państwa...

Królowa już znowu we łzach stała, ręce łamiąc, a wątpiąc czy król rzymski przybyć zechce, gdy posłowie doń z Wawelu ruszyli i Pomorezyk na koniu wsiadając, podniósł ku Sonce w oknie stojącej, piórami strojny kapelusz, wołając wesoło, że jej gościa choćby związanego przystawi.

W krążganku stary król i dwunastu Piastów, składających już pierwszy zastęp gości, żegnało oboczego Duńczyka.

Lik ten piastowski niemałego blasku obrzędowi dodawał. Najbliżsi królowi książęta mazowieccy stawili się wszyscy, z niemi Bernard z Opola. Książęta z Cieszyna, Raciborza, Oświęcima, Opawy, z Koźła, i Zegania... A choć Witold obelżywie niemal zaproszenie odrzucił, z litewskich książąt, przybyło także

kilku i z Rusi. Krzyżacy pokorniejsi teraz, choć sam mistrz Paweł Russdorf nie stawiał się, dwu komturów przysyłali.

Wszystko to już po części na zamku, w części po gospodach i dworach w mieście zalegało wszystkie kąty... W dolnych izbach stoły nie opróżniały się na chwilę, uczta trwała i gwar od rana do późnej nocy.

Biskupi i wysłaniec papieski po klasztorach i domach duchowieństwa rozmieścić się musieli. Dla niespodzianego i nieproszonego Bawarczyka, księcia Ludwika, którego ciekawość tu prowadziła, w ostatniej chwili na zamku izby opróżnić musiano...

Kraków od dawna tylu obcych a dostojnych nie widział gości. Przypominało to Kaźmirzowskie czasy szczęśliwe... Królowa na przemiany radością wielką i dumną przejęta, weseliła się, to strachem jakimś owiana, płakała...

Nie tała tego przed sobą, że nieprzytomny Witold, swą nieobecnością więcej ważył, niż wszyscy ci, których tu ciekawość prowadziła... Była to groźba, a wielki książę nigdy się nie odgrażał napróżno...

Jagiello na chwilę również wymaganiem Zygmunta strwożony, teraz znów oddychał, cieszył się, i pełnemi garściami sypał dary do koła. Tak on gościnność rozumiał... Oczekiwano gońca od Eryka, aby naprzeciw króla rzymskiego wyruszyć. Podjął się nim być usłużny Hincza, który nocą, drugiego dnia nadbiegł z doniesieniem, że Duńczyk dotrzymał słowa.

Opowiadał, że do Starej Wsi przybywszy, zaraz do Zygmunta z tem przystąpił, iż on sam i towarzyszący mu biskup i marszałek ofiarują się jako zakładnicy, choćby ich pod straż miano wziąć i trzymać, dopóki Zygmunt nie powrócił.

Luksemburczyk miał snadź czas obliczyć się i pomiarkować, iż tem brakiem zaufania skrzywdził Jagiellę i siebie, odparł więc grzecznie, iż żadnych zakładników nie wymaga i chętnie z niemi do Krakowa pospieszy.

Jagiello wiadomość tę otrzymawszy, z orszakiem swym pobiegł na powitanie do Myślenic.

Sonka tymczasem pozostałych gości, których zamek był pełen, przyjmować musiała sama. A choć Rusince z wielą z nich rozmówić się było trudno, uprzejmością, pięknoscią, powagą, młodością swą wdzięczną, za serce wszystkich ujmowała.

Nie zbywało na takich, co starca Jagiellę stawiając w myśli przy tym kwiecie zaledwie rozwitym, ramionami poruszali i uśmiechali się.

W piątek przed niedzielą, na którą koronacya naznaczoną była, Jagiello witał rzymskiego króla i żonę jego w Myślenicach, w sobotę na górnej sali w żupach w Wilicze obiadowano, wieczorem na Łasocińskiej górze czekać miała królowa...

Była to chwila może wśród tych dni uroczystych, najwspanialszy obraz przedstawiająca, pod gołym niebem, które pogodą i powietrzem łagodnem sprzyjało, te ludu tysiące, te poczty rycerskie na koniach kapamy szytymi okrytych, stroje wspaniałe, przepych w rzędach i wozach, tłumy wesole, trąby i flety, dzwony i okrzyki..

A na podwyższeniu, które całe wysłano kobiercami i sukniem, tam gdzie królowa Barbara wysiadać miała, w płaszczu spływającym do ziemi, szytym złotem i perłami, w złotej przepasce na głowie, Sonka tryumfująca, blada ze wzruszenia, szczęśliwa i trwożna...

Gdy król rzymski z żoną, duński i Jagiello w okazałym poczcie ukazali się na gościńcu; tysiące ludu zalegające dolinę i jak mrowię ściśnięte na całej do miasta przestrzeni, wydało okrzyk jeden.

Rzymski król strojny wspaniale, bo przepych lubił i okazać się tu chciał tak wielkim jak się czuł w duszy, z łańcuchem na szyi, na którym Smok, godło jego połyskiwał kamieniami drogiemi, zbliżył się do Sonki wiodąc Barbarę.

Królowa miała na sobie najdroższe klejnoty, i twarz

malowaną, i włosy trefione misternie, ujęte perłowymi sznurami, lecz strój nie mógł jej nadać ani straconej młodości, ani świeżości, ni wdzięku.

Znużona twarz jej siliła się na uśmiechy, a oczy na zalotne wejrzenia, któremi mężczyzn obrzucała, lecz obok Sonki cudnie pięknej, świeżej i młodej, Barbara niemal się wydawała zgrzybiałą.

Już na królowe obie czekał wóz, cały od złota i opon szkarłatnych, końmi białymi zaprzężony, w złotych rzedach i pokryciach. Po przywitaniu siadły obie i cały orszak ich świetny, z królami na czele ku zamkowi się potoczył, a tłumy ku miastu płynęły...

W małej, ciasnej komnatce zamkowej ze swą służbą tu na wygnanie skazana, w mroku wieczornym siedziała królowa Jadwiga.

Długo rozprawiano i spierano się o to, czy miała towarzyszyć królowej, i stać przy niej, czy razem z narzeczonym Brandenburczykiem... Sonka wziąć ją z sobą była gotową, aby złym ludziom nie dać pochopu do złych poduszczeń i posądzeń, ale piętnastoletnie dziewczę, żywione nicchęcią, dumne swoją niedolą, samo odmówiło uczestnictwa w uroczystości.

Jagiello nie nalegał.

Z oschłemi już oczyma, dziewczę chodziło blade po komnatce, a każdy okrzyk wesela, każda wrzawa głośniejsza, wywoływały z niej drżenie i zżymanie się gniewne...

Salka siedziała zdala przypatrując się królownie z politowaniem, kiedy niekiedy rzucając słowo pociechy...

Tymczasem służebne wymykały się ciekawe w podwórce i powracały co chwilę przynosząc wieści z ulicy... Opisywały stroje, opowiadały o muzyce, wymieniały znajomych pauów, jak z nich który wystąpił...

Jedna z nich widziała królową bardzo bladą i drżącą, druga utrzymywała, że się potknęła na progu, co

było złą przepowiednią, inna wiedziała, iż w nocy płakała i jęczała a usnąć nie mogła.

Na chwilę rozrywało to królową, która chcąc nie chcąc, słuchać musiała, jak była przybrana izba malowana dla rzymskich państwa, jak ustrojony pokój duński na górze, jak stół zastawiono w Laskowcu.

Zbiegały się tu wiadomości wszystkie, od najdrobniejszych poczynawszy, do najważniejszych.

Wśród tego zajęcia jedną Sonką, dla której wszystko się to działo, sieroctwo Jadwigi opuszczonej, w ciemnej i małej komorze, zapomnianej i zapartej, występowało dla niej samej i dla innych straszniej jeszcze... a smutniej.

Jak na żart przywieziono jej narzeczonego, od którego była starszą i którym jak dzieckiem gardziła; teraz już głoszone, że Brandenburczyka ojciec miał odebrać, że wszystko było zerwane...

Dziedziczka korony, pozostawała samą, usuniętą, bo się innych może spodziewano dziedziców.

Stare niewiasty w kącie szeptały między sobą — Królowa się o to postara, ażeby miała potomka...

I spoglądały po sobie, dając znaki...

Nie szczędzono tych przepowiedni i biednej Jadwidze. Oczywiście było, że królowa zazdrosna, musiała się chcieć jej pozbyć.

W istocie litość obudzało dziewczę, jak w trumnę zamknięte w tę komnatkę, z której się jej ruszyć, wyjść, pokazać ludziom i ludzi zobaczyć nie było wolno.

Jeden Strasz z mężczyzn pozostał wiernym królowi i swojej Salce.

Ten także wypatrywał co się na zamku działo, i szydersko opisywał szczególnie to, co mu się wydawało nieudalęm i śmiesznem.

W mrokach tych izdebek, była odwrotna strona medalu, którego wspaniałość staremu Jagielle lży wyciskała z oczów. Miał czem być dumny, bo i wielkość a zamożność swą światu mógł okazać i pochlu-

bić się królową, która pięknością swą królowała nad wszystkiemi.

Cudzoziemscy panowie głosili wszyscy, patrząc na nią, że gdyby nie była królową i takby zgasiła najpiękniejsze niewiasty...

Najlepiej o tem wiedziała i czuła to królowa Barbara, która powzięła nienawiść z pierwszego wejrzenia na ten cud, bo przy nim niemal się straszną wydawała.

Lecz miała środek choć chwilowego zaćmienia Sonki, zuchwałem swem obejściem się, wyzywaniem mężczyzn, śmiechem cynicznym, który czarne zęby odsłaniał i dwuznacznemi słowy, które rzucała, wcale na męża i świadków nie zważając...

Obejście się to dziwne onieśmielało tak Sonkę, dla której i język, jakim mówiła Barbara, był obcy, że musiała pozostać ciągle prawie milczącą.

Jasny dzień wstał nazajutrz, a choć zwykle w porze tej najśrodsze u nas panują mrozy (Luty), powietrze jak w sobotę było łagodne.

Podwórcę zamkowe od rana lud zappełniał, bo kościół mało mógł objąć, i to tylko wybranych między najdostojniejszymi. Żrana przypominano sobie sierotę...

Jadwiga i na samej koronacyi być nie chciała, ani się spodziewała, ale ochmistrz królowej przyszedł z jej polecenia zaprowadzić sierotę do ganku nad zakrystyą, z którego mogła wszystko oglądać.

Salka i parę służebnych dziewcząt ciekawych, którym chciało się bardzo widzieć uroczystość, tylu królów i książąt, biskupów i pralatów, rycerzy i młodzieży, niemal gwałtem ją pociągnęły z sobą.

Przepych dnia tego gasił poprzedzający... Zamkowy kościół cały tlał złotem, świecił klejnotami, i wśród obłoków kadzideł, jak jakieś nadziemskie zjawisko migał przed załzawionemi oczyma dziewczęcia.

Co miała Polska i sąsiednie kraje najdostojniej-

szego, gromadziło się tu wszystko do koła sędziwego Jagiełły.

On sam, pomimo wstrętu swego do stroju, na ten dzień wielki musiał przywdziać sobole i aksamity. Wesół zarazem i znużony się wydawał.

Królowa choć blada od wzruszenia, zachwycała pięknnością, a szła teraz tak mężna, tak silna, jakby nie przeczuwała, że długie lata męczeństwa brała razem z tem namaszczeniem i koroną.

Ani ojciec ani macocha nie zwrócili oczów w tę stronę, gdzie w półcieniu, z wejrzeniem osłupiałem blade dziewczę patrzyło nie widząc na ten sen jakiś i postacie wspaniałe, dziwne, groźne, nieznane, które raz w życiu sierocem przesunąć się miały przed jej oczyma.

Tak samo śpiewy i muzyka, okrzyki i modlitwy przebrzmiały niezrozumiały dla niej. Przyłgła do ściany, nieruchoma stała aż po grzmiącej pieśni dzięczynnej, znowu na tle sinem obłoków z kadzielnice płynących do góry, wszystkie te postacie niknąć zaczęły, przesunąć się, zasłaniać, kościół opróżniał, światła gasły, szmer zamienił w milczenie i niepozostał nikt, oprócz niej w tej kryjówce...

Salka musiała ją pociągnąć za suknię, aby przypomnieć, że na zamek czas powracać było.

W sali Laskowcem zwanej, zasiadali już do uczy królowie i książęta, gdy przez podwórzec pusty królowna ze swą szczupłą garstką służebnic, wróciła do cichej komnatki. Serce się jej biednej ścisnęło, ojciec dla tej nowej, obcej niewiasty o swoim dziecku zapomniał... Jej tu na królewskim zamku tak jak nie było. Gdyby umarła, nie spostrzegłby nikt, że zabrakło... Podchodząc ku dworcowi, usłyszały dźwięki przygłuszone muzyki, która w jadalniach przygrywała... Piszczące fiety i głuche bicie bębnow, dochodziło ucha...

Salka wprowadzała na próg zakwefioną Jadwigę, idącą smutnie, gdy za niemi głos się odezwał dobrze

im znajomy, starej Rusinki, powiernicy królowej Femki.

— Królowa przykazała, aby królownę przyodziać w najlepsze szaty i żeby ją ochmistrzyni przywiodła do pańskiego stołu na powitanie gości!! Ubierać się a żywo...

Rozkaz brzmiał natarczywie, spojrzały po sobie. Jadwiga szepnęła cicho, że się czuje chorą. Salka i inne żywo jej odradzać zaczęły.

Spór się zajął między niemi, jedne potakiwały dumnej Jadwidze, która podrzędnej roli, jakiej jej wyznaczono, nie chciała odegrywać, drugie radziły nie opierać się, aby nie gniewać ojca, nie drażnić macochy i przed obcemi pokazać jako starsze dziecko Jagielly!

Salka poczęła dobywać najkosztowniejsze stroje, w którychby dziewczęciu mogło być jak najpiękniej. Ale Jadwiga piękną nie była, a smutek, który wdzięk podwaja, rysom nieznaczącym ostatek go ujmuje... Czuła to może królowna, dla której obojętnem było jak się ubierze, a chętniej może stanęłaby w oczach gości jak przed sądem, z całym swem upokorzeniem i krzywdą.

Prawie gwałtem posadzono ją, aby coprędzej włosy bujne utrefić, dawała z sobą czynić, co sługi chciały. Jedwabna suknia złotem przetykana, dar ojcowski, klejnoty od niego, wszystko dobrano tak, wedle jej myśli, aby żaden podarek macochy nie został użyty... Nastawała na to Jadwiga.

— Nie od niej! nie od niej!—powtarzała.

Wszystkie służebne pomagały do przystrojenia dziewczeczki, jedne wdziewały suknie i trzewiczki, drugie spletały włosy, inne rozpościerały saknie i dobywały naszyjniki, ozdoby rąk, pasa i głowy...

Sługom nie miło było widzieć ją, jak ona chciała, ubogo ubraną wobec oczów tyłu. Mogło to obudzić gniew Jagielly.

Naostatek, wszystko już było w pogotowiu, goście

oddawna siedzieli za stołem. Ochmistrzyni sama też wystroiwszy się tak, aby wstydu królowi nie uczyniły, stała w pogotowiu.. Czas było iść... Błada, drżąca, z ustami zaciśniętymi, ofiara dała się prowadzić...

W Laskowcu stół był cały złotym sprzętem zastawny, a dokoła niego siedzieli królowie, królowe, księżta i przedniejsi duchowni. Sala z rzeźbionym pulapem swym, i ścianami okrytymi obiciem, na którym naprzemiany widać było figury i wieńce, a sploty kwiatów, z mosiężnemi, złotonemi świecznikami u stropu wiszącymi, za stołem na podwyższeniu suknem szkarłatnem okrytem, przedstawiała obraz wspaniały.

Piękny jeszcze, wytwornie i bogato przybrany, z głową do góry podniesioną, i oczyma bystro do koła biegającymi, siedział w pośrodku na złotonem krześle Zygmunt król rzymski.

Po prawej ręce jego zajmował miejsce Jagiello, którego twarz pomarszczona, ogorzała, ciemna, starego łowca, dobrodusznie i prostaczo odbijała od fizjognomji chytrą, ogląda, wdziękiem zniewieściałym i pychą a fałszem nacechowanej sąsiada.

Lewe siedzenie zajmował ożywionej, rozgorączkowanej, sztucznie rozweselonej twarzy Eryk, którego Szwedzi zwali trzynastym, Duńczycy siódmym a polspolity lud Pomorczykiem. Awanturniczego coś, zuchwałego, na pół dzikiego na pół europejskiego piętnowało oblicze, które pięknem być mogło, gdyby go namiętności nie potargały.

W szkarłatnej sukni, czarnowłosy i czarnooki, majestatycznej postawy, kardynał Branda, siedział przy królu Władysławie... Dalej szli w prawo po starszeństwie Wojciech Jastrzębiec, prymas, Zbyszek krakowski biskup, arcybiskup Jan lwowski, biskup lubuski i inni prałaci, w lewo mazowieccy, szlączy, litewscy i ruscy książęta i kniaziowie, na czele których, jako gości, brat królowej francuskiej, Bawarczyk siedział, rozglądając się i przysłuchując...

Królowa rzymska Barbara, nowo uwięczona Sonka i dostojniejsze panie zajmowały stół osobny...

Rycerstwo, senatorowie, dwór towarzysze przybyłych panów Węgrowie, Duńczycy, Włosi, Rusini, Polacy, w sąsiedniej ogromnej izbie, stoły mnogie obsiadali pościśkani...

Dla najznacniejszych z nich, marszałek Zbigniew z Brzezia, oddzielił osobny stół, przy którym obok wojewody krakowskiego, widać było uderzającą, bohaterką postać jednego z ostatnich rycerzy chrześcijaństwa.

W tej dobie, która po bitwach w Czechach, sromotnych dla rycerstwa, po przegranej pod Nikopolis, mogła się nazwać epoką upadku średniowiecznej tej instytucji, w wojnach krzyżowych urosłej, gdy męstwo i ofiarność zaczęły zastępować, jak w Zygmuncie Luksemburczyku ostatnim, przewrotność, dyplomatyczna przebiegłość, chytrość bezsumiennność, osłaniająca się blaskiem fałszywym, na palcach policzyć było można ludzi, co cześć rycerską i wierność starej religii honoru zachowali.

Na czele tych niedobitków sławą okrytych stał naówczas Zawisza Czarnym zwany z Garbowa, Polak rodem, którego Zygmunt Luksemburczyk, równie jak brata jego Farureja, umiał sobie pozyskać.

Zawisza duszą, męstwem i całym sobą rycerza najdoskonalszego obraz przedstawiał. Wspaniałej postaci, pięknej męskiej twarzy, spokojnej i energią nacechowanej; pańskich i szlacheckich rysów, on i Farurej wśród skarłałego już pokolenia młodszego, świecili jak dwa z brązu odlane posągi.

Czarny był jednym z tych ludzi starego czasu, kiedy rycerze takiego jak on ducha, sami jedni płoszyli i rozbijali tysiące nieprzyjaciół i na tysiące się porywać nie wahali. Było w nich coś tej siły bajecznej heroów starożytnych, przed którą pierzcha wszystko i żywiły się korzą.

Naówczas już nawet Luksemburczyk, zakochany

w sobie Zawiszę szanował i najwyżej cenił, a ze służby swej puszczać nie chciał. Czarny na poły był Polakiem, pół rzymskiego króla towarzyszem, tak jak Ścibor ze Ściborzyc, który się tu znajdował także. Różnili się tylko od siebie tem, że Zawisza czuł się i wyznawał Polakiem, a Ścibor, wyrzekł swoich i kraju, duszą i ciałem oddany Luksemburczykowi.

Około Zawiszy co było najprzedniejszego w Krakowie, krążyło, jakby go wodzem swym z ducha i męztwa uznawało...

Nie policzyć tu było rzędem siedzących znakomości wszystkich, starców i mężów i młodzieży co już z nimi stała na równi. Jak drogi łańcuch klejnotami sadzony, wydawał się ten stół i inne mnogie, przy których wszystkiemi językami świata rozmawiano...

Uczta właśnie była w połowie, a umysły biesiadujących poczynają rozgrzewać się w rozmowie ocierając o siebie... i kubki wychylane dodawały myślom śmiałości i słowom, gdy drzwi jedne z sieni wprost do Laskowca wiodące nachyliły się i Jadwiga w nich ukazała, wśród tych różowych twarzy i ożywionych ludzi, jak widmo błąda i smutna.

Jagiello postrzegł i skinął na nią z jednej, Sonka z drugiej strony, córka przystąpiła do Ojca. Naówczas stary to dziecię swe królom ukazując i panom duchownym je polecał... Zygmunt, najzepsutszy i najrozpustniejszy z ludzi, równie jak żona jego Barbara była z niewiast najbezwstydniejszą, zmierzył oczyma lubieżnika tego wyrostka, ale żałobny smutek sieroty podobać mu się nie mógł... Spoglądali inni z ciekawością. Musiała Jadwiga iść i znieść pogłaskanie po twarzy rzymskiej królowej, i wejrzenie surowe matki, za które wypłaciła się dumnem ..

To zjawienie się jej w Laskowcu, nie trwało długo, gwar i wrzawa, kręcenie się sług przynoszących coraz nowe misy przystrojone piórami ptaków, okryte wymyślnemi ozdoby, nie dozwalało zatrzymać się, a Jadwiga jak mogła najprędzej uszła, chociaż oznaj-

miono jej, że po biesiedzie nastąpią płąsy, w których i ona powinna uczestniczyć.

W Laskowcu ucztowano poważniej i monarchowie a duchowieństwo nie schodziło z miejsc swoich, trwając do końca. W bocznych salach poczynano sobie swobodniej daleko...

I gwar też panował tu weselszy... Wielu z panów wstawalo, przechadzało się, wiązało w gromadki, więcej zajmując rozmową, niż jedzeniem i kubkami.

Nieco opodał u tegoż stołu, przy którym siedział wojewoda krakowski, Zawisza Czarny i Farurej, miejsce zajmował człowiek, niewielkiego wzrostu, otyły, okragłej twarzy, uśmiechający się sarkastycznie, w sukni duchownej, z łańcuchem na szyi.

Chociaż wzrost nie dawał mu wybić się nad innych i szerokie ramiona sąsiadów go zasłaniały, twarz na pozór pospolitych rysów, nie odznaczała go od innych, wyraz jej rozumny, dowcipny i cyniczny nieco, usta szerokie i wydatne uśmiechające się ciągle szydersko, czoło wypukłe i szerokie, jakaś cecha życia i śmiałości, zmuszała go wyróżnić wśród natłoku. Widać było, że ten zażywny, krągły, wesół, dobrze utuczony księżyna, więcej tu znaczył niż inni.

Obracano się do niego w rozmowie, wywoływano odpowiedzi, przysłuchiowano się im ciekawie.

Pochylały się ku niemu głowy, skupiali za krzesłem ludzie, radzi coś z ust tych posłyszeć, których każde powiedzenie wywoływało śmiech i oklaski...

Był to jeden z najzdolniejszych ludzi wieku swego, poeta łaciński, pisarz niepospolitym obdarzony talentem, znany z niepomiarowanej złośliwości swej podkanclerzy Ciótek.

Naówczas gdy cała Polska obruszona była na Jagiellę za zniewagę jaką uczynił koronie Piastów, kładnąc ją na skronie starej Granowskiej, nieszczęśliwej kobiety, znużonej życiem i jego przygodami, Ciótek napisał był szkaradny paskwil na nią, w którym na-

zwał królowę maciorą, co ryjem z ziemi skarb sobie wykopała...

Jagiello precz go naówczas odegnał ode dworu, ale bez Ciołka kancelarya królewska chromała. Obęjsć się bez tego cynika nie było można, który mimo sułki duchownej, więcej miłośnych wierszy pisał niż modlitw, i znał się lepiej na Owidiuszu niż na teologii.

Lecz gdy potrzeba było wystylizować list do Rzymu, skargę na Krzyżaków, jedno z tych pism, które do Stolicy, to na Sobory posyłano, Ciołka nikt nie mógł zastąpić.

I król, choć go nie lubił, choć mu nie przebaczył w duszy, musiał go do służby nazad powołać, a Zbyszek ścierpiał go pod sobą jako podkanclerzego.

Po takim upadku człowiek gdy się podniesie, zawsze go to uzuchwala. Czuje się niezbędnym, takim w istocie teraz był i sądził się podkanclerzy. Pozwalał też sobie wiele bezkarnie, gdy mu ową maciorę przebaczano.

Wśród uczytły właśnie, jeden z tych co tu przeciwko Oleśnickiemu, stronę Witoldową trzymali, młody Mielsztyński, zbliżył się po za krzesło podkanclerzego. Opatrzywszy dobrze, aby ich nie podsłuchano; do ucha mu szepnął.

— Cóż napiszecie o tej — księżę podkanclerzy?

Odwrócił się trochę zdziwiony Ciołek, popatrzył mu w oczy długo i zdawał się wzrokiem wyrzucać uczynione pytanie, odpowiadać na nie ochoty nie mając.

— Jeżeli nie napiszecie, to choć pomyślicie? — szepnął Mielsztyński — a jabym rad sąd wasz wiedział?

— Abyś go roztrąbił — dodał podkanclerzy.

— Nie, abym się z niego nauczył co o przyszłości — odparł młody.

— O przyszłość pytajcie nie mnie, a Henryka Czecha, który ją we gwieździech czyta — zaśmiał się Ciołek.

— Wy ją i bez gwiazd odgadnąć potraficie — rzekł Mielsztyński.

— A gdybym zgadł, myślisz, żebym ją w świat rzucił? — rzekł Ciołek.

— Cóż o naszej królowej mówicie? — trochę niechęci zdradzając tonem odezwał się Mielsztyński.

Ciołka twarz oblała się rumieńcem.

— Tyle tylko — przerwał żywo — że królową godna być! Sama piękność ją nią czyni..

— A nasz stary pan przy niej?

Podkanclerzy brwi podniósł i oczy spuścił.

-- Cóż rzec? szczęśliwy, i po wszystkim — zakończył Ciołek..

Nie mogąc z niego nic po swej myśli wyciągnąć, Mielsztyński szepnął coś o Barbarze. Podkanclerzy okiem mrugnął i uśmiechnął się.

— Lepiej dobranego małżeństwa nad te — rzekł — od stworzenia świata nie było... *Ambo meliores*. Onaby wszystkich mężczyzn rada mieć, a Zygmunt wszystkie niewiasty, byle nie ją!!

Śmieli się oba. Rozmowa cichemi szepty się skończyła.

Uczta też już musiała ustąpić przygotowującym płasom, do których grali fleciści i serbowie...

Młodzież ruszyła się z miejsc, stoły pustoszały...

Do wielkiej sali, w której już niewiasty się zgromadziły, rycerstwo też ochocze napływać zaczynało...

Od początku uczty, przy książęcym i monarchów stole, siedzący mąż lat średnich, nasępiony, milczący zwracał uwagę tem, że mało go kto tu znał, a gdy się jedni drugich pytali o nazwisko jego, ledwie się dobadać można było, iż ruskim jakimś kniazem go mianowano. Imię mu było Jerzy, a nazwy księstwa nikt nie podawał. Ruszano ramionami, powiadając, że przyrodnim bratem Witoldowej Julianny był.

Mało on tu widać znaczył i posadzono go nisko, choć głowę wysoko zadzierał i dumnie z góry spozie-

rał na drugich, a królowej szczególnie nie spuszczał z oka.

W sali gdy do płasów się sposobiono, zajął miejsce u ściany, za pas rękę założywszy, z nikim nie przestając, sam, jakby tu nie miał nikogo. Biesiada go nie rozweseliła, choć pił dużo. Po niej wydawał się jeszcze mocniej zasepiony. Oczy jego to na podługę były zwrócone, to szukały królowej, a nudziło mu się widocznie, nikt się nim nie zajmował, on też nie szukał nikogo.

Zdawał się tylko szukać zręczności, aby do Sonki się zbliżyć. Ona i królowa rzymska rozpoczęły płasy, od których tylko stary Jagiełło schronił się do kąta.

Zygmunt luksemburski zaraz potem śmiało wkroczył pomiędzy panny królowej i co najpiękniejsze wybierając, począł się im zuchwale naprzykrzać. Obyczaj wieku takiemu panu dozwalał wiele, a Zygmunt korzystał z tego.

Tymczasem małżonka jego Barbara śmiała się oczyma i rękami powołując ku sobie co najkrasiwszą młodzież. Wybierała do płasów bez różnicy narodowości, który najpiękniej wyglądał i nie szczędziła przymileń.

Wesoło być poczynąło na sali, a płasom towarzyszyły wybuchy śmiechu, które niekiedy piskliwą muzykę głużyły.

Królowa Sonka wprędce znużona, usiadła... Zaledwie to spostrzegł kniaź Jerzy, który na to zdawał się czatować, natychmiast pod ścianą się snując, przybliżył ku niej.

Postrzegła go Sonka i ostro spojrzała. Tym czasem, kniaź już przez niewiasty się przedarłszy, do jej krzesła przysunął.

— Nie było czasu nawet was i pozdrowić — odezwał się po rusku... Ja tu błąkam się cały dzień jak w lesie, mnie mało kto zna, a ja tak jak nikogo. Chciałem się wam pokłonić — dodał — i od siebie — tu zatrzymał się trochę — i od księcia Witolda.

Królowa obejrzała się zdziwiona i dumna.

— Nie raczył przybyć książę, nie spodziewałam się pozdrowienia — rzekła... Zabolalo mnie to! zabolalo!

— Witolda też boli, że wasza miłość, o nim tu zapomnieliście — mówił książę Jerzy. — Ja tu z tem od niego przybyłem, abym żal jego przywiózł i...

— I co? — dumnie spytała Sonka.

— Przebaczą, królowo moja — śmiało dokończył Jerzy — no... i przestrożę.

— Groźbę, powiedz raczej? — wtrąciła Sonka.

— Nazwijcie to jak chcecie — zimno ciągnął dalej książę — Co mi polecono, to wam niosę. Witold srodze na was zażalony. Innego się po was spodziewał, z czem innem was na ten tron słał, należało mu więcej... Pomnijcie, miłość wasza, że ręka jego sięga daleko, a nikogo się on nie lęka.

— Więc i mnie nie powinien — przerwała obrażona Sonka. — Chciał odemnie pewnie, abym dla niego zdradziła męża? służyła mu jak niewolnica?

Uśmiechnęła się.

— Mój książu, siostrzenicą jego nazwać bym się nie była godną, gdybym taką niewolę ścierpiała! Jestem mu wdzięczną, ale słuchać go nie powinnam i nie mogę...

— I nie będziecie? — zapytał książę.

— Nie będę! nie! — gniewnie odezwała się królowa. — Co mnie spotka, z tem się rozprawię, ale Witoldową służebnicą, królowa polska nie będzie nigdy!

Książę Jerzy posłyszawszy ten wyrok, spuścił głowę.

— Podumajcie no, podumajcie — rzekł po chwili. — Ja was takiego dnia uroczystego nie chcę trapić, a radzę, podumajcie! Znacie Witolda. Siedzi daleko na Litwie, nie ma go tu, bezpieczni się czujecie od niego... a gdy zechce... tak was potrafi zrzucić, jak podniósł..

Sonka spojrzała pogardliwie na kniazia.

— Jego słowa powtarzam — dodał... Znajdzie drogę i do serca Jagielly, aby wam je odebrać, i do tych co wam tu służą, a wy wiecie najlepiej, że uparty i mściwy jest...

Rozśmiała się młoda królowa.

— Mściwą ja nie jestem jak on, ale upartą tak samo — rzekła. I jak jego, mężną mnie Bóg stworzył. Myślicie, że nie widzę niebezpieczeństwa i nie wiem co mnie spotkać może? Wszystkiemu wierzę, ale wszystko przetrwam...

Pierś jej poruszać się zaczęła coraz mocniej i oczy pod brwiami zmarszczonemi zabłysły ogniem.

— Byłabym podłą, gdybym groźbom uległa miała. Witold mógłby mnie być może powolniejszą uczynić, gdyby nie obraził rozkazywaniem... Mnie oprócz pana mojego małżonka, nikt rozkazywać nie będzie.

Gwałtownie dokończywszy, królowa otarła usta chustynką i spojrzawszy do koła, że nikt się nie zbliżał i nie słuchał, ciągnęła dalej.

Powiedz mu to, powiedz wszystko, oskarż mnie. Wiem ja, wiem dlaczego Witold wydawał mnie za starego. Chciał mnie mieć miłośnicą swą i niewolnicą... Nie śmiał dziewczką, gdym była przystąpić, sądził, że zamezną mnie weźmie!! Nieraz w Wilnie dawał mi poznać, dlaczego wydaje za Jagiellę; milczałam, aby się z jego rąk uwolnić... Dziś, powiedz mu to, nie złamie Sonki, może się mścić, ale mnie nie pozyska niczem. Jest dosyć młodych dziewczek na Rusi...

To mówiąc wstała królowa, spojrzała na kniazia Jerzego, który stał z głową skurczoną, i twarz starając się wypogodzić, podeszła ku królowej Barbarze.

Rozmowa była skończoną. Książę Jerzy znalazł się sam za pustem krzesłem i natychmiast z pośrodku kobiet, które go otaczały, cofać się począł..

Na twarzy królowej, pomimo jej mocy nad sobą,

pozostał wyraz stłumionego gniewu. Witold zatrul jej ten najpiękniejszy dzień w życiu.

Nazajutrz i następnych dni, ciągnęły się uroczystości i zabawy, bo królewskie gody mniej tygodnia nie mogły trwać.

Z rana w podwórcach odbywały się turnieje, po których Barbara i Sonka nagrody rozdawały. Siadano potem do stołów, a wieczorem płasy się wznawiały.

Zawisza Czarny, Farurej, dwaj komturowie Krzyżacy, Tarnowscy, Mielsztynscy, Tęczyńscy i młodzież rycerska, codzień się spotykali w pełnych zbrojach, krusząc kopie, dając dowody zręczności i siły.

Królowa rzymska, która była zawsze najpicievszą do rozdawania wieńców i miała zręczność zbliżyć się do młodzieży, bawiła się wielce gonitwami. Sonka musiała, choć ze trwogą w duszy, jaką ją groźby Witolda napęłniły, wesolą się okazywać. Jagiello z gościnnością bezmiernie szczerą, swoich dostojnych przyjaciół obsypywał darami.

Tak czas upłynął aż do soboty na Wawelu. Ostatniego dnia Zawisza Czarny uprosił sobie króla Zygmunta w gościnę, a z nim i wszystkich panów i książąt... Przy ulicy św. Jana, bogaty kupiec Czech dom mu swój pożyczył, aby miał gdzie królów pomieścić, a był to jeden z największych w mieście.

Tym samym trybem odbyła się uczta u Zawiszy, przy której on z bratem gospodarzyli i ugaszczali...

Ostatniego dnia sypnęły się pożegnalne dary w koniach, misach, futrach i kosztownych tkaninach. Król rzymski niecierpliwy śpieszyć musiał do domu, do dalszej walki z Czechami, do obmyślenia obrony przeciw Turkom, do szukania pieniędzy, które w ręku jego topniały.

Po Spizu założonym Jagiello, gotów był nowy jaki ziemi kawał dać zastawą, byle dostać tych grzywien, któremi rozrzutnie szafował. Krzyżacy wahali się z pożyczką.

Najdłużej z obcych książąt pozostał w Krakowie bawarski Ludwik; a gdy przeprowadzany przez Jagiełłę za bramy miejskie, miał się już z nim rozstać, obrócił się ku niemu schylając głowę.

— Zaprawdę — zawołał z uśmiechem — słyszałem o was i nasłuchiłem się wiele, ale com oczyma widział własnymi, przeszło czegom oczekiwał.

Wrócił Jagiełło spoczywać...

— Sonko — odezwał się wdziwając swój kożuch stary z wielką radością, iż dawne życie miał rozpocząć. — Sonko, radą jesteś?

— Królu mój! szczęśliwaś mnie uczynił, Bóg niech płaci; patrz tylko, aby mojego i twojego szczęścia Witold nie zamącił!

VII.

Rok ten nie dobiegł do końca, gdy ostatniego dnia października, wesolą nowiną rozległa się Polska cała. Królowi dał Bóg syna, następcę... Sonka ukoronowana krwi jego, zapewniała tron polski, bo nikt nie wątpił na chwilę, że wierni zawsze swym panom wybiorą Polacy syna tego, który z wielką troską razem przyniósł im też wielką siłę...

Złamana była groźna potęga Krzyżaków, garnęły się korony do Polski, rozrastały granice; hetmanił podbojom dla niej Witold.

Lecz nie wszyscy nowonarodzonego witali z jednakiem uczuciem... Piastom on wyrywał ostatnią nadzieję odzyskania praw, które stracili. Witold przy-

słał mu srebrną kolebkę, ale i on nie rad mu był może... Ten dar dla pierworodnego, był jakby przedjednania znakiem. Od koronacyi żaden głos nie doszedł królowej z Litwy, nie ponowiły się groźby.

Sonka chwilami łudziła się nadzieją, że serce wujka odzyska, że zwycięży.

Jagiello pomrukiwał, iż zwykle Boże Narodzenie na łowach spędzał w kochanej Litwie, w Wilnie.

Królowa potrzasała głową, nie mówiąc nic.

— Witold na nas zagniewany, zażalony, jechałby nam obojgu i przejednać. Lepiej go mieć przyjacielem, niż wrogiem.

— Lecz bratem i druhem wy go nigdy mieć nie będziecie—tęskno mówiła królowa.—On nad wszystkiemi chce panować, nad tobą, nad Polską, nademną. Tu więcej się go już obawiają ludzie, niż ciebie. Mało mu zawsze tego co ma, nienasycony jest...

Jagiello, któremu nieraz korona ciążyła, milczał i myślał.—Niech panuje byłem pokój miał w domu...

A gdy święta się zbliżały, jął namawiać królowę po rękach całując.

— Jedźmy do Wilna oboje prosić Witolda na chrzciny... Sprawim Włodkowi taki chrzest, jak koronację tobie... Przyjadą królowie i książęta, postaramy się, aby panowie polscy synowi twemu tron zapewnili.

Nie trwożną była królowa.

Myślała długo, podróż ta wiele ją kosztować miała, lecz nuż przyniesie pojednanie? Witold przestał grozić, mogła go sobie bez upokorzenia pozyskać...

Jechali więc królestwo oboje na Litwę, do Wilna, a synaczek pozostał pod pilną strażą w Chęcinach.

Sonka była dobrej myśli. Chciała za srebrną dziękować kolebkę i prosić o opiekę dla syna i siebie...

Goniec przybył od Witolda, książę zapraszał do

Wilna... Przed świętami na Wileńskim zamku wita-no krakowskich gości.

Jakim sercem i myślą? odgadnąć było trudno. Witold milczący, księżna Julianna dumna, kłaniali się królowej z musu, Jagielle staremu obiecywali łowy... nic więcej.

Oczyrna przy pierwszym spotkaniu zmierzyl się przeciwnicy, wejrzenie nie zapowiadało pokoju. Witold chciał poddania się i uległości. Sonka się czuła królową.

Książę zimno i obojętnie się z nią obchodził, może dlatego, że Julianna więcej niż kiedy go podlegała, rozdrażniona, upokorzona, gniewna, nie mogąc jej przebaczyć małżeństwa, korony i syna!

Z niewieścią zazdrością matki, która potomka już się doczekać nie spodziewała, patrzyła na tę szczęśliwą żonę starca, dającą królowi następcę.

Szczęście Sonki było jej niedolą.

— Przybyła się tu uragać nam, tobie, którego ma za namiestnika Jagielly, mnie, aby się chwalić wielkością swoją. Nieposłuszna, zdraдлиwa, w oczy nam patrzy, aby okazać, że się nie boi! Po tojechała na Litwę, rzuciwszu dziecko, aby potęgą swoją nas wyzywać!

Witold słuchał, lecz jak zawsze niewieście słowa nie czyniły na nim wrażenia. Był przekonany, że królowa przybyła zgodę i uległość ofiarować, aby ją i sprawę syna w Polsce popierał.

Czekał tylko rozmowy, ale spodziewał się jej na próżno. Zazdrośna Julianna, która obawiała się zbliżenia, stała wiecznie u drzwi, aby poufnemu porozumieniu się przeszkodzić.

Wśród swych kobiet inaczej Sonki nie zwała jak gądziną i żmiją.

Nareszcie jednego dnia, gdy król na łowach był, Julianna zachorowała, Witold sam na sam był z Sonką. Cekał aby zagaiła sprawę—milczała.

— Sądziłem — odezwał się — że po tylu latach

i takich losu odmianach, zechcecie mi coś powiedzieć o sobie.

— Ja? — zapytała Sonka — tajnego nie mam nic, a dla was też w Polsce skrytego nie ma nic, wszystko wiecie.

— Powiodło się wam — dodał Witold po chwili. — Oprócz pauza Boga, wiuniście to może komuś jeszcze.

— Tak, wam — odrzekła spokojnie Sonka — i za to jestem wdzięczna.

— Ale ja tej wdzięczności nie doznałem — przerwał książę — spodziewałem się więcej.

— A ja nie mogę nad to nic — zimno odparła królowa. — Sprawy polskie nie zawsze się godzą z waszemi, innego Polacy wymagają, wam potrzeba co im niemiłe i niegodne. Was przeciwko nim popierać nie mogę.

Witold przeszedł się namarszczony po izbie, nim nagle wybuchnął.

— Wprzódty nim polską królową, byliście siostrzenicą moją i Rusinką. Co nam Polska? ona jest kulą u nogi, dyby ona na mnie kładzie. Od niej się oswobodzić, to nasza rzecz. Królestwo wielkie z Litwy i Rusi stworzyć, aż po Moskwę, a mocne, a silne, więcej znaczy niż Polskę kleić, która się rozpada, a my z nią rady nie damy. Tam rządu niema; nie będzie nigdy. Rządzą biskupi, kancelarye, panowie, szlachta, a król ich, nie oni jego słuchają. Potracili krajów wiele, które teraz napowrót odzyskiwać muszą. Poszły na ręce niemieckie. Piastowie ich do Niemców i do Czech się poprzeczucali, Mazowieccy rządzą się jak chcą. Szlżęcy po swojemu. Trzebaby im żelaznego meża i dłoni żelaznej, a oni już ich nie zniosą.

Tyś Rusinka, jam Litwin... a co nas obchodzi to niesworne mrowisko?

Sonka słuchała spokojnie.

— Sami widzicie, że z wami trzymać nie mogę —

rzekła—bom ja polską królową, a i wy nie powinniście zapominać, że z ręki Jagiełły trzymacie Litwę...

Witold zbladł i stanął drżący.

— Ja? — zakrzyknął — trzymam ją z ręki Bożej i tak silnie, że mi jej nikt, i Jagiełło ze wszystkimi swemi Polakami nie wydrze.

Rozśmiał się dziko.

— Przyjdzie godzina, gdy ten sojusz do czasu cierpiany zerwać będę musiał i zgruchoczę te więzy... Do sprawy przyszłego wielkiego państwa Ruskiego i Litewskiego, tyś mi powinna była służyć, na tom cię uczynił królową, pamiętaj, że tak samo i zrzucić cię z tronu potrafię...

Witold uniósł się gwałtownie i sam spostrzegł, że puścił cugle roznamietnieniu. Zamilkł starając się wzburzenie ukołysać. Sonka milczała z oczyma spuszczone.

— Grozicie mi przyszłością — odpowiedziała po namyśle. — Ona jest w ręku Bożem nie waszem. Na to co dokonać chcecie, więcej niż jednego życia ludzkiego potrzeba. Komuż to przekażecie po sobie?

I lekki uśmiech przebiegł po jej ustach.

— Oderwijcie dziś Litwę i Ruś od Polski, o którą stoicie oparci jak o ścianę, cały ten wasz budynek niedokończony w gruzy padnie i Polska go przestoi!

Książę westchnął.

— Nie potrzebujesz mnie uczyć, ani co mam czytać, ani komu po sobie zostawić spuściznę — rzekł — myślałem o wszystkim. Była chwila, żem Polskę brał w rachunek i chciał ją mieć ze mną, lecz ze Zbyszkim, z warchołami i z księżmi, co gdzieindziej swego króla mają, nie począć nie można.

Ja bez was obejdę się—dodał dumnie—patrzcież abyście wy mnie nie potrzebowali, staniecie mi w drodze, a będziecie podszeptywać Jagielle niewiarę ku mnie, moja ręka dosięgnie królowej w Krakowie!

Wypowiedziawszy to w gniewie i uniesieniu, a nie

widząc skutku innego, oprócz, że królowa pobladła i brwi się jej ściągnęły, książę zamilkł po raz wtóry.

W ciągu rozmowy, naprzemiennie mówił do niej jak do królowej, to tak jak był dawniej nawykł do siostrzenicy, zapominając, że była już żoną Jagiełły.

Teraz gdy ochłonął nieco, a sam sobie przypomniał, co mu z piersi wyrwało wzruszenie, na siebie się zgniewał. Lekce sobie jednak ważył to, że się zdradził przed kobietą, choć nie rad był porywczowości własnej. Cofnąć się nie umiał nigdy... Zamilkł dumnie. Królowa nie wznowiała rozmowy.

Milczenie panowało w komnacie i Sonka zabierała się wynieść z niej, gdy w podwórzu szczekanie psów, wrzawa, nawoływania oznajmiły przybycie Jagiełły.

Powracał z łowów niedalekich w Ponarach, jak prawie zawsze rad dniowi spędzonemu w lesie i na koniu, w pogoni za zwierzem. I jak stał w kożuchu podwójnym, w ciężkich butach futrzanych, z trąbką przez ramię, w baraniej czapce na głowie, wszedł do izby.

Królowa wstała, Witold śpieszył na powitanie przybrawszy weselszą twarz... Od progu zaczęło się opowiadanie, którego książę roztargniony słuchał... Sonka kilką słowami przywitawszy króla, wyszła do swoich izb i w nich już pozostała. Wieczór zszedł na przerywanych zapytaniach i odpowiedziach o rzeczach obojętnych.

Jeden dzień tylko przemilczawszy, Sonka wieczorem podrzuciła myśl powrotu do Krakowa. Dziecko zostawiła na obcych rękach i dozorze, obawiała się o nie. Wspomnienie o niem Jagiełłę wprawiło w niepokój.

— Napróżnobyśmy tu siedzieli — rzekła — Witold ani księżna na chrzciny przybyć nie zechcą. Prosiłam wuja, odmówił mi.

— Mnie zbyt milczeniem — westchnął Jagiełło. — A gdybym mógł ich dwu z biskupem Zbyszkciem

pojednać i zbliżyć, jakaby to dla mnie było pociechą!

— Ogień z wodą — odparła uśmiechając się Sonka.— Jedźmy do Krakowa.

Nazajutrz Jagiełło oznajmił, że musi śpieszyć z powrotem, aby w połowie lutego przyjąć sproszonego gościa, a Witold go nie zatrzymywał.

Pożegnanie było urzędowe i chłodne, księżna Julianna chorą się uczyniła, aby królowa do niej nie ona musiała iść do królowej. Stryjeczni bracia podali sobie dłonie, i Jagiełło nazad ruszał do Polski... Sonka знаła go i wiedziała, że ilekroć odwiedza Litwę powraca z niej smutnym, bo stare w nim odzywają wspomnienia. Tak było i teraz. Oglądał się za siebie, jechał zadumany, tęsknił.

Sam powiadał pociechu, że nieraz wolałby być tu księciem zostać, niż w Polsce królować.

Prawda, że Witold więcej miał władzy nad niego.

Wszystko się odbywało wedle myśli króla, zesłał na chrzciny posła swojego Papież, król rzymski, przysłali dary nawet Krzyżacy. Uroczystość była wspaniałą i radośną. Królowa na chwilę zapomnieć mogła, że miała nieprzyjaciół i że groźba Witolda wisiała nad nią i nad tą srebrną kolebką jej syna, którą książę mu przysłał.

Zaledwie przebrzmiały uroczyste okrzyki, król już puścił się na tę wędrówkę po kraju niezmordowaną, która mu znaczniejszą część każdego roku zabierała. Królowa została w Krakowie, ale nie była bezczynną.

Los przyszły syna ją obchodził...

Ochmistrz dworu, przy którym po raz pierwszy z ust królowej się wyrwało, gdy jej przyniesiono.— To przyszły wasz król... — skłonił się potwierdzająco, ale dodał zarazem.

— Nadzieję potrzeba mieć, że go wybiorą panowie...

— Jakto, wybiorą?—odparła żywo królowa—przecież z prawa krwi panować musi?

— Nie, miłościwa pani—rzekł Malski.—Panujący nam król dożywotnio był obrany, jako mąż Jadwigi, której tron ten należał, a po nim kto koronę weźmie, pytać potrzeba ludzi. Oprócz tego Jadwiga z narzeczonym Brandenburszym tron miała przyrzeczony, a umowa dotąd zerwaną nie była.

Rzucona wątpliwość skłoniła królowę natychmiast do powołania biskupa Zbigniewa.

Oleśnicki potwierdził co mówił Malski, dodając, iż Polacy przez pamięć dla dobrego króla, zapewne innego nie uczynią wyboru...

Nie starczyło to królowej, więc, choć Jagiełły nie było, bo ten z Wielkiej Polski zwykłą drogą przez lasy ruszył w lubelskie i na Ruś, zmuszony uchodzić przed powietrzem, które opustoszało osady i miasteczka, poczęła bez niego starania zawczesne o zapewnienie następstwa synowi.

Oleśnicki przeciwnym temu nie był, i gdy Jagiełło polował na Rusi, biskup zwoływał i wyrozumiewał senatorów i szlachtę, starając się wymódlzić na niej piśmienne przyrzeczenie. Dano Jagielle znać przez gońca, o zwołanym zjeździe do Kalisza... Szlachta i panowie pod wodzą duchowieństwa zgadzała się na zapewnienie małemu Jagiellonczykowi tronu, ale tak jak od Ludwika niegdyś, wymagała potwierdzenia swobód swych i przywilejów. Dano na ręce Zbyszka piśma, z tem, by je zachował dopóki król nie zapewnił swobód dawnych, a nie powiększył ich jeszcze...

Przyrzeczenie było warunkowe...

Szlachta żądała, aby ona tylko mogła piastować duchowne dostojeństwa... Znaczyło to więcej, niż na oko sądzić było można. Owładnąć mogła wszystkim, król stawał się bezwładnym...

W Polsce szerzył się mór wszędzie, który i oboje królestwo wygnał z Krakowa, na Litwę, do Wilna. Sonka przeciw woli swej towarzyszyć musiała mężowi. Witold wyjechał na Ruś, zostawił ich samych... Książ-

na do Trok uszła przed nienawistną mężowską siostrzenicą.

Nim powietrze ustało, nim powrócić było można, wiosna się zbliżała. Między Witoldem a Jagiełłą rozdrażnienie i gniewy były coraz większe... Drobną okoliczność rozżarzała niechęć. Książę obstawał koniecznie, aby Krzyżakom lichy młyn Lubicki ustąpić, dlatego, że on go dla nich żądał, Polacy nie chcieli dać, bo panował rzece, która czasu wojny znaczyła wiele... Witold brał to za osobistą urazę, że jego prośbę odrzucano. Odgrażał się i sarkał.

Niewidząc go, musieli królestwo opuścić Litwę, a na pociechę Jagiełło ruszył do Białowieży, na żubry i niedźwiedzie... Królowa musiała wprost jechać do Krakowa, gdy na drodze napędził ją goniec z wieścią smutną. Uganiając się zapalczywie za uchodzącym niedźwiedziem król w puszczy nogę złamał. Przywieziono go do Lubowli i Krasnegostawu leczyć i spoczywać, aby znów powstać mógł.

Pomimo wieku, podniósł się rychło choć o kiju i po przewodach królowa wiadomość miała, że przez Mazowsze zdążył do Łęczycy, gdzie zwołana szlachta miała domagać się od niego potwierdzenia swych przywilejów.

Czasu pobytu w Wilnie królowa miała porę rozmyślać nad tem, co Witold jej mówił o królowaniu w Polsce. Pamiętała te słowa szyderskie wuja, że tu nie król panował, ale duchowieństwo i szlachta... Miałże jej syn w kolebce już być zakuty w te kajdany, i taki cień tylko władzy odziedziczyć, który ojca czynił bezsilnym?

W tych godzinach znużenia i rozmyśłów, gdy król spoczywał, a chętnie słuchał rozumnej Sonki, kładła mu w ucho.

— Nie dawajcie szlachcie i duchownym więcej nic! Mają oni i tak zbyt wielką przewagę. Naśmiewa się z was Witold, że władzy żadnej nie dierżycie, nie wyrzekajcie się jej dla syna. Przywiesili

wszakże pieczęci w Brześciu do przyrzeczenia, iż syna naszego na tron wezmą. Pargamia chowa biskup i nie wyda go im napowrót...

Jagiello często sam nadto cierpiał na ten brak władzy, do której w Litwie był nawykłym, aby zdania żony nie podzielał. Sonka wymogła na nim słowo, iż nowych swobód nie nada... Król przyrzekał żonie i chciał dotrzymać... Z drugiej strony pamiętał iż mu to Zygmunt rzymski wyrzucał, naśmiewając się z niego, iż sobie wszelką moc z rąk daje wydzieierać... Jechał więc do Łęczycy z postanowieniem mocnem, oparcia się wymaganiom, choć wprzód sam na nie się zgodził.

Wszystko tam miało zależeć od biskupa Zbyszka, a królowa ufała, iż stanie po stronie Jagielly.

W Krakowie, chora Sonka z niepokojem wyglądała jego powrotu... Wieści jakieś dziwaczne poprzedziły króla, lecz tym nie dawano wiary, a dopytującej pani, nikt nie śmiał oznajmić, że król z tego zjazdu powracał gorzej niż z niczem. Ze wszech stron groźne się gromadziły chmury... Dochodziły z Litwy od Witolda przechwałki, iż Sonkę zgubić musi, a pomści się jej nieposłuszeństwa.

Królowa leżała w łóżku, gdy jej męża oznajmiono.

Zwykle przybywał on wesół i dobrej myśli, teraz o kiju jeszcze, bo mu noga dolegała, przygarbiony nieco, z twarzą schudzoną, zestarzały nagle, ukazał się w progu... Podeszedł ku łożu milczący, przywitał Sonkę spuszczać oczy...

— Jeszcze wam noga dolega? — zapytała niespokojnie...

Król popatrzał na nią.

— Nogać—rzekł—nie. Ty nie wiesz nic?

Poruszeniem tylko dała poznać Sonka, iż żadna wieść jej nie doszła.

— W Łęczycy—wybąknął król—żądali odemnie potwierdzenia swych swobód...

— Oparłeś się?—przerwała królowa.

— Napróżno—dokończył smutnie Jagiełło.—Szlachta zażądała groźnie od biskupa zaręczenia, które na ręce mu dała.

— A biskup się nie sprzeciwił?

Spuścił głowę król i ręką zamachnął w powietrzu... Słów mu brakło. Nagle przejęła go jakaś groza i oburzenie, wstał...

— W mojej obecności, stu ich dobyło szabel i pergamin z krzykiem i wrzaskiem, jakby niemi mnie samemu grozić chcieli, na sztuki rozsiekali.

Królowa oczy sobie zasłaniając, padła na łóżce, na którem siedziała i krzyk się wydobył z jej piersi.

Nastąpiło milczenie. Jagiełło zadumał się ponuro.

-- Ujść musiałem z izby—dodał—ścigany wrzaskiem i pogroźkami. Takim ja jestem królem i taka tu moc moja... Napróżno starałem się głównych z nich ująć podarkami i obietnicami. Obawiają się jedni drugich...

Potrząsnął głową.

— Chcemy tronu dla syna, będziemy musieli kupić mu go pergaminem. Będzieli miał siłę, sam go może szablą rozetnie...

Plakała królowa.

W tych łzach i smutku, wśród posłuchów z Wilna, że Witold się na nią odgraża, przyszedł na świat drugi syn Kaźmierz. Jagiełło sam lękając się wielkiego księcia rozdrażnić mocniej, gotów był ten nieszczęśny młyn Krzyżakom ustąpić, aby zagniewanego przebłagać. Królowa błagała go o to. I ją już strach ogarniał...

Wysłano rządzącego wszystkim biskupa Zbyszka w uroczystem do Witolda poselstwie, które przebłagawszy go z podarkiem dla króla wróciło. Wielki książę szedł na Psków i nie chciał za sobą zostawić nierozstrzygniętego sporu.

Zjednani Krzyżacy mu towarzyszyli...

Weselsze więc mogły być chrzciny nowonarodzonego Kaźmirza w Krakowie.

Królowa podniosła się z łoża, łudząc nadzieją, że Witold był przejednanym. Jagiełło znowu puścił się na łowy, do Wielkopolski, na Mazowsze, na Ruś swą, i długo w Krakowie go nie było... Ale kolebkę drugą wprędce trzeba było na trumienkę zamienić, zmarł Kaźmirz...

Sonka sama płakała, czekając męża, którego ta wieść smutna nareszcie do Krakowa powołała...

W czasie tych długich dni osamotnienia na zamku, czas upływał w niepokojach na przemiany, oczekiwaniu, przysłuchiwaniu się wieściom, które nadchodziły, często we łzach i smutku...

W Krakowie nikogo oprócz dworu, urzędników i niewieściego orszaku Sonki nie było; biskup Zbyszek, na którego ramionach cały ciężar rządów spoczywał, objeżdżał swą diecezyę, sprawiał poselstwa i nigdy długo w stolicy swej nie mógł mieszkać. Zaledwie przybył, już go odwoływano.

W niebytności Jagiełły i jego, ani posłów, ani gości nie widywał Wawel, w podwórcach i po komnatkach wiało pustkami...

Po odrętwieniu długiem, pragnienie życia jakieś, potrzeba roztargnienia budziła się w królowej, a raczej rozbudziły je jej towarzyszek... domagał się dwór...

Jednym z tych, co najusilniej nastawali na to, że młoda pani nie powinna była zamykać się jak w klasztorze i zamęczać tęsknicą, był Hincza z Rogowa.

Dopomagała mu bujna młodzież, tegoż co on usposobienia, Piotr Kurowski i Jaś Kraska, Jaszko z Koniecpola, dwóch Szczekocińskich i inni.

Sami oni z radą przyjść nie mogli, a do ochmistrza dworu, poważnego i surowego Nałęcza Malskiego przystąpić nie śmieli... musieli użyć pośrednictwa niewiast, które bliżej były królowej.

Hincza naprzód poszedł z uzaleniem do Femki,

o której wiedział, że samotność pani najprędzej weźmie do serca.

— Co naszej królowej potem — rzekł — że ona królową jest i na wysokim zamku siedzi. Losu jej prosta mieszcza nie pozazdrości. Całe lata sama jedna, jak w klasztorze, żeby choć pieśń lub gędźbę posłyszała... żeby gości przyjęła...

— Oj! co prawda, to prawda! — potwierdziła Femka.

— Alboby to rady nie było, gdyby ona sama chciała?—rzekł Hincza.

— Jakaż rada?

— Niech przykaże, aby oehmistrz drwi otworzył, gości prosił... muzyce grać kazał, a choćby królowej panny się z nami w płasy puściły, przecieżby grzechu nie było.

Hincza i Wawrzyn Zaręba tak w uszy kładli Femce tę potrzebę rozweselenia królowej, iż stara piastunka coś jej o tem szepnąć musiała.

Lecz goręcej to wzięły niż Femka, dwie siostry Szczukowskie Kaśka i Elża, które królowej najbliżej były, służyły jej najlepiej, ale śmiertelnie się na zamku nudziły i nietyle im szło o zabawę pani, co o własną. Pod pozorem nieszczęśliwej Sonki, wszyscy tu o siebie dbali, może z wyjątkiem jednego Hinczy, który do swej pani przywiązany był wielce, a ludzie go ogadywali, że się w niej kochał i modlił się do niej jak do cudownego obrazu.

Mogła królowa wiedzieć o tem, i okazywała Hinczy życzliwość, ale nigdy nie zapomniała, że na głowie miała koronę, a na sumieniu przysięgę.

Nieraz przysłuchiwała się uśmiechając pogadankom wesołym komorników swych: Wawrzyna Zaręby, Kraski i Jana z Koniecpola... lecz wszyscy oni stać musieli zdaleka.

Czy namowy Femki, czy prośby Kaśki i Elży, czy własne znużenie i jakaś chwila zniecierpliwienia

skłoniły królowę do tego, iż w zapusty sama będąc, ochmistrza dla dworu swego o muzykę poprosiła.

Był to wielki na zamku wypadek, gdy pod niebytność Jagielly, po raz pierwszy miały te puste komnaty ożywić się nieco i zabrzmieć pieśnią. Malski nie mógł się rozkazowi Sonki sprzeciwić, a nie widział też w tem nic złego, żeby się młodzież rozerwała i rozweseliła opuszczoną królowę... Radość wielka panowała między młodzieżą... Hincza, który tego był sprawcą, tryumfował, i niepotrzebnie się z tem chwalił.

Strasz, który miał na wszystko ucho, wiedział zaraz, że płasy się gotowały i mięsopust wesoly. Nie było wątpliwości, że królowa i młodą Jadwigę, siostrzanicę, szesnastoletnią wdowę po Brandemburczyku zaprosi na pokoje... Wzięto na naradę wcześniej co począć w takim razie, a królowna, zawsze na macochę zagniewana, szczególnie teraz rozżalona, gdy jej syn tron odebrał... odezwała się, że chorą się uczyni, a na żadne tany i zabawy nie pójdzie.

Salce i pannom królewnej smutno z tem było, lecz namawiać nie śmiały.

Pomiędzy królową macochą, a Jadwigą, pojednanie i zbliżenie się stawało niepodobnem i coraz niemożliwszem. Odpychana zimnym wstrętem, Sonka musiała wyrzec się przyswojenia królewnej, która męczennicą być chciała i umyślnie się nią okazywała przed ludźmi.

Gdy szła do kościoła, gdy ją wywożono na przejażdżkę w okolicę, umyślnie kładła najniepozorniejsze szaty, ubierać się nie chciała, okazywała twarz smutną. Zdawała się mówić tym, co ją spotykali:

— Patrzajcie jak się to ze mną obchodzi macocha...

Dwór jej w tem potakiwał i dopomagał, a Strasz po mieście roznosił wiadomości o okrucieństwie macochy, które litość wzbudzały... Mało wreszcie Sonka i jej przyboczna służba zwracała uwagi na to, bo po-

radzić nie było można, a wszelkie usiłowanie pojednania jeszcze niechęć wzmagало... W dziecku sierocie wyrobił się charakter zgryźliwy i w sobie zamknięty, królowa zbyt była dumną, aby czując się niewinną, upokarzać się chciała przed dziewczęciem.

Zapowiedziana zabawa, którą i młodzież i panny przyspieszyć się starały, przyszła do skutku.

Królowa wyszła smutna z początku, chcąc być tylko świadkiem, jak się jej dwór zabawia. Siedziała nie mając żadnego udziału w piasach, i ledwie odpowiadała na zadawane pytania... Ale ta atmosfera wesela, młodości i pieśni, odżywiła w niej dawną żywłość, krew uderzyła do serca... Śmiały się jej wszystkie oczy i twarze... Dziewczęta przypadały całując po rękach i z poufałością spowiadając się ze swych figlów zalotnych...

Hincza prawie ciągle stał za krzesłem i rozповідаł coś, coby do śmiechu pobudzić mogło; a odszedł on na chwilę, zastępowali go Jan z Koniecpola lub Wawrzyn Zaręba... Wszyscy oni swoją młodą królowę ubóstwiali i każdy był szczęśliwy, gdy słówko z ust jej mógł posłyszeć...

Jak się to stało, że pod koniec zabawy Hinczy królowa podała rękę i poszła z nim w pias, śmiejąc się białemi ząbkami, sama ona może nie wiedziała. Krótko trwał ten tan i powróciła na swe krzesło zarumieniona, zasromana — jakby wielką popełniła zbrodnię...

Ośmieliło to dziewczęta i piasy zawzięły się namiętne, tak, że im starsza pani Anna wdowa po marszałku Zbigniewie, swoją powagą koniec położyć musiała...

Był to pierwszy krok tylko, z którego Hincza i jego towarzysze korzystać umieli, aby wieczorne zabawy powtórzyły się wkrótce...

Starszą panią Annę przekupił słowy słodkimi Jan Kraska, do którego słabość miała. Nazajutrz

mówiono już na pewno, że królowa zwoła znów gości i muzykę za dni parę.

Chociaż Strasz i nikt z dworu królewnej Jadwigi nie był czasu zabawy w izbach królowej, chyba podedrzwiami tylko, nazajutrz opowiadał on dziwne rzeczy o tem, co się tam dziać miało. Ze zgrozą powtarzano, iż królowa z Hinczą poszła w płasy i że wszystka młodzież tak sobie tam poufale poczyniała, jakby łask Sonki i bezkarności najpewniejszą była.

Ziściło się co Hincza sobie obiecywał, a Kraska u starej pani wymodlił. Królowa nie opierała się temu, aby dwór znowu się zabawił i ją rozweselił...

Drugiego wieczora poszło wszystko gładziej i łatwiej, śmielsi byli chłopcy i dziewczęta, a i królowej nie wydawało się to dziwnem ani zdrożnem, że ze swojemi komornikami poufale rozmawiała i ci jej prawiłi słodycze...

Wśród tych pustych rozmów mogła na chwilę zapomnieć o tem, co jej groziło, co przecierpiała i jakie ją próby czekały jeszcze...

Hinczą ile razy tylko mógł znajdował się za krzesłem swej pani, nie zważając na to, że go nią przesładowano i że dawał tem powód do nowych posądzeń.

Królowa widząc go na straży trwającego, odwróciła się pytając:

— A czemuż wy sobie nie dobierzecie pary? Dziewcząt siła przystojnych jest, i nie jeduaby wam może była rada... No? przyznajcie mi się, któraż z nich wam najmilejsza? Kaśka i Elża obie hoże!

Hincza się skrzywił.

— Miłościwa pani — rzekł — może to być, że która z nich niezegoby się wydała, ale tam gdzie róża albo lilja kwitnie, trudno patrzeć na nogietki!

— Musieliście się od Niemców uczyć tak trefnej mowy — odparła królowa — ja jej nie rozumiem...

Hincza spostrzegłszy się, iż za śmiało wystąpił,

oczy spuścił i krok się cofnął. Królowej się żal go zrobiło.

— Powiedzcież mi — odezwała się — do której się Jaśko z Koniecpola zaleca? bo widzę jakby niewiedział, którą wybierać i wszystkie z kolei bałamuci...

— Miłościwa pani — odparł chcąc sprawę swą naprawić Hincza — my tu wszyscy ile nas jest dla jednej tylko naszej królowej oczy mamy, a przy niej nam żadna niemiła...

Sonka potrząsnęła główką i pogroziła Hinczy, który chcąc w żart obrócić co powiedział, uśmiechnął się.

— Nie mam was za to czem nagrodzić — dodała po chwili królowa.

— A my też i niczego nie żądamy i nic się nie spodziewamy — dodał Hincza. — Ilu nas jest, choć życieśmy dać gotowi...

Królowa zamilkła, a po chwili rozkazująco odezwała się:

— Idź mi zaraz weź Hclusię Kotkę do tańca, to ci się głowa zawrócona wyprostuje...

Hincza posłuszny od krzesła pobiegł, ale tuż miejsce jego zajął Jaszko z Koniecpola. Ten mówić nie śmiał, czekał na rozkazy. Królowa pożartowała z niego, że nie wie jaką ma wybierać, i radziła mu Elżę, on się od wszelkich wypierał.

Wieczór tak przeszedł cały, lecz Sonka już do tańca się nie dała wyciągnąć. Femka, która coś posłyszeć musiała, radziła jej być ostrożną.

— Złe języki jak żądła kołą — szepnęła jej z rana. — Dobrze się poweselić, ale strach, by potem nie płakać.

Przestroga ta nie uczyniła wrażenia ni skutku. Sonka czuła się w duszy niewinną, a trochę roztar-gnienia dni jej długie samotności skracalo. Jagiello rzadko siedział w Krakowie, królowę mało kto nakazywał, mogłoż jej to być poczytanem za winę, że kazala czasem zaśpiewać, że komornikom pozwoiliła się w swej przytomności zabawić z dziewczętami,

a niekiedy i sama, zapominając trosk, uśmiechnęła? Weszło we zwyczaj wieczorami u Sonki zbierać się dworowi, do którego niekiedy i obcy się przyłączali.

Nie czyniono z tego tajemnicy.

Królowna Jadwiga ani razu nie dała się ściągnąć do macochy, chorą się opowiadała lub wprost odmawiała. Strasz tymczasem szpiegował, i spoufalenie się dworzan, których był wrogiem, wystawiał przed ludźmi ze zgrozą, jako występne jakieś zaloty.

Niewpuszczany na pokoje, Odrowąż miał zwyczaj w czasie tych wieczornych zabaw i śpiewów, podkraść się podedrzwi i chwytac co mu doszło do uszu, aby potem z tego tworzyć niegodziwe potwarze.

Dopatrzone tych podsłuchów, Kaśka i Elża Szczukowskie skradły się pocichu i złapały go na gorącym uczynku. Na ich okrzyk wypadł Hincza, Jaszko z Koniecpola, dwóch Szczekocińskich i przytrzymanego Strasza nie tylko obili, ale go ochmistrzowi Małskiemu zaskarżyli. Sprawa się z tego wywiązała przykra dla Strasza, który musiał w zamkowej kunie odsiedzieć karę.

Zwiększyło to jego złość i wyszedłszy z zamknięcia, za wstawieniem się królownej, poprzysiągł głośno:

— Będą mnie oni znali, nie będę żyw, jeśli nie posadzę ich wszystkich głębiej, niż ja siedziałem i na dłużej. Pozna mnie i Rusinka, której stary mąż się naprzykrzył i młodych sobie szuka do zabawy.

Poszły więc zaraz donosy na Litwę do Witolda, ale przez drugich podawane nie obudziły wiary w wielkim księciu. Kazał się Straszowi stawic samemu z tem co przeciwko królowej miał.

Chwila była nadeszła, w której gniew na Sonkę wzrósł do najwyższego stopnia. Witold, nie mając potomstwa, pod którymkolwiek z książąt litewskich chciał po sobie zostawic Litwę, oderwaną od Polski. Tymczasem Jagielle rodzili się synowie, nowy potomek był spodziewany. Groziło to jego mającemu się stworzyć państwu litewsko-ruskiemu, że przejdzie na

Jagiellowych synów i pozostanie z Polską związanem.

Zgubić więc potrzeba było królowę, aby uratować przyszlą koronę litewską.

Sonka trwała w swym uporze, trzymała stronę Oleśnickiego. Witold pragnął się pomścić. Strasz w jego ręku miał być tej zemsty narzędziem.

Wahał się Odrowąż ze spełnieniem rozkazu Witolda, lecz w końcu posłusznym być musiał.

Znikł jednego dnia z Krakowa, nie opowiedziawszy się nikomu, oprócz Salki i królownej.

Hincza i komornicy Sonki tryumfować poczęli, sądząc, że się go wreszcie pozbyli i że ukarany sromotnie więcej już na dwór nie powróci.

Ale Strasz powlókł się na Litwę.

Tu czekać musiał powrotu Witolda z ruskiej wyprawy. Wielki książę przybył niemal zwycięzcą, rokując sobie przyszłe podboje...

Zaledwie chwilę wolną miał, po pierwszych naradach z Cebulką i Małdrzykiem, gdy Strasza kazał przywołać.

Rozwiązał mu usta książę, chcąc od niego całej prawdy.

Strasz zamiast niej, obmyślaną dobrze potwarz przynosił.

— Nie ma co tać — rzekł — srom i hańba, co się dzieje na krakowskim zamku. Po dniach całych i nocach, królowa wyprawia swawole z młodzieżą, dobierając sobie najurodziwszych. Wszyscy palcami wytykają jej kochanków... Hinczę z Rogowa, Wawrzyna Zarebę, Janka z Koniecpola, dwu Szczekocińskich...

Stara jej piastunka Femka i dwie Szczukowskie o wszystkim wiedzą i drzwi pilnują.

Nie ma dziwu, że choć król na łowach ciągle, a w domu gościem, dlatego kolebek u nas dosyć, a rychło znowu jedna będzie potrzebną.

Bystro spojrział na mówiącego Witold, któremu

twarz bladą oblała krew, bo i zazdrość i gniew powiększała.

— Patrzaj co mówisz, abyś tego dowiódł — zawołał — niemalej to wagi rzecz... królowę obwinić... i srom rzucić na ród pański.

Strasz, jak był gwałtowny, widząc że już się cofać nie mógł, począł się w piersi bić i palce na palce zakładać, przysięgając, że mówił prawdę, że wszyscy wiedzieli o tem, że na ulicach Krakowa chłopięta małe ulubieńców królowej sobie śmiejąc się pokazywały.

Jał opisywać potem, jak to się poczęło coraz jaśniejszem stawać, przez uzuchwalenie młodzieży, choć dawno wprzód potajemnie się zaczęło, ale teraz — powiadał — nie lękano się już niczego. Król stary był ślepy, milczał, pozwalał się królowej prowadzić i czynił co chciała, zdzieciniawszy.

— Cóż na to duchowieństwo? — zapytał Witold.

— Duchownym panom umie się królowa ułożyć i okazać jak chce — mówił Strasz. — Do kościoła chodzi, klęczy i modli się, a swoje robi. Na dworze sobie podarkami i łaskami ludzi ujmuje, więc milczą. Boją się jej wszyscy, bo dosyć, by Jagielle szepnęła słowo, a człowiek zgubiony...

Począł potem Strasz fałszywie opowiadać, jak on sam cierpiał, katowany był niesprawiedliwie za to, że bronił nieszczęśliwej królowej sieroty, która na zamku z głodu prawie marła, siedziała zamknięta i nigdy nawet królowa jej do siebie nie dopuszczała.

Umiał opowiadając Strasz nadać potwarzom swym takie prawdopodobieństwo, iż Witold, dogodnym mu powieściom uwierzył.

Postanowił uczynić krok stanowczy, położyć koniec panowaniu Sonki. Na to potrzeba było osobistego widzenia się z Jagiellą, przy któremby królowa przytomną nie była.

Wahał się z wykonaniem zamysłu, coraz to badając Strasza, dopytując, wydobywając z niego nowe

szczegóły. Strasz, który miał czas do namysłu i ułożył sobie zawczasu baśń całą, nie dał się pochwycić w niczem, i dostarczał coraz więcej jątrzników gniewowi Witoldowemu.

Dopiero gdy się badanie to skończyło, a mściwy Odrowąż ochłonawszy i rozsluchawszy się na dworze Witolda, począł ważyć skutki swojego kroku, uląkł się sam następstw.

Poszedł więc do księcia zaklinając go i prosząc, aby mu tajemnicy dotrzymał i nie wydawał, gdyż wielu z tych, których mianował, rodzin i powinowatych zemsty się obawiał...

Witold jako dumny a szlachetny pan, zmierzył go wzrokiem pogardliwym.

— Cóżes myślał, że ja z tobą na spółkę ludzi oskarżać będę, nie mianując zkąd to mam? Twoja rzecz była ważyć wprzód skutki nimes mi przyniósł wieść, ja cię ani zakrywać, ani taić nie myślę. Owszem głośno pozwę cię na świadectwo.

Strasz struchlał. Nie wątpił on, że Witold zwycięży, iż królowa będzie zgubioną, że komornicy, których podał imiona może na gardle karani będą, ale zawsze pozostać mógł kto do pomszczenia ich. I on więc paść miał ofiarą?

Odprawiony niemal obelżywie, odszedł Strasz, innej nie otrzymawszy nagrody nad nadzieję zemsty...

Ogarnęła go trwoga. Na zamku spostrzegł, że na niego oko miano i nie wypuszczano go bez towarzysza, nawet na miasto...

Zwiększyło to obawę.

Dowiedział się potem, że Cebulkę książe z poufem jakimś poselstwem wysłał do Jagielly... Im dłuższy czas upływał, tem strach wzrastał... Na samą myśl, że zmuszony być może w oczy obwinionym dowodzić, kto wie? pod przysięgą? spraw, które powymyślał, rozpacz go niemal ogarniała.

Nie było już innego ratunku nad ucieczkę, lecz pogoń mogła w niej pochwycić, próbował księcia pro-

sić, aby go do Białaczowa odpuścił, ale Witold zostać mu kazał, zapowiadając, że z sobą do Horodła zabierze, gdzie się z królem Jagiełłą miał zjechać.

Wpadł Strasz w zwątpienie i niepewność wielką co miał czynić?

Jednego dnia rano Małdrzyk pisarz Witoldów, dał znać księciu, iż od wczora wieczora Strasza jakoś widać nigdzie nie było. Posłano szukać na miasto i tu się nie znalazł. Konia, na którym ze sługą przyjechał, także na stajni nie było, a sługa wprzód jeszcze od pana zniknął.

Ucieczka ta dała do myślenia Witoldowi, ale kości były rzucone. Cebulka wyjechał zapraszać Jagiełłę na zjazd w Horodle nad Bugiem, cofać się już nie było można. Witold postanowił wedle zeznań Strasza, śmiało obwinić królowę. Wiedział dobrze o tem, że nawet anielską Jadwigę oczernioną Jagiełło podejrzewał, że i Anna musiała się oczyszczać z zarzutów wiarołomstwa, a Granowskę nie spotkało to tylko dla tego, że starą i zbrzydłą posądzić nie było podobna.

Młoda i piękna Sonka, on siedemdziesiątkoletni, trzeci potomek spodziewany, wieści rozpowszechnione o lekkomyślności królowej, nie starczyłoż to wszystko na obudzenie niewiary i gniewu Jagiełły??

VIII.

Była wiosna 1427 roku, dobrze już rozpoczęta, a nadbużne okolice stały zielone i wonne w całym blasku piękności swej dzikiej nieco, pierwotne przypominające wieki.

Słowiki śpiewały noce całe, a gdy nad łąkami okrytymi świeżemi traw kobiercami, zaświecił księżyc w pełni, i przy tej muzyce ptaszej, zdawały się bąki w trzcinach i wiszarach... jakby godziny wywołujące puszczy... gdy wiatr powiał od rozwiniętych brzóz — taki urok miała ta okolica lasami zarosła, przecięta rozlaną rzeką, iż sen odbiegał z powiek znudzonych ludzi, aby się widokiem tym nasycać mogli.

W małym zameczku Horodelskim, do którego Witold go ściągnął, Jagiello od dwóch dni oczekiwał na niego. Boże Narodzenie spędziwszy na łowach w lasach około Grodna, ciągnął potem niezmordowany starzec do Chełma, na Ruś. Święta Wielkanocne odprawił w Przemyślu i z tych stawił się przed Świętym Krzyżem do Horodła.

Tu w tym cichym kącie, czuł się jak w raju.

Lasy, które tak kochał, otaczały go, nie potrzebował szat paradnych wdziawać dla nikogo, leżał na pościeli tak długo jak chciał, za stołem, wodę popijając, siedział gawędząc ze swą czeladzią, a nocą mógł słuchać słowika, którego lubił.

I teraz właśnie, wieczorem wyszedłszy z zameczku między drzewa stare, na prostym kłocu siadł, rękami podparł głowę, a zasluchiwał się w pieśniach wiosennego śpiewaka.

I dumał. Czasami zdawało mu się, że tę dziewczyną pieśń, jak słowa ludzkie rozumiał, że ona mówiła mu coś o tych wszystkich niepojętych rzeczach, które się działy na świecie. To znówu muzyka stawała się nieodgadniętą, nierozwikłaną, a była tak piękna!

Księżyc wybił się nad lasy na czystym niebie wiosennem i w wodach rzeki a wylewów szerokich siał srebrnymi smugami. To było dla oczu... Powietrze nawet dostroili się do uroczystości nocnej i zaprawiło wonią nieźrównaną... Czuć było w niej pączki brzóz, pękające dęby i klony, zapachy sosen i jodeł,

wyziewy wody i tchnienie traw a nocnego kwiecia
zwiedłego.

Uśmiechała się twarz staremu królowi, a myśl jego
mimowoli cały przebieg długiego życia ściagała po roz-
zerwanych pasmach pamięci...

Przeżył tak wiele, dożył czego się nie spodziewał,
tyle pogrzebał nadziei i tyle nowych wytrysnęło
z ziemi: Jadwiga i Kraków, Wilno i Hawnul, po-
gańskie świątynie, ognie i dęby, tam gdzie teraz stały
kościóły; małżeństwo z Anną, śmierć jej, nieszczęsne
gody z Granowską, śmierć biednej starej, nowe za-
ślubiny, Sonka... syn jeden, drugi umarły, trzeci spo-
dziewany...

A obok, ciągle Witold, Krzyżacy, Zygmunt... Zby-
szek...

Życie mu już ciążyło, gdyby nie łowy i lasy...
W lasach mu było najlepiej, z ludźmi ciężko. Ustę-
pował im, obdarzał, nie dawali mu pokoju... W la-
sach śpiewał dla niego słowik, szumiały drzewa i mo-
że stare bóstwa Litwy odzywały się do niego...

Jagiello zegnał się wspominając je, lecz zemsty ich
bał się zawsze i gotów je był potajemnie przebłagać.

Nieraz na myśliwskim noclegu, gdy wielki ogień
zapłonął, przypominał mu się ten potężny, odwieczny,
który on sam gasił przed laty na Żmudzi.

Wszystkie cienie przeszłości przesuwały się przed
nim, witał je westchnieniami i zegnał — znikaly.

Lecz natychmiast zjawiały się inne, a gdy brakło
umarłych, przychodzili żywi... Dwaj szczególnie po-
koju jego nieprzyjaciele, ci co mu nie dawali życia
kosztować swobodnie: Zbyszek i Witold.

Lękał się ich obu.

W oczach jego wyrósł ten Oleśnicki, niemal z chło-
pęcia w olbrzyma, a nieustraszony był, a gardził
śmiercią, a mówił prawdę gorzką... Był to mąż boży,
ale straszny jak archanioł z mieczem...

On go wypiastował sam, teraz Zbyszek jemu pa-
nował.

Witold, tego on znał od dziecka jako bohatera i wodza; dał go dlatego, o rodzonych zapomniawszy braciach, kochanej Litwie, aby ona rosła i rozprzestrzeniała się pod nim.

Stało się, jak chciał, lecz teraz odrywała się już od Polski...

Jagiello milczał...

Żał mu jej było, a w sercu radował się, że się tak stała potężną...

Witold i Zbyszek, Litwa i Polska bojowały teraz z sobą po nad głową starca, a on nie wiedział komu miał życzyć zwycięstwa...

Mówił więc sobie, że Bóg będzie wiedział najlepiej jak tę sprawę rozsądzić. Tymczasem słowik śpiewał, księżyc świecił, a puszcza mówiła królowi do ucha co kryła w sobie... On jeden znał jej tajemnice. Noc była cudna... cisza wielka, a na jej tle jak misterny haft złoty dzierzgała pieśń słowicza...

Królby był chciał całą tak nockę przesiedzieć do rana, przedumać... Czuł się prawie szczęśliwym.

Wtem cień ujrzał rynchomy przed sobą, który mu niespodziane jakieś przyjście natręta zwiastował, choć zatopiony w dumaniu, nadchodzącego nie słyszał. Domyslał się król któregoś z domowników, treskliwych o to, aby go zapędzić do pościeli i podniósł głowę nierad...

Przed nim stał Witold...

Z okrzykiem zerwał się król z kłody, na której siedział i rzucił się go ściskać, uradowany.

Wielki książę witał go, ale chłodno, ale smutnie, z powagą i bez radości.

Po za niemi z za drzew, widać było jasne okna pootwierane w zameczku i Jagiello ująwszy brata pod rękę, chciał prowadzić zaraz do komnat przygotowanych.

Witold z początku się zawahał, jakby z nim chciał sam na sam pozostać, podumał trochę, pożałował mo-

że wesołego starca, którego szczęście przybywał zburzyć nielitościwą i okrutną dłońią, wstrzymał się i siedł z nim posłuszny.

Trudno mu było zawsze pohamować i ukryć co miał w duszy i teraz też, gdy gotów był wybuchnąć, musiał przemódz się, aby Jagiełłę do ciosu, który mu miał zadać, przygotować.

Oskarżenie Sonki, przyprowadzało go tu umyślnie, z tem jednym jechał do króla. Zastał go tak szczęśliwym, wesołym, dobrodusznie rozochoconym, odmłodzonym tą wiosną, iż musiał sprawę odłożyć do jutra.

Jagiełło prowadząc go, dopytywał o Ruś, o wyprawę do Pskowa, a to co zamierzał dalej.

Witold przerywał mu wymówkami jeszcze o ów młyn, którego Krzyżakom tak długo dać nie chciał.

— Bracie mój—tłumaczył się Jagiełło—dałbym ci dla tych nicponiów trzy młyny nie jeden, byleś się nie gniewał na mnie, ale Polacy wiedzą dlaczego ich tam do rzeki dopuścić nie chcieli... Widziałeś Zbyszka?..

— Twojego króla i króla Polski—odparł Witold—boć on panuje... a zuchwały jest...

— Rozumny i nieustraszony — rzekł Jagiełło. — Szanuję go.

— Szanuję go i ja, ale gdybym Jagiełłą był, siedziałby w Chęcinach, lub dawno dał pod miecz głowę!

Przeraził się Jagiełło.

— Rzym! Rzym!—zawołał cichym głosem.

Weszli tak mówiąc na zamek.

Ledwie on zasługiwał na to nazwisko, tak szczupły był, zaniedbany i niepozorny. Kilka izb na dole mieszkalnych, tylko tak niewymyślnego jak Jagiełło króla zaspokoić mogły. Przed przyjazdem jego powysypywano klepiska piaskiem, gdzie podług nie było, ściany wybielono... Za sprzęt służyły ławy proste, a stoły także i police w murach... W królew-

skiej sypialni wysoko wysłane łoże z siana okrywały skóry, na stole paliło się kilka świec woskowych, stał dzban prosty z wodą i kubek srebrny.

W drugiej izbie obok przygotowano takie same dla Witolda łoże, a naprzeciwko pokotem mieli się pokłaskać towarzyszący dwom panom.

Reszta czeladzi mieściła się jak mogła na małym horodyszczu wśród wałów, a nawet po za niemi.

Noc była późna, Witold już wieczerzać nie chciał, powiadał się znużonym. Zdala pierwsze koguty piał. Ręce sobie podali i rozeszli się do spoczynku.

Jagiello szedł do łoża z troską jakąś w sercu, wejrzenie ponure i ostre Witolda nie mu dobrego nie zwiastowało. Miał on przenikliwość czasem wielką i odgadł, że mu jakąś burzę z sobą przynosił... Pewnie skargi na Zbyszka i na Polaków, pewnie rady na ich poskromienie. Lecz... zapóźno było rozhukanych wstrzymywać.

Legł król przewidując na jutro walkę, której nie lubił, czuł się słabym do niej. Słowem nie władał, a pokój tak kochał.

Dzień po nocy jasnej wstał cały obleczoney mgłami, wilgotny, smutny. Słońce się wybić nie mogło z oparów, obłoków i mgły, która na błotach osiadła.

Znaleźli się oba przy rannym stole i kubkach wody świeżej, bo oba nic nad nią nie pili.

Witold był zadumany i milezący.

Rozmowa się z zimnych jakichś pieluch nie mogła rozpowić.

Na zły czas i na złą myśl Jagiello miał jedno lekarstwo. Gdy jeść przestali, rzekł do Witolda.

— Jedźmy w las!

— Jedźmy, ale sami—odparł Witold.—Mam z tobą mówić na osobności, a żadne ucho ludzkie słyszeć nas nie powinno.

Jagiello spojrzał strwożony.

— Tajemnicę mi przywozisz?

— Wielką a smutną — rzekł Witold. — Cześć

twoja i szczęście od niej zależą. Nie pytaj mnie tu. Jedźmy.

Konie zawsze w pogotowiu stały...

Myśliwcy Jagiełły, łowcy i komornicy sądzili, że im z sobą jechać każe... Dał znak ręką, aby pozostali. Ruszyli sami w milczeniu, już dla króla brzemieniem trwogą. W duchu odmawiał jakieś zaklęcia i przypominał sobie, czy dnia tego lewej nogi wprzód nie ozuł przed prawą.

Dla niego to zawsze nieszczęście wróżyło. Dnia tego roztargniony, nie był pewnym, zdało mu się, że się mógł omylić.

Wyjechali na szeroki, pusty gościniec, konie szły powoli. Witold nachmurzony przed siebie patrzył.

— Mów, bo mnie to piecze.. coś zapowiedział — zamruczał Jagiełło.

— Dowiesz się złego aż nadto prędko — rzekł Witold — a no mężem jesteś i serce powinienes mieć hartowne, niech cię to nie zatrząsa zbytnio. Na wszystko poradzimy.

Jagiełło słuchał, nie mówiąc słowa, splawał i rzucał coś po za siebie. Twarz jego wczoraj rozpogodzona, ciemniała i nabierała wyrazu zgrzybatej starości.

— Dałem ci sam Sonkę — odezwał się Witold — masz ją z mojej ręki, jam winien i dlatego ratować cię chcę.

Ona cię zdradza.

Król krzyknął i powstrzymał konia.

— Kłamstwem to jest. Sonka!

— Słuchaj, bądź cierpliwy i mężny — przerwał książę. — Na wiatr nigdy nie mówię słowa. Patrzyłem za ciebie, szpiegowałem, wiem i jestem pewnym, że ona ci jest niewierną.

Bladość żółta okryła twarz Jagiełły, głos zamarkł mu na ustach i ledwie mógł wyjąknąć.

— Mów, mów wszystko!

— Miałem i mam na dworze u jej boku ludzi,

co patrzyli na wszystko i donosili mi — rzekł Witold. — Tyś stary, ona młoda, nie pilnowałeś, ufałeś jej i ludziom, co dziwnego, że cię ten los spotkał?

Pół roku niema pana w domu, otworem drzwi. Na dworze młodzieży pełno, dobrała sobie ulubieńców, jest ich dość. Cieszysz się potomstwem, a...

Jagiello nie dał mu dokończyć.

— Gardło dadzą precz pójdzie — zakrzyknął.

— Czeka! naprzód połapać potrzeba i dowieść winy... Żywa dusza wiedzieć o tem nie ma, dopóki winowajcy nie będą w ręku. Mam ich imiona... Nim wiadomość dojdzie do Krakowa, trzeba się zabezpieczyć, aby nam nikt nie uszedł... Do mnie ich odeszlesz, ja prawdy z nich mękami dobędę, jeśli jej dobrowolnie nie powiedzą.

Tyś za słaby, ciebie oni łzami przemogą, okłamią. Do mnie przyślij dziewczęta jej, które pomagały do wszystkiego do mnie ją samą odeślij pod strażą silną. Ja ją osadzę na zamku gdzie i zamknę... Winowajców pod miecz...

Król przerażony, z głową spadłą na piersi, nie mógł nic odpowiedzieć.

— Dziecko moje! syn! — zawołał rozpaczliwie. — Tak... syn to mój... ja go się nie wyrzekę...

— Syna ci nikt nie odbierze — odparł Witold — ale dość ci jednego...

Z królową tą, ty dłużej żyć nie możesz... Ja jakem ją dał, tak zabiorę, a zaprawdę ciężki grzech odpokutuje ona dobrze... W wieży ją posadzę! na chleb i wodę, łotrzyć!

Z namiętnością wielką krzyknął to Witold rękę podnosząc do góry.

Jagiello jechał osłupiały gniew w nim walczył z żalem, łkanie jakieś słowa mu tłumilo. Chciał mówić i nie mógł.

— Witoldzie — przerwał zdobywając się na wysiłek. — Ona miała i ma nieprzyjaciół. Patrz by ją nie

okłamano... Srogim występkiem byłoby ciemnieżyć niewinną niewiaścę.

— Ona niewinna — wybuchnął Witold — ja ją od dziecka znam. Kiedym ci dawał młode i piękne dziewczę, przypomnij sobie w Nowogródku, mówiłem ci: strzeż się i pilnuj, bo to krew Rusinki, która gdy śpi, wydaje się jak woda zamarzła, ale gdy się poruszy, ukropem tryska...

Jakby nie słyszał słów tych, Jagiełło się zwrócił ku niemu.

— Imiona mi mów... imiona... kto?

— Komorników jej dałeś młokosów — zaczął Witold.

— Ochmistrem jest Nałęcz stary...

— Takim jak ty mężem, a on i ty obaście ślepi. Nie winien on, ale szlachta bezwasa, co za nią ogony nosiła i na usługach jej była... Pierwszy z nich najulubieńszy... Hincza z Rogowa...

Usłyszawszy to imię, król się tak rzucił na koniu, że ten przelekły poskoczył z nim w bok i ledwie go mógł powstrzymać.

— Hincza! ten! któregom ja głaskał i pieścił. Zdrajca! on!

— Któż nas zdradza, jeśli nie ci, których my łaskami obsypujemy?—Odparł Witold.

— Hincza! — jeszcze raz powtórzył król zadumany.

— Ale i inni tam albo wspólnicy lub pomocnicy tacy dobrzy jak on—dodał książę.—Jaszko z Koniecpola, Szczekocińskich dwu, Wawrzyn Zareba...

Z zakąszonemi usty i oczyma iskrzącemi, słuchał, pocichu sobie powtarzając te imiona król.

— Naprzód dwie jej pomocnice, co przy niej dniem i nocą na straży bywały i drzwi pilnowały, wziąć potrzeba i wysłać do mnie — mówił Witold — dwie Szczukowskie, Kaśkę i Elżę, ja z nich wszystkiej prawdy dobędę...

Sonkę ja znam! Z tej ani grozą, ani łaską nie

wymożesz wyznania. Umrze a nie powie nic. Sługi jej wyśpiewają mi wszystko...

Tylko nie wydawaj się zawczasu!..

Jagiello już był pod władzą brata, chwilę krótką burzył się i walczył, teraz poddawał się wszystkiemu czego on mógł wymagać.

Witold też czuł, że zapanował nad nim.

— Niczyjej oprócz mojej pomocy ci niepotrzeba— rzekł—ja biorę sprawę na siebie. Sonki ani puszcza na oczy, łzami cię zmięczy, okłamię bezwstydną... Imiona winowajców ja ci dam, nie przebaczą żadnemu. Głową powinni nałożyć dla czei twojej.

— Pójdzie to po świecie... na srom mój — jęknął król—nie zataić tego...

— Nikomu to nie tajne już oprócz ciebie, nie masz co oszczędzać sławy straconej. W Krakowie na ulicach palcami jej ulubieńców wytykają. Znają ich wszyscy...

Przykładnej kary potrzeba.

Król milczał, zatrzymał konia, jakby ku zamkowi chciał zawrócić, ale Witold jechał dalej.

— Mamy jeszcze do mówienia wiele—odzwalał się— a ty ochłoń, aby gdy powrócimy, twarz cię nie zdradziła. Jedne słowo niebaczone, a słuszną pomsta się z rąk wyśliznie. Sonka jest zręczną, na złodziejach czapka gore... Rozbiegną się najwinniejsi, a nam trzeba dowodów winy i wyznań.

Wprawdzie mam to za pewne co mi z Krakową przyniesiono i nie od dziś o tem wiem, ale dla ukarania Sonki zeznań potrzeba...

Na męki ich! na męki!!

Spojrzawszy na znękanego, zgiętego, wybladłego króla, Witold z gniewem dodał.

— Bądźże mężem, niech ci dla głupiej niewiasty serca nie pęka, niewarta ona tego...

— Ostatnią miał i miłowałem ją jak żonę i jak dziecko — odezwał się król bolejącym głosem. — Nie

dziwuj się i nie łaj. Ostatek życia zatrula, na ko-
lebkę dziecka padł cień... nieprzyjaciele nasi.

Łkając mówił przerywanemi wyrazy, a Witold
spoglądał dań, śledząc jego uczucia. Chciał mu się
dać wynurzyć, aby wiedział, co ma czynić dalej.

— Na Boga żywego—dodał Jagiełło—choć powia-
dasz, że wszyscy wiedzą o tem, potrzeba im gęby
zamknąć, ostrożnie i tajemnie to spełnić, wrzawy nie
budzić, oczów nie zwracać.

— Nie potrzeba się samym oszukiwać — przerwał
Witold tajemnica się póty uchować może tylko, do-
póki winnych nie weźmiemy. Sonkę pod strażą ode-
ślij do mnie? rozumiesz?

Nie odpowiedział król.

— Na Boga—rzekł—o to się naradzić potrzeba...
Na cóż mam ją odsyłać, jest u mnie zamków dosyć,
osadzę ją na jednym z nich.

Rozśmiał się Witold szydersko.

— Ja cię znam—wtrącił gwałtownie—osadzisz ją,
potem za nią zatuszujesz, odwiedzisz, przewrotna nie-
wiasta rozplacze się, przebaczysz i weźmiesz napowrót
do Krakowa.

— Nie—zawołał Jagiełło—zdrady jej nigdy nie
daruję! Byłem dla niej dobrym, powolnym, ufałem
jej, nie posądziłem nigdy... nie!! Srogo zawiniła.

— Odeszlesz ją na Litwę — zawołał Witold nale-
gając.—Obstaję przy tem... U was ona ma i mieć
będzie sojuszników, przyjaciół pomocników. Ty sam
za siebie nie możesz ręczyć.

Zadumany jechał jakiś czas Jagiełło, nie zdając
się słuchać nawet Witolda, nagle podniósł głowę
i wejrzał na brata.

— Ale przedewszystkiem — zawołał — trzeba się
o winie przekonać! Cóż to jest? dotąd próżne ga-
danie ludzi, zazdrośników, wrogów. Na kogóż oni
nie rzucają potwarzy? Wszak Gniewosz z Dalewicz
śmiał tę świętą panią moję Jadwigę obwiniać?

Wszak lotry Annę spotwarzali? Tak samo i na Sonkę mogą...

— Nie! nie! — przerwał silnym głosem Witold — ty mnie znasz, ja łatwowierny nie jestem, nie śmiałbym ci pokoju zamącić, gdybym nie był pewnym tego co mówię. Od roku śledzę. Chciałem być przekonanym, wiem imiona, nazwiska, dni niemal kiedy swawole na zamku wyprawiano... Daj mi Szczukowskie, co do nich dopomagały, Kaśkę i Elżę, a ja prawdy resztę dobędę.

Znowu król zdawał się przekonanym i smutnie zwiesił głowę.

— Szczukowskie — rzekł — dobrze... ale jeśli je wezmą, popłoch pójdzie...

— Razem potrzeba komorników uwięzić — dodał Witold.

— Królowa w takim stanie, że podróży odbywać nie może — szepnął Jagiełło. — Ludzie, ludzie...

Witold ruszył ramionami.

— Czyń teraz królową co chcesz — przerwał z goryczą i niecierpliwością, ale gdy zeznają kobiety, że winną jest, naówczas natychmiast ją precz odpraw... Osadzę ją w Krewie, albo w Nowogrodzku, gdzie było wesele, aby oplakiwała winę swoją.

Przebaczysz jej, gorzej cię wyśmieją ludzie. I tak szydzą już, iż królem jesteś ledwie z nazwiska, a szlachta ci pod nosem przywileje szablami rozcina, dasz się jeszcze bezkarnie zwodzić żonie?

Król zamruczał coś niewyraźnie. Zawrócili nazad ku zamkowi.

— Dziękuję ci za przestrożę i pomoc ofiarowaną — odezwał się Jagiełło po namyśle. — Tak lepiej będzie, zdam wszystko na ciebie... czyń co uznasz potrzebnem, ale nie bądź okrutnym.

— Sprawiedliwym być muszę — odparł Witold. — Kto pobłądzi złym, ten jest sam przyczyną złego... Tyś za miękki; dlatego Polacy z tobą czynią co chcą. Na twem miejscu — dodał książę — wiedziałbym jak

sobie poczynać. Rozdałeś ogromne skarby i ziemi przestrzenie na kupienie sobie niewdzięczników, ja bym był mniejszemi pieniędzmi kupił znaczniejszych, aby resztę okiełznać, a przywileje ich, ja bym szablą moją w kawały podarł...

Król głową potrząsał.

— Kupił? tybyś ich kupił? — odparł. — Kupże, spróbuj Zbyszka biskupa? kup Tarnowskiego i Tęczyńskich? Dałbyś im królestwa całe, a nie wzięliby ich za sumienie swe... Ty ich nie znasz! a swobody swoje oni wyżej niż życie cenią...

Na to Witold tylko ruszeniem ramion odpowiedział. Szybszym krokiem powracali ku gródkowi milczący. Pomimo, że król doznane wzruszenie chciał ukryć przed oczyma ludzkiemi, ci co go znali, gdy zsiadał z konia w podwórzu, postrzegli łatwo, że wielkiej doznać musiał przykrości.

Lecz nie było w tem nic nadzwyczajnego. Nigdy prawie spotkanie się z Witoldem nie przynosiło radości Jagielle, znosił zawsze od niego wymówki, walka była nieustająca.

Nikt się nie mógł domyślać o co chodziło, lecz z samotnej przejażdżki, w której nikt im nie towarzyszył, wnoszono, że sprawa ważną być musiała.

Panowie polscy towarzyszący Jagielle, kapelan Jego, pisarz, łowczy, komornicy, spoglądali na pana, który wczoraj jeszcze tak był wesół, z politowaniem.

Przy ludziach nie mogąc mówić więcej o tem Jagiello, zostawiony sam sobie z tajemnicą, która mu ciążyła, naprzemiany to się burzył i zemsty pragnął, to rozważał czy Witoldowi, który już niejedną dał dowód niechęci dla Sonki, zupełną mógł dać wiarę.

Przyrzekł mu w pośpiechu wszystko, zdał się na niego, teraz rozważał, jak to miał dokonać co między niemi umówionem było? Potrzebował oprócz Witolda rady i pomocy czyjejs, a tej napróżno szukał koło siebie...

Sam jechać do Krakowa, aby spełnić wyrok nie mógł. Znał nadto dobrze samego siebie.

Potrzeba było śpiesznie wyprawić zaraz kogoś z rozkazem uwięzienia dwóch kobiet i odesłania ich Witoldowi, a więc zwierzyć się z całej tej sprawy, którą Jagiełło rad był osłonić tajemnicą? komu?

Przez cały dzień szeptali do siebie z Witoldem, a król dręczył się niewypowiedzianie.

Jedną trudnością więcej dodawała ta okoliczność, iż królowa wedle dawniejszej umowy z Jagiełłą mając się spotkać na Rusi, musiała już gdzieś być w drodze ze swym dworem... Król do Krakowa, który mu obrzydł, jechać nie chciał... Lato i jesień miał spędzić w lasach około Przemyśla, a na zimę, jak zwyczajnie, udać się do Litwy. Po całej nocy bezsennych rozmyślań, Jagiełło wstał mniej niż wczoraj pewien jak ma sobie postąpić. Witold zacięty widział już w tem wahaniu się zaród zmiękczenia, na które nie chciał pozwolić.

Gdy weszli razem na rozmowę między drzewa, Jagiełło niemal płaczkliwie domagał się odłożenia całej sprawy, Witold wpadł nań gwałtownie z wyrzutami, iż on sam siebie szanować nie umie...

Przeciwno takim wybuchom Jagiełło siły do oporu nie miał.

— Ja wszystko biorę na siebie—krzyknął w. książę — tyś bezwładny i pozbawiony woli, przyrzeczesz, nie zrobisz nic..

Królowa musi być w drodze ku Przemyślowi, moich ludzi wyśle z twoim rozkazem, aby Szczukowskie przywieźli, a komorników podług imion i nazwisk uwięzić kazali.

Chciał się opierać Jagiełło, mówić mu nie dopuścił Witold.

— Ja z mojami ludźmi milczenia przynajmniej pewien jestem—zawołał—bo wiedzą, że głowy ważą, gdyby śmieli mnie zdradzić, a ty na twoich rachować nie możeszz...

Wymógł zaledwie Jagiełło, iż królowej nie mieli tykać, ani więcej nikogo nad dwie obwinione kobiety zabierać z sobą, gdyż szlachty polskiej, gdyby kto inny oprócz króla porwał się na nią, wszystkie rodyby broniły, póki wina nie zostanie dowiedzioną.

Chociaż Witold śmiał się ze wszystkich zastrzeżeń prawnych, lekce je sobie ważąc, musiał na to przystać, że rozkaz uwięzienia komorników miejscowe władze spełnić miały.

Zaledwie się na to zgodzono i Jagiełło przyzwolił, a Witold swoim ludziom miał wydawać rozkazy, gdy król zawahał się znowu.

Przyszło do gwałtownej pomiędzy braćmi sprzeczki.

Ządał Witold, aby ludzie jego jadący po Szczukowskie, zawieźli królowej rozkaz zawrócenia do Krakowa. Nie chciał, aby się z nią widział Jagiełło, obawiał się tego... On opierał się znowu przyzwalając zaledwie na to, aby królowa tam, gdzie ją znajdą wysłani, zatrzymała się do dalszych rozkazów.

Ksiązę rzucał się i uragał.

— Ty więc zawsze jeszcze łudzisz się tą nadzieją, że ona się okaże niewinną!! A ja ci powiadam, że pewny swego, że tu już tylko dla formy baby na męki weźmiemy... bo ja co wiem to prawdą jest.

Jagiełło nie dał się przekonać i nie ustąpił, do ostatniego kresu doszedłszy, dalej pchnąć się nie dozwalał. Chciał mieć choć cień nadziei... Ostatek pobytu Witolda w Horodle zszedł na coraz burzliwszych scenach między nim a królem. Ksiązę lękając się, aby mu z rąk nie wysliznęła się ofiara, napadał na Jagiełłę, szydził i rozjářzał go... Ten powolny zwyczaj, wreszcie wymówki czynić począł. Zaledwie przy pożegnaniu z sobą złagodnieli nieco, a Witold dał słowo, iż się do woli króla zastosuje.

Po odjeździe księcia smutny i przybity król pozostał jeszcze w Horodle, potrzebując samotności i wypoczynku, lecz endowna ta wiosna, którą się

tak cieszył i nasycił przed kilku dniami, cały teraz urok straciła dla niego. Śpiewów ptactwa nie słyszał, bo w uszach brzmiała mu zdrada, nie widział nic przed sobą, oprócz obrazu tej żony, którą kochał... niewiernej i niewdzięcznej.

Łowczy chciał prowadzić króla na toki gluszców i cietszewi, którym dawniej przysłuchiwać się lubił, Jagiełło odmówił. Było to najgorszym znakiem... wszyscy komornicy posmutnieli. Siedział milczący po dniach całych, niepomrotnie wiele pił wody i mówił sam do siebie.

Przed obcymi nie umiał i nie lubił się wywnętrznić, unikał od nich, ale z poufałymi, którym wierzył, rad był, nawet w najważniejszych sprawach radzić się i roztaczać żale przed nimi.

Tak też drugiego dnia wieczorem, gdy kapelan Mikołaj nadszedł, aby królowi, surowo posty wszystkie zachowującemu, suche dni przypomnieć, Jagiełło zwierzył się z ucisku serca.

— Bogu je potrzeba ofiarować — odparł kapelan.

Jest to wszystkim osłabłym ludziom właściwem, że sami brzemieniowi podolać nie mogąc, radzi się niem dzielić z drugimi. Niepowstrzymał się Jagiełło, charakteru kapłańskiego będąc pewnym, iż tajemnica dochowaną zostanie, by się przed ks. Mikołajem na dolę swę nieposkarżył.

Na pierwszą wzmiankę o tem, co tu Witolda przywiodło i jakie oskarżenie ciążyło na królowej, kapłan ręce załamawszy, począł zaklinać króla, aby zbytnim pośpiechem, uległością gwałtownemu księciu, nie popełnił niesprawiedliwości.

— Miłościwy królu — zawołał — najuboższa niewiasta, chociażby kmiecia żona, gdyby ją obwiniono, miałyby prawo domagać się dowodów. Cóż dopiero gdy o królowę idzie, o matkę twojego następcy? o niewiastę na tron wzniesioną?

Kobiety zastraszone, zagrożone mękami mogą ją niesłusznie, słowy nieopatrzniemi podać w podejrzenie?

Stanie się krzywdą straszna o pomstę do Boga wola-
jąca.

Król wyznał naówczas jakie już wydane zostały rozkazy, z którymi Witold miał swoich urzędników wyprawić. Kapelan nastawać począł, aby zaufanego kogoś Jagiełło wyprawił od siebie, któryby, jeżeli można, Witoldowych uprzedził i czuwał, by się na królowę nie targnęli.

Słowa przekonywające ks. Mikołaja poruszyły króla, zaniepokoiły go, uląkł się, pożałował pośpiechu. Lecz cofnąć się, zapobiedz zdawało zapóźnem, a rozgłaszać zawczasu obawiał się. Chciał Witoldowi ufać i wierzyć, to gniewał się na niego.

W orszaku królewskim szczęściem znajdował się mąż powagi wielkiej, któremu Jagiełło długimi laty nauczył się ufać jako wiernemu urzędnikowi i słudze. Był nim Zbigniew z Brzezia, marszałek, do wielu już posług, poselstw i spraw najważniejszych używany, zawsze w nich szczęśliwy, a urzędem swym i znaczeniem w kraju zajmujący stanowisko, które mu w każdym razie wystąpić dozwalało energicznie.

On jeden mógł być wyprawionym do królowej i czuwać, aby nie popełniono, coby się później naprawić nie dało.

Jagiełło musiał mu się zwierzyć. Nikt lepiej nad Zbigniewa z Brzezia, z urzędu stojącego przy królu, nie znał jego charakteru, stron słabych i dobrych. Przyjazd Witolda, potajemne rozmowy, zmiana usposobienia Jagiełły, który wpadł w smutek i zadumę, dozwalały się już domyślać marszałkowi, iż coś niepomyślnego przyszło z Litwy. Prędzej jednak dorozumiewał się nowych trudności z Krzyżakami, z samym Witoldem, coraz niespokojniej targającym węzły, które Litwę z Polską łączyły, niż takiej zemsty nad królową.

Gdy Jagiełło wezwał go przez swego kapelana do swej sypialni i z gburowatością sobie właściwą opo-

wiedział mu wszystko, marszałek struchlał z trwogi i oburzenia.

— Miłościwy panie, to są niegodziwe potwarze, należało je odeprzeć... nie mamyż my środków do-wiedzenia się prawdy, ludzi wiary godnych, abyśmy się uciekali do Witolda i dawali mu mieszać się do spraw naszych? Około królowej jest siła ludzi za-cnych, jak Nałęcz Małski, ochmistrz jej, mąż godzien wiary i poszanowania... Na co nam tu burzliwy i na-miętny książę litewski?

Trafiłoby to pewnie do przekonania króla, gdyby nie przyszło zapóźno. Jegiełło wstydział się przyznać, iż pośpiechem zgrzeszył, że się dał zakrzyczeć i wyr-wać sobie zezwolenie. Musiał więc bronić się i sam w siebie wmawiać, że królowa była winną.

Począł marszałkowi podawać imiona, powtarzać wszystko co słyszał od brata, tłumaczyć się, że ina-czej postąpić nie mógł.

— Ona jest jego siostrzenicą! onby przecież wła-snej krwi i rodowi nie czynił zakały, gdyby nie był pewnym winy! — zawołał. — Nie pozwoliłem tknąć królowej, dopóki przekonana nie będzie...

Sam z siebie marszałek się zaofiarował natych-miast, nocą i dniem pędzić na szlak wiodący z Kra-kowa na Ruś, dognać królowę i stanąć na straży, aby oprócz skazanych już na wydanie Szczukowskich nikt nie był pokrzywdzony... Komorników wziąć pod straż, gdy była wola królewska, chciał dać kazać dlatego, aby się oczyścić mogli.

Zbigniew z Brzezia, któremu wszystko co się na dworze działo, tajemem nie było, przypomniał królowi iż ludzie co otaczali królową Jadwigę, w ciągłej woj-nie z dworem Sonki, nawzajem wymyślali przeciw sobie jawnie kłamliwe oszczerstwa.

Ztąd więc łatwo doniesienia mogły pójść do Wi-tolda, który niechęć mając do siostrzenicy, więcej im dawał wiary niż należało...

Marszałek zachwiał znów królem, ale razem obu-

dził w nim żal niezmierny, iż się dał Witoldowi ująć i bez porady niczyjej, zdał na niego sprawę.

Tegoż dnia Zbigniew z Brzezia wyruszał w pogoń, z obawą wielką, iż zapóźno przybyć może... a Zbramir łowczy i ulubieniec Jagielly, znający słabość jego i pragnący pocieszyć i rozerwać pana, dopóty mu opiewał piękność lasów i wielość zwierza w nich, aż smutnego skłonił, że psy i konie gotować kazał i sokolników biorąc z sobą, wyruszył z Horodła w puszcze nadbużne...

W myśli może przypuszczał, iż ku swej Rusi ciągnąc dalej, spotka przypadkiem królowę??

Chciał ją choć raz widzieć jeszcze...

IX.

Wesoło ciągnęła Sonka z wyborem dworu swojego na Ruś, gdzie się z królem spotkać miała. Towarzyszyły najulubieńsze sługi i komornicy najzaufansi, ci do których była nawykłą, bo jej duszą i sercem oddani byli. Stara Femka nie opuszczała jej nigdy, bo bez niej się obejść nie mogła. Kasia i Elża Szczukowskie swą wesołością, szczebiotaniem, rozmową, znośzeniem wieści, które jednostajne życie ożywiały, umiały się też stać niezbędnymi.

Komornikom przewodził Hincza z Rogowa, który najpoufalszym i najśmielszym był, a Sonce najmilszym, bo wiedziała, iż wierniejszego nad niego nie miała. Piotr Kurowski, Wawrzyn Zaręba, Jan Kraska, Jaszko z Koniecpola, dwu Szczekocińskich, ci

wszyscy, przeciw którym Strasz skarżył, znajdowali się w królowej orszaku. Z Krakowa do Medyki, gdzie się Sonka z mężem spotkać spodziewała, wiosennymi dniami, powolna podróż była jakby dla zabawy przejażdżką. Stanowniczowie jechali przodem gotując noclegi, szły wozy kuchenne i czeladź za nimi, a gdziekolwiek przybywała pani, witali ją wójtowie, sołtysi, starostowie i zawczasu wszystko tak było przygotowanym, aby jej i dworowi na niczem nie zbywało.

Lud cisnął się, aby widzieć piękną młodą królowę, która naprzemiany konno i na wozie zwolna dążyła do celu podróży...

Przybywając na nocleg już wszędzie znajdowała izby smółką powykadzane, wysłane matami i kobiercami, świeże siano na posłanie i ogień na kuchni, przy którym gotowały się ryby, piekły dostarczane ochotnie zwierzyzna i ptactwo...

W niejednem miasteczku wychodziła starszyczna z gędźbą, z pieczawkami, z gęślami i lirami, pieśnią witając królowę, a w kościołach uderzano w dzwony.

Sonka wstępowała do kaplic, po drodze modliła się ze swym dworem.

Nie było smutnej twarzy koło niej, ani w żadnem sercu przeczucia burzy... Owszem wyrwawszy się z murów i zamknięcia dwór, jakby odżył, cały był w śmiechu i swawoli.

Zrywano po drodze kwitnących czeremch gałęzie i osłaniano niemi wozy. Dziewczęta plotły wianki sobie i swej pani, komornicy wyścigali się, przynosząc najświeższą wodę i najbielsze kołaczki...

Sonka też była godzinami wesołą bardzo i śmiała się z innemi, nie miała żadnego powodu do smutku, a jednak na noclegi przybywając, skarżyła się Femce, że ją czarne myśli ścigały. Sama nie wiedziała z kądem one płynęły... Dziecię zostawiła zdrowem, chowało się na podziw żwawe i rzeźwe, a piękne jak matka.

Femka rozpraszać się starała chmury i napędzała dziewczęta, aby panią zabawiały.

Więc śpiewano wieczorami i prawiono baśni, a często łapano i stare niewiasty, aby wróżyły, i dziecięta, aby wiejskie swe proste zawodziły śpiewy, których królowa słuchała rada.

We dnie około wozów jadący komornicy nigdy wytrwać nie mogli spokojni, wyścigali się na popis, biegali, podrzucali oszczepy i obuszki, łapiąc je w powietrzu, ucierali się z sobą, wesołe wyprawiając turnieje.

Nie postrzeżono się tak, gdy cel podróży, Medyka była już bardzo blisko. W starym wielkim dworze tamtejszym, dobrze znanym królowi i Sonce, otoczonym szopami i zabudowaniami na oba dwory miejsca było dosyć. Rozbijano też dla pośredniejszej czeladzi namioty, gdy było potrzeba. Król w lasach tutejszych zwierza pełnych różnego, nie tylko polować lubił, ale po nich się uganiać i tej ciszy pustynnej wśród drzew zażywać, która mu nad ludzi towarzystwo miłszą była.

Nazajutrz stanąć już miała Sonka w Medyce. Nocleg przypadał w wiosce, która dworu nie miała, tylko wielką gospodę, a z tej wyrzucono dla królowej co żyło i parę chat sąsiednich przygotowano także dla dworu. Burza po południu trochę wstrzymała podróżnych, bo się przed ulewą schronić było potrzeba, na nocleg więc już po nocy dociągnęli. Troskliwi stanowniczowie parę beczek smolnych na targowicy przed gospodą zapalili, aby weselej królowej było. Z okrzykami i śmiechy dwór stanął i rozgaszczać się począł.

Hincza, który wszędzie rej wodził, pierwszy skoczył gospodę opatrzyć, nie wydała mu się piękną, lecz innej nie było.

Stoły już znaleźli pozastawiane i zapach pieczonych mięs ich dolatywał, Hincza zabierał się i tu marszałkować, gdy do konia swego wybiegłszy, bo szlachcic o nim zawsze musiał jak o sobie pamiętać, usłyszał z boku sykaunie.

Odwrócił się, lecz wśród ciemności nikogo widać nie było. Sądził, że ono nie do niego się stosuje i konia popuściwszy popręg, miał prowadzić do żłobu, gdy syk ów natrętny bliżej jeszcze dał mu się słyszeć, a przy nim jakby imię jego, głosem znajomym, choć na razie do rozpoznania trudnym, wymówione żywo.

Sądził, że który z towarzyszków sobie igraszkę z niego czyni, gdy z ciemności wynurzyła się twarz i ręka, która mu znaki dawała.

Nie mógł poznać kto był, lecz wiedział, że nikt z towarzyszków podróży. Konia więc dając jednemu ze swoich, skoczył w tę stronę z kąd go dochodziło sykanie.

Z za zrębu gospody ręka znowu dała mu znak, wpadł więc między dwie ściany, w ciemny kąt, i nie wiedział co dalej miał począć, gdy go ktoś ujął za rękę i w głąb tego zaułka pociągnął.

Hincza sam już nie wiedział co się z nim działo. Od ulicy i smolnych beczek jedna ze ścian słabym była oświecona odblaskiem, więc, żywy a niecierpliw, tego, który go prowadził chwyciwszy ku światłu, zajrzał mu w oczy i krzyknął.

— Kormaniec!! a ty tu z kąd?

— Tst! tst! — odparł dyszący niespokojnie człek i oglądając się do koła, jeszcze dalej w głąb po śmieciach i brudach go prowadził.

Hinczę niewiedzieć czego strach jakiś ogarnął.

— Stój bo — rzekł — mów, z kądeś się tu wziął? czego chcesz?

Kormaniec ten uależał do gońców królewskich (kursorów), których nieraz z pismami wyprawiano, a był Hinczy dobrze znany z tego, że mu on życie ocalił, gdy go w Krakowie, zasadziwszy się nań, zbóje opadli, na drosz łakomi. Kormaniec, poczciwy człek, przywiązał się do Hinczy potem tak, iż mu niemal jak pies służył. A był Rusin, ale spolać, dobrego serca, prostoty wielkiej i choć wydawał się

jakby czterech zliczyć nie umiał, chłopski rozum miał wielki.

Zjawienie się Kormańca nie byłoby dziwnem, gdyby nie to, że się tak sobą taił. Na gońcu, chociaż silnym i nawykłym do podróży a wytrzymałym, wiadać było znużenie niezmierne.

Wyprowadziwszy zaułkiem Hinczę za gospodę, nie mówiąc nic, nie odpowiedziawszy na zapytanie, Rusin na kawałku pustym pod płotem pokazał mu tylko leżącą szkapę, ze łbem zadartym, z bokami wciągniętymi, która przed chwilą może padła, aby już nie powstać.

W prosty ten sposób Kormaniec powiedział Hinczy, iż tak pędził śpieszno, aż mu koń się tu pod płotem wyciągnął.

— Sława Bogu — rzekł tchnąwszy — iż choć nie darmo.

Hincza patrzył zdziwiony.

— Król cię posłał?

Kormaniec głową potrząsnął i uderzył się w piersi dłonią szeroką.

— Ja się sam posłałem — zawołał — aby wam, a może jeszcze komu życie ocalić.

Zbladł Hincza i słowa nie mógł przemówić.

— Wy mnie z rąk zbójom wyrwali — dodał Rusin — Bóg dał, że się wypłacę.

Ciężko mu mówić było, ocierał pot z czoła i stękał.

— Słuchajta — dodał. — Król w Horodle z wielkim księciem Witoldem się zjechał. Poszli z sobą gadać, aby ich ludzie nie podsłuchali, między drzewa co za Gródkiem nad wodą stoją, a ja tam leżałem w krzakach... Siedli o trzy kroki odemnie, a gdy mówić z sobą zaczęli, już mi się ruszać nie było można. Witoldby ubił... Musiałem leżeć jak trup i śpiącym się uczyścić.

Kormaniec zatrzymał się trochę.

— A wiecie co mówili z sobą? — dodał — że

królowa pana naszego z wami zdradza, że was wszystkich trzeba do ciemnicy i pod miecz dać. Panny co są przy królowej, Witold posłał zabierać, aby je na męki brać. Was, Wawrzyna, Jaszka, Piotrasza, Dobka, Jasia, król kazał wnet uwięzić, a sierdził się i odgrażał gardłem.

We mnie słuchając tchu nie stało i ledwie doleżał, a gdy potem przyszło wstawać, jakby połamane kości wszystkie czuł w sobie... Nie pytaj jakem siadł i zbiegł i jak powrócę, nikomu nie mów, nic, siebie ratuj!! Konia wyprowadź i uchodź.

Stał słuchając Hincza, oniemiały z zadziwienia i strachu.

Los biednego człowieka nie obchodził go wcale, o własnym nawet zapomniał, na oczach mu stanęła nieszczęśliwa królowa.

Co miał począć? Ona uchodzić nie mogła, jej oznajmić nawet o niebezpieczeństwie nie było podobna... Popłoch rzucić zawczasu między kobiety, kto wie czy się godziło i przydało na co?

Siebie i towarzyszków swych niewinnymi znał, ale co tu miała pomódz niewinność, gdy groziły męki i pytki? Hincza wiedział i widział, jak w sądach prawdy się dowiadywano. Ciarki po nim przeszły.

Uciekać? to znaczyło podać się w winy podejrzenie, lecz na pierwszy ogień się nastęrczyć? Hincza spart się o płot, oczy w ziemię wlepił i choć Kormaniec pociągnął za rękaw powtarzając swoje.

— Uchodź, pókiś cały... uchodź — tak mu się w głowie zamąciło, iż nie wiedział sam, co z sobą, co z drugimi poczynać.

Wszystkim ujść?? znaczyło i królowę nastraszyć i sobie ucieczkę utrudnić... Zostawić na łup towarzyszków, cześć i sumienie nie dozwalało...

— Bóg świadek — zawołał — to potwarz, to kłam bezczelny... Królowa niewinna, my czyści.

— Ale gniew króla i Witolda! — przerwał Kor-

maniec — pytać nie będą... dacie gardło... głodem zmorzą... Uchodź...

— Wszystkich nas obwiniał księżę? — zapytał Hincza.

— Słyszałem wasze imię pierwsze... Jaszka z Konicpola i Piotrasza z Dobkiem... Mówił i o innych, ale na was i na nich najwięcej nastawał... że panny po nocach drzwi pilnowały.

— To ten łotr Strasz zemścił się na nas, zdrajca niepoczciwy! — krzyknął Hincza. — Na nas, niechby się mścił, pies ten wściekły, ale królowej nie darował.

Kormaniec zamruczał.

— Królowę Witold chce zabrać na Litwę.

Obie ręce ścisnęły się Hinczy, porwał się potem za włosy, rozpaczając kręcąc w koło jak obłąkany, a Rusin za rękawy go chwycił i jedno prawił.

— Uchodź! Ono Litwinów nie widać.

— Sam jeden nie mogę — krzyknął wyrывая mu się Hincza — albo zginę z drugimi, lub choć tych, na których srożej się odgrają, ocala.

— Posunął się już parę kroków, a potem jakby coś sobie przypomniał, zwrócił się, Kormaniec pochwycił za szyję i całując, zawołał.

— Bóg ci to zapłaci!

— Uciekajże — powtórzył Rusin — bo ja przeпадnę i wy się nie uratujecie... Gdy zatętni na gościńcu, nie pora będzie... Ino ich nie widać, Litwinów.

Hincza oprzytomniawszy skoczył zaułkiem do gospody, z której, jak na przekorę śmiechy kobiet i głośne żarty komorników dochodziły go. Serce mu się ścisnęło jakby pęknąć miało... Jak tu było rzucić pośród to wesele, takim piorunem?

Stał w rogu gospody, odpadła go odwaga, w głowie się splątało. Kormaniec, który biegł za nim, mruzczał głosem drżącym.

— Bierz konia i uchodź.

Z za ściany słyszał wesoły głos królowej, która gromiła swawolę dziewcząt i Wawrzyna, który się ze śmiechu dusił, a z szerokich sieni dolatywały żarty czeladzi i śpiewki dziewcząt służebnych, z którymi się gziłi.

Niepewien siebie, na pół nieprzytomny, Hincza skoczył naprzód do konia i stajennemu krzyknął.

— Nie zdejmuj siodła, ja jadę zaraz!

Potem wpadł blady do pierwszej izby, w której nie było nikogo, oprócz Janka z Koniecpola i dwu Szczekocińskich. Ci spojrzawszy na niego, z twarzy mu przeczytali nieszczęście jakieś, wchodząc jak pijany, potknął się na progu.

Wesołym towarzyszom, którzy w Hinczy jakby wodza swego widzieli, śmiech zamarł na ustach. Domysłali się, że porywczy zawsze, musiał się zadrzeć o coś z wójtem albo sołtysem i może go ubił... Nic innego przypuścić nie mogli.

— Coś ty zrobił? — zawołał przyskakując Jaszko z Koniecpola.

Odurzony Hincza, jeszcze pod naciskiem tego co mu Kormaniec powiedział, krzyknął głośno:

— Jam niewinny! Bóg mnie skarz! jam niewinny!!

Wszyscy go obstąpili; on postrzegł się, że wygadał się i zdradził. Zdawało mu się, że może najłepszem było pójść o wszystkim oznajmić królowej... ale, nuż Kormaniec się przesłyszał? po co ją było straszyć? Jakie jej mogło grozić niebezpieczeństwo? Hincza jednego się lękał, aby w pierwszym popędzie gniewu, ich, jako mniemanych winowajców nie pozamęczano.

Zamiast więc iść dalej, zwrócił się do progu nadzad, dając znak Jaszкови i towarzyszom, aby szli za nim. Wszyscy razem wybiegli do sieni. Hincza nie nie mówiąc prowadził ich do szopy, w której konie stały.

Sam zaraz przystąpił do swojego wierzchowca,

okiełznał go, popręgi podciągnął i wyprowadził od żłobu.

— Co się to ma znaczyć? — zawołał Jaszko z Koniecpola. — Mów.

— Co? — rzekł półgłosem Hincza — oto że i wy powinniście konie brać i zemną w świat ruszyć, nie chcąc aby was na męki brano.

Zbliżył się do Jaszka.

— Królowę Witold oskarżył, że niewierną się stała, a nas, że my jesteśmy ulubieńcami królowej. Już za nami gonia, aby nas do więzienia rzucić...

Oślupieli słuchający. Dwaj Szczekocińscy, chłopcy pieszczone i choć im na mężtwieby nie zbywało do boju, trwożące się ciemnicą, kaźnią i sądem, porwali się nie pytając więcej do swych koni.

Jaszko z Koniecpola stał uszom nie wierząc.

— Oszalałeś? zkądże ci to? — zapytał.

— Nie pytaj! — ofuknął Hincza, który już strzeżenia szukał po ciemku, i zabierał się konia dosiadać. — Chcesz wierzyć, dobrze... nie, to nie. Miłe ci życie i zdrowie, uciekaj... wolisz się zdać na łaskę siepaczy, wola twoja. Ja bodaj na Węgry, do Czech, do diabła ujdę, aby mi stawów nie wyciągano. Królowa okaże swą niewinność, naówczas będę-li żyw, powrócę.

To mówiąc i nie mając już ochoty do rozprawiania, Hincza siodła dopadłszy, konia ściągnął batem, i tylnymi drzwiami z gospody się wydobył. Stał chwilę oszołomiony, nie wiedząc w którą jechać stronę, aby nie wpaść na ludzi Witoldowych i po krótkim wahaniu na konia się zdawszy, choć ten nazad do gospody zawracał, na wieś wyjechał, a pierwszą ścieżyną, jaką napadł, puścił się w lasy.

Jaszko z Koniecpola jeszcze myślał czy uchodzić czy zostać, gdy oba Szczekocińscy już konie swe wyprowadziwszy, tą samą drogą co Hincza, na tyły znikli.

Naostatek oprzytomniał i ostatni z nich, westchnął.

Co miał robić? poszedł po swoją szkapę smutny i nie śpiesząc do zbytku, zakrzętał się około siodła.

W tejże chwili usłyszał w rynku tentent koni i krzyki głośne, dopytywania o gospodę królowej.

Po mowie rusińskiej domyśliwszy się ludzi Witoldowych, Jaszko konia już wprost za grzywę pochwyciwszy, co prędzej z nieokiełznanym, wybiegł precz...

W gospodzie panowała jeszcze wesołość, i dziewczęta królowej, posłyszawszy wrzawę na targowicy, powychylały się z okien, śmiejąc się, a nie domniemywając wcale, aby im jakie niebezpieczeństwo grozić mogło, gdy już ludzie litewscy dokoła poczęli otaczać dom cały.

Reszta komorników i służby królowej wybiegła patrzeć co się tam takiego stało, a tuż straż Witoldowa, kogo tylko zoczyła natychmiast chwycić zaczęła. Wszyscy prawie byli bezbronni, nikomu na myśl nie przyszło, żeby się napaści jakiej trzeba opierać było.

Królowę, która tylko co siadła aby spocząć, obudził krzyk... Postrzegła, że cały jej mężki dwór już był w sieniach, a tam z krzykiem i borykaniem się sługi jej wiązano.

Dziewczęta sądząc, że to napad tatarski, biegły przerażone.

Jedna Femka śmielsza, rzuciła się przeciwko napastnikom i poznała w nich sługi Witolda, a na czele Siemiona Horbuna Połoczanina, którego знаła dobrze.

Nie mogła pojąć ani co oni tu robili, ani zkad się wzięli. Z załamanemi rękami wpadła na Rusina...

— Siemion! — krzyknęła — coś ty do rozbójników przystał... To gospoda królowej...

Spojrzał na nią z góry Rusin, i ręką wskazał aby precz szła, ale Femka nie ustępowała.

— Siemion, królowal

— A co mnie wasza królowa — odparł sługa Witoldów — milcz, stara wiedźmo... Gdzie dziewczki wasze!

Femka nie mogąc już mówić, patrzała jak Wawrzyna Zarebę, Pietrasza Kurowskiego, Krasę wiążano, a krzyczano, dopominając się Hinczy...

Siemion potem jak stał zbrojny, wpadł zuchwale do izb królowej, szukając Kaśki i Elży, o które się dopominał głośno.

Słyszając imiona swe wykrzykiwane, wbiegły z płaczem tuląc się pod skrzydła królowej, która blada od gniewu wystąpiła naprzeciwko Siemiona. Napad ten był dla niej niezrozumiały.

— Co to ma znaczyć? — zawołała z powagą królewską — jak śmiesz gwałt taki czynić pod moim bokiem?

Słów jej nie stawało. Siemion wyprostowany stał przed nią, nawet się nie pokłoniwszy.

— Rozkaz mam króla Jagielly i pana mego wielkiego kniazia, abym komorników waszych i dwie dziewczki Szczukowskie uwięził.

Silą, mocą a wziąć je muszę!

Rozdzierające krzyki dały się się słyszeć z drugiej izby... Sonka drżąca, nieporuszona, blada, szukała oczyma Femki, dworu swojego rozproszonego... Nikogo nie było. Z sieni tylko dochodziły wrzaski, wśród których rozpoznawała głosy Wawrzyna, Pietrasza, Kraski, krępowanych i mordowanych przez Litwinów.

Użycie tych ludzi naprowadzało ją na myśl, że Witold był sprawcą tego i że na nią wymierzoną została ta napaść.

Z dumą pańską spojrzała na Siemiona szydersko.

— Zapewne i mnie przyszedłeś wziąć w niewolę — zawołała — no, to zabieraj i mnie z niemi.

Siemion potrząsnął głową.

— Szczukowskie mnie wydajcie — dodał. — Komorników kazano mi oddać do więzienia i pod straż.

Rozmowa dłuższa z siepaczem, zdała się królowej ubliżająca, choć drżała z oburzenia i gniewu, choć płacz ją dusił, zwróciła się z pogardą do drugiej izby nie mówiąc słowa i dopiero w progu krzyknęła na Femkę...

Tymczasem Kaśka i Elża widząc, że ich bronić niema komu, spłoszone, nieprzytomne pobiegły do okna i skoczyły niem na podwórze. Tu ludzie Siemiona je porwali.

Wszystko to odbyło się tak gwałtownie i szybko, że we wsi, w której był kościół, parafia i ludność znaczna, w początku wieśniacy ulekli się tatarów... Po chwili dopiero opamiętali się, że garść była nieznaczna, a wybiegający ksiądz dowiedział się, iż poczet ten z rozkazu króla był wysłany. Lud gromadził się ciekawy, wieści obiegały nedorzeczne, trwoga szerzyła się nie do opisania.

Królowa osłabiona padła na posłanie, trzymając Femkę za rękę i płakać zaczęła rzewnie, zanosząc się, jęcząc.

Litwini tymczasem jeńcom nakazawszy milczenie, trwali jeszcze przy gospodzie stojąc i szukając po kątach tych, których im nie dostawało. Cisza dziwna, groźna jakaś nastąpiła, przerywana płaczem kobiet... Noc zapadła od dawna była... a ku wschodowi blady brzask zorzy porannej już się zaczynał ukazywać, gdy na tej samej drodze, którą nadciągnęli Litwini... tentent koni się dał słyszeć głuchy i daleki naprzód, potem coraz wyraźniejszy... Oddział jakiś nadbiegał znowu. Siemion, który na czatach stał, obawiając się napaści wnet na swoich krzyknął...

Wprędce w ulicy ukazało się kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt koni, ludzie zbrojni, rycerstwo polskie, dwór jakiś pański. Był to nadbiegający Zbigniew z Brzezia, marszałek, który przed gospodą z konia zsiadłszy, natychmiast Siemiona powołał groźnie do siebie...

Litwin widział go przy królu i nie mógł wątpić, że od niego przybywał.

Marszałek zapytał o sprawę całą, szorstkiem i krótkiem słowem i kazał sobie zdać komorników królowej. Dwie Szczukowskie nie mówiąc nic, zostawił w ręku Siemiona i kazał mu się samemu z oddziałem wynosić ztąd...

Ani się śmiał opierać Połoczania. Związanych komorników gdy prowadzono, Zbigniew zapytał o tych, których niedostawało, lękając się, aby ich osobno nie wiano, ale czeladź świadczyła, że ich nie ujęto. Femka, która czuwała nad królową, pierwsza postrzegła przybycie Polaków i dała o niem znać pani.

Marszałek też sam powoli, dopytawszy o królowę, ociągając szedł do niej, kosztowało go to wiele być zwiastunem złej wieści, lecz mógł też być dobrą radą uciśnionej. Gdy wszedł pocichu na próg izby pustej, w której nietknięty stół do wieczerzy był przygotowany, a spostrzegł w drugiej komorze słabe światełko, boleśnie go dotknął los kobiety...

Szedł zwolna... Femka usłyszała kroki i wyszła naprzeciw niego.

Pokłoniła mu się do kolan z płaczem.

— O panie! panie! ratuj nas! ratuj!

Królowa tego nie przeżyje...

Szepecząc coś niewyraźnie prowadziła go do niej. Leżała nie rozdziawszy się, w sukniach podróżnych, blada i zmieniona do niepoznania, piękna Sonka... Napróżno ocierała łzy i tłumila jęki, srogi żal nie dawał jej spoczynku.

Wyciągnęła rękę do nadechodzącego... Marszałek stał przed nią pokorny, przemówić nie śmiejąc.

Mileczenie jego tłumaczyła przytomność Femki, królowa kazała się jej oddalić i powoli z łoża się podniosła. Z rękami załamanymi zbliżyła się do marszałka.

— O! ja nieszczęśliwa! — zawołała łkając — na to mi on dał koronę... na to, aby mnie okryć sromotą...

I nikt, nikt nie przyjdzie mi na ratunek! Zaprzysiągł się zgubić mnie Witold...

O! niechbym umarła wprzód...

Zbigniew z Brzezia przerwał.

— Miłościwa pani — odparł — nie umierać trzeba, ale żyć, aby tę potwarz zynić. My wszyscy stanemy w waszej obronie. Ochmistrz wasz Małski, poważniejsi ludzie, żony nasze...

Król jest łatwowierny... Wielki książę mściwy...

Słyszając to, nieco śmielej podniosła głowę zboląłą królowa.

— Zabrali mi dwie najulubieńsze sługi... Komornicy wszyscy...

— Książę Witold domagał się gwałtownie tych dwu dziewczek—rzekł marszałek—komorników nie dałiśmy, uwięzieni są, ale i ci się oczyścić mogą.

Stojąc rzucała głową rozpaczliwie królowa.

— Na matkę swych dzieci, na żonę, rzucić taką potwarz dozwolić, uwierzyć słowu mściwemu...

Cóż się ze mną stanie... Macież wy rozkaz mnie uwięzić? dokąd zaprowadzicie?

— Ja nie mam żadnego rozkazu — rzekł marszałek — woła jest króla tylko, abyś miłość wasza, nie czekając na niego na Rusi, udała się z powrotem do Krakowa.

Królowa, już nieco ochłonawszy, zadumała się.

Ratujcie wy mnie—rzekła—pomóżcie mi. Ja nie wiem o co mnie obwiniono, ale się domyślam łatwo. Niechże z ust męża wiem, jakie ma dowody winy, niech mnie skazanej bez sądu da się wytłumaczyć przed sobą. On jeden sędziom moim być może. Ja się z nim widzieć muszę... ja nie pojedę ztąd, chyba mnie weźmiecie gwałtem, jam chora... Jam srodze dotknięta i obrażona... ja potrzebuję sprawiedliwości.

Mówiła i łkała ręce łamiąc, a Marszałek stał i wzdychał.

— Miłościwa pani—odezwał się w końcu—choćbym się miał królowi narazić, nie będę naglił o wy-

jazd do Krakowa. Jutro zajedziemy do Medyki... Król tam nadciągnąć musi.

Żywo podeszła Sonka ku niemu i podała mu ręce obie. Skłonił się marszałek... Łzy jej osuszyło oburzenie, które zastąpiło pierwszy wybuch bólesci. Poczęła mówić podnosząc głos z powagą.

— Mógłże on, mógłże ktokolwiek uwierzyć w tę potwarz niegodziwą? Cały świat patrzył na moje życie... Nie kryłam nic, bom nic do ukrywania nie miała. Jam niewinna, a żem się czuła taką, nie dbałam o pozory. O co mnie obwinić mogą? A Jagiełło... uwierzył...

— Witold go zmógł, przymusił — rzekł marszałek.

— I on wiecznie mu poddanym będzie, nigdy panem u siebie? nawet w domu? w sypialni nawet?.. — zawołała Sonka.

Marszałek nie chciał jej dać dłużej rozbolewać skargami, wstrzymał uspakajając, prosząc, ciesząc, zapewniając, że za nią ujmą się ludzie i królowi nie dopuszczą samego siebie okryć sromem.

Dniało już, gdy Zbigniew z Brzezia wyszedł smutny od królowej, którą Femka zmusiła pójść na spoczynek. Lecz trwał on krótko, Sonka nie chciała dłużej bawić w miejscu, gdzie ją spotykało nieszczęście takie, i domagała się, aby natychmiast jechać do Medyki.

Litościwy i wyrozumiały marszałek zastosował się do jej woli. Zmniejszony dwór połączył się z pocztą Zbigniewa i w milczeniu ruszył ku Medyce.

Królowa przybywszy tu, powtórzyła marszałkowi, że dopóty tu mieszkać będzie, dopóki się z królem nie zobaczy. Jagiełło miał wkrótce nadciągnąć, lecz można było przewidzieć, iż zechce spotkania z żoną uniknąć i od Medyki, dowiedziawszy się o niej zawrócić.

Radził więc marszałek, aby raczej szukać Jagiełły gdzieindziej. Królowa zgodzić się na to nie chciała.

Dano wreszcie wiedzieć, że król przybywa. Marszałek zmuszonym był wyjechać na jego spotkanie.

Zostawiony sam sobie Jagiełło przez ten czas cały, dręczył się tem co czynił i tem co dalej pozostawało do czynienia. Potrzebował rady, której nikt mu dać nie mógł.

Sumienie go gryzło i jak wielu słabych ludzi, uspokajając je, chcąc się w oczach własnych uczynić niewinnym, wmawiał w siebie, iż Sonka była winną, że jeszcze za łagodnym się okazał.

Wyobraźnia powiększała mu winę, czyniła ją dowiedzioną, nieulegającą wątpliwości.

Gdy marszałek w lasach o mil kilka od Medyki dopędził nareszcie Jagiełłę na noclegu pod namiotem, wśród dzikiego ostępu, z niewielką liczbą łowczych, przeraził się jego zmienioną, zdziczałą niemal twarzą, do której dobrodusznego uśmiechu był nawykłym.

Król przyjął go zimno, trwożnie przewidując nie miłą rozprawę o królowej, której samo imię wprawiło go w gniewy szalone. Zbigniew chciał uniknąć wszelkiego tłumaczenia przy świadkach. Zbyszek, biskup krakowski, nauczył ich wszystkich śmiało postępować z Jagiełłą i prawdy mu nie ukrywać. Król niejedną raz bywał tak na biskupa zagniewanym, że go na oczy sobie dopuszczać nie pozwalał, a nawet odgrązał się śmiercią karać, później jednak przychodziło ostygnięcie, rozważa, skrucha, bardzo często Jagiełło sam przeproszał i przebaczenia się domagał.

Tak samo i Zbigniew z Brzezia przygotowanym był króla do opamiętania się skłonić i choćby na gniew narazić, stanąć w obronie królowej.

Z twarzy jego mógł wyczytać Jagiełło, że mu potakiwać nie będzie i nie pochwali tego co się stało.

Rozpoczął marszałek od sprawozdania swego posłannictwa, w niem już dając czuć, jak było nie sprawiedliwem oddać na łup Witoldowym gniewom sługi królowej, uwięzić komorników, uczynić wrzawę i roz-

głos, gdy wina była niedowiedziona i nieprawdopodobna.

Jagiello porwał się tłumaczyć i gwałtownie natarwać. Nie ustąpił marszałek.

— Królowa jest w Medyce — rzekł — i nie ruszy się do Krakowa, dopóki nie zobaczy z miłością waszą.

— Ja jej widzieć nie chcę! — zawołał Jagiello.

— Gwałtem się wywieźć nie da — odparł Zbigniew — a ma słuszość, miłościwy królu. Winnicie ją wysłuchać. Możesz to być, aby oskarżonej tłumaczyć się nie było wolno? Witold stał się jej nieprzyjacielem dlatego, że mu w jego zamiarach dopomagać nie chciała. On tę potwarz ułożył i przysposobił.

Wtem król przerwał gniewnie:

— Nie chcę jej widzieć, słuchać nie chcę! Winną jest... winną... nie mówcie za nią.

— Miłościwy królu, ja nie za nią, ale za wami mówię — odezwał się Zbigniew. — Mam to przekonanie najmocniejsze, iż jest niewinną i niepoczciwie oskarżowaną. Nietylko ja, ale wszyscy urzędnicy dworu stać będą przy królowej, poświadczą za nią.

Przez krótką chwilę Jagiello dumiał, ale gniew wziął górę.

— Nie mówcie nic przeciw Witoldowi — zawołał — orle on oko ma, wzrok jego lepiej widzi niż moje stare żrenice, bystrzejszy on odemnie i od was.

— Co znaczy świadectwo nieprzyjaciela! — rzekł marszałek.

Król począł się burzyć i rzucać.

— Nie wmawiajcie mi co mam czynić... próżno! Nie chcę jej znać, żyć z nią nie chcę... kto mi ją dał, nazad niech bierze sobie, siostrzenicą jego jest...

Marszałek spojrzał tak śmiało i z takim wyrzutem na króla, że gniew jego uśmierzył się przed potęgą tego pogodnego wzroku.

Zamilkł i stał patrząc długo w ziemię.

— Niech się to raz skończy — zawołał. — Pojadę do Medyki... niech powie co ma na swą obronę, ale nie będę jej wierzył, bo nie mogę.

Uderzył się w pierś.

— Zdrada jej, życie mi skróci... W grób mnie zapędzi ta kobieta... Co rychlej chcę się zbyć tego ciężaru. Nie... nie do Krakowa... odeślę ją na Litwę Witoldowi, abym więcej nie widział i nie spotykał.

Marszałek wołał nie jątrzyć go oporem dłuższym, wymógłszy to, że do Medyki pojedzie. Spodziewał się, że widzenie z Sonką, wszystko może zmienić na lepsze.

Zgodziwszy się król na ostatnie to spotkanie z żoną, chciał jaknajprędzej uwolnić się od niego. Nakazano zwijać namioty, sposobić konie, i ruszać wprost do Medyki.

W drodze dowiedział się król z nowem oburzeniem, które gniew ciągle jeszcze nieuchodzony powiększyło, że z komorników Sonki, ten właśnie, do którego on żal miał największy, zdrajca Hincza z Rogowa, uszedł ze trzema innemi.

Chociaż orszak myśliwski króla nie był liczny, wysłano z niego człowieka z rozkazami, aby na wszystkie strony zbiegłych ścigać.

W oczach Jagielly właśnie ucieczka ich była największym dowodem, że się poczuwali do zdrady. Groził im śmiercią, gdyby się w ręce jego dostali! W takim usposobieniu, gniewny i strwożony Jagiello przybył do Medyki...

X.

Zaledwie z konia zsiadłszy, nie chcąc zająć na spoczynek do izb dla siebie przygotowanych, stary król z pośpiechem, jakby mu ta ostateczna rozprawa ciążyła, wpadł wprost do komnaty królowej.

Sonka zawiadomiona czekała na niego, odziała się czarno, bez najmniejszej ozdoby stroju, jakby żalobnie, a na bladej twarzy jej, słabością samą zmienionej, malowało się więcej dumy obrażonej, niż trwogi i bólu.

Zdawała się przygotowaną na wszystko, co ją spotkać miało. Gotową była stanąć przed nim nie jak winowajca przed sędzią, ale jak pokrzywdzony, domagający się sprawiedliwości.

Miała czas przeboleć i odzyskać siły. Gdy Jagiello pędem wchodzący do komnaty zobaczył ją tak nieugiętą, zimną i wcale nie myślącą go prosić o miłosierdzie i przebaczenie, jak się spodziewał, jeszcze większy go gniew ogarnął.

Zabelkotał coś niewyraźnie, jak był zwykł, gdy się wzruszonym czuł mocno. Królowa postąpiła kroków kilka.

— Chcesz mnie bałamucić jeszcze? — krzyknął.
— Ja wiem wszystko! nie chcę cię słuchać, wracaj ządł przybyłaś...

Splątał się mówiąc pośpiesznie. Sonka stała na pozór spokojna.

— Ani się myślę bronić — zawołała nareszcie — znajduję się ludzie co mnie obronią. Nie poniżę się do tego stopnia, abym prosiła o litość i tłumaczyła się, gdy jestem niewinna. Są ludzie wiary godni, poważni, którzy mnie przeciw niepoczciwej zemście Wiktolda, a twojej łatwowierności obronią... Nie jestem

pierwsza, którą ta potwarz spotyka... Los Jadwigi i Anny nie mógł mnie minąć... Spodziewałam się tego. Odgrażał się Witold dawno.

Król ciągle poruszony i zmięszany, zdawał się tych słów nie słyszeć, miotał się gniewny ciągle.

— Jedź, jedź się z nim rozpraw na Litwę... Wstyd mi i srom uczyniłaś...

— Tyś go sam rzucił na siebie — przerwała królowa — ty! ty! ty! Winowajcą jest twoja dziecinna łatwowierność, nie ja. Śmiało ci w oczy patrzę... śmiało mówię!

Przekonasz się o niewinności mojej, ale ja krzywdy mej, krzywdy mojego dziecka... nigdy ci nie przebaczę.

Jagiello rzucił się z szalonym gniewem.

— Milczeć—krzyknął. — Wezmą na męki twoje pomocnice, twoich ulubieńców, wyda się zdrada. Wiem ja, że wam kobietom nieporozumieniu, słów i lez nigdy nie brak. Znam was... wszystkieście takiel

Począł się przechadzać po izbie.

— Nie miałaś litości nad mojemu siwymi włosami i ja jej mieć nie będę. Precz... na Litwę.

Królowa słowa już wtrącić nie mogła, cofnęła się kilka kroków i stała z założonemi na piersiach rękami, jak posąg błądy, nieporuszona.

Ten spokój jej i duma króla zdawały się jątrzyć... wyzywały go.

Milczenie pogardliwe, wejrzenie zimne, napępiały go trwogą jakąś zabobonna, obawiał się podnieść oczów.

— Nie chcę słyszeć nic. Jutro niech cię odprowadzą na Litwę.

To mówiąc, skierował się ku drzwiom. Zwrócił głowę jakby się spodziewał, że groźbą tą zastraszy i zmusi ją do pokory. Sonka nie drgnęła nawet; tłumiała w sobie bóle, lecz już była na wszystko przygotowaną, nawet na śmierć.

Krokiem pośpiesznym, nie umiejąc znaleźć drogi,

dobijając się do pierwszych drzwi, jakie mu się nastręczyły, Jagiełło, którego Zbramir nadbiegłszy odprowadził do izby jego, wpadł do niej jak obłąkany, dysząc, zrzucił z siebie zwierzechną suknię, kołpak i padł na ławę. Nie krył się już przed ludźmi. Marszałek, który na niego oczekiwał, widząc to, dwór natychmiast odprawił i sam tylko pozostał. Czekał na rozmowę z królem, spodziewając się go uspokoić i skłonić do przejednania, lecz stary głowę zanurzywszy w dłonie, siedział nie mówiąc słowa.

Zawołał o wodę, którą mu przyniesiono, rzucił oczyma po izbie. Spostrzegł Zbigniewa i jakby zawstydzony oczy spuścił.

Gniew i poruszenie złamały go, zaczynał się czuć bezsilnym, bezmyślnym, a duma i śmiałość Sonki odezwały się w sumieniu. Lecz przez tę sprzeczność jakąś, która w słabych charakterach często się spotyka, ustąpić nie chciał.

Czuł, że wszyscy i Witold i ona obwiniali go o tę słabość, którą sam znał najlepiej do siebie, dlatego się chciał okazać upartym, mocnym, niezłomnym, nawet okrutnym, byle nie być obwinionym o zbytnią dobroć i powolność.

Wyszydziłby go Witold jako łatwowiernego, zgrzybiałego starca. To go oburzało.

Marszałek stał nie rozpoczynając rozmowy. Jagiełło kazał zawołać Zbramira, aby rozporządzić zwierzyną, wydać rozkazy do łowów i nie zwracając się do Zbigniewa, dodał, aby nazajutrz konie gotowano dla królowej.

Mówił o rzeczach obojętnych do ludzi obcych, a w głosie czuć było drzenie i nieugaszony gniew jeszcze.

Zastawiono stół, nie tknął nic, napił się wody, kazał precz misy odnieść, wołając, że mu śmierdziały. W izbie skarżył się, że było duszno. Zbigniew oparty o ścianę nie odchodził.

Nie było to zapewne sprawą wypadku, że tegoż

wieczora, gdy król się go najmniej spodziewał, nadjechał biskup krakowski.

Był to człowiek jedyny może, którego król nie tając się z tem, obawiał. Samo jego przybycie, w którym domyślać się mógł pośrednictwa w sprawie królowej, nappełniło go trwogą. Biskup krakowski był surowym, nieprzyjaźnym Witoldowi, a królowej dosyć przychylnym. Walka z nim stawała się nieuchronną, a nigdy jeszcze z żadnej z nich król nie wyszedł zwycięzko.

Pomiędzy chwilą, gdy oznajmiono przybycie biskupa, a przyjściem jego do Jagielly, upłynęło dosyć czasu. Zajechał na probostwo, mógł widzieć się wprzód z królową, wszystko to niepokoiło winowajcę.

Z tem spokojnem obliczem, które nigdy ziemskiej namiętności nie dało się ująć i malowało niezachwianą pogodą twarzy, Zbyszek wieczorem wszedł do króla.

Znalazł go niegniewnym już, ale przybitym, znękanym, bolejącym. Z pośpiechem chciał Jagiello wypowiedzieć naprzód wszystko przed swym pastorem, który mu usta zamknął stanowczem.

— Wiem o wszystkim, miłościwy panie. — Spojrzeli sobie w oczy, Jagiello nie wytrzymał wzroku, upokorzony siadł na ławie.

— Stało się wielkie złe—odezwał się biskup chłodno—potrzeba je naprawić.

— Królowa jutro wyjedzie na Litwę—odparł Jagiello.—Odsyłam ją Witoldowi.

— Zapisalibyście wyrok na siebie nie na nią — odparł Zbyszek powolnie.—Mam nadzieję, że się to postanowienie zmieni.

— Nigdy, nigdy!—wyjąknął król pośpiesznie.

— Zatem i tego, któremuście chcieli zapewnić koronę—rzekł biskup—należy odesłać Witoldowi i wyrzec się jej dla krwi waszej... Sromota padnie na dziecię, na was, na to królestwo wasze, a sromota

niezasłużona, kara bez winy, bo królowa jest niewinna.

Zerwał się król z gniewem wielkim.

— Jakto niewinna! Są dowody!

— Żadnych niemal—odparł śmiało biskup!—Widziałem ochmistrza królowej, męża nieposzlakowanej czci, który przysięgą gotów jest zupełną niewinność spotwarzonej nieszczęśliwej pani stwierdzić.

— Tak—wybuchnął Jagiello—umiała was wszystkich ująć sobie, przebiegła niewiasta. Służyli jej na dworze wszyscy, zakrywali.

Biskup słuchał nie przerywając, tak najmnieszego nie ukazując poruszenia, jak gdyby do wyrazów zagniewanego pana nie przywiązywał żadnej wagi.

Dawszy nieco ochłonąć Jagielle, biskup począł zwolna.

— Nikt lepiej nie zna Witolda nademnie. Pan jest wielkich przymiotów, ale gwałtowny i samowolny. Sołą w oku była mu ta królowa, która nie chciała być jego służebnicą. Pomnijcie, miłościwy panie, iż nie pierwszy on wam gwałt zadaje. Od innych myśmy cię starali się ochronić, od tego też jest obowiązkiem naszym bronić cię. Są niepowetowane już szkody, lecz czas choć ostatecznej sromocie zapobiedz.

Król mruczał niewyraźnie, ale nie odpowiadał biskupowi i w oczy mu nie śmiał spojrzeć, burzył się jeszcze w sobie i nagle powstał.

— Nie mówię już nic, gdy mi w sprawach państwa swoją wolę narzucacie, wy i inni, odczuwał się—ale to domowe są moje rzeczy, w tych ja panem; słuchać nie będę nikogo... Uczynię co zechcę.

— Ja, jako kapłan i stróż sumienia odzywam się do was—rzekł Zbyszczek.—Sami będziecie żałować porywczości waszej i uległości Witoldowi. Królowa jest niewinna, lecz gdyby nawet istotnie wina ciążyła na nią, ojcu rodziny i królowi przystałoby ją przed narodem ostonić dla czci domu, a nie czynić ją jawną. Na Boga...

Cheiał mówić, Jagiełło mu przerwał porywczo:

— Nie mówcie o tem, proszę, dosyć mam utrapienia.

Na tem skończyła się rozmowa z biskupem, która, choć się zdawała bezskuteczną, wiedział Oleśnicki, iż zostawiony sam sobie król, pod wpływem jej, może zniknąć. Trzeba mu było dać czas do rozmysłu.

Były oprócz tego mnogie inne sprawy, zmarł był niedawno ulubiony królowi, mąż siostry jego Aleksandry, Semko mazowiecki, po którym liczne, niemal na rękach Jagielly wypiaستowane zostało potomstwo. Zagadnął biskup o nie króla i oderwał myśl jego od własnego bólu, mówiąc o pozostałej wdowie. Potem rachunki z żup, o których ściśle sprawdzenie chodziło, napomknął. Jagiełło ostygl.

Gdy się to działo w jednej połowie Medyckiego dworu, na drugiej królowa przechadzała się płacząc, bo jej łzy nie osychały, narzekając, oburzona tem, że ją na łup zemście Witolda wydać chciano. Czula ona, że raz wygnana do Litwy, już więcej powrócić nie mogła do Krakowa, a gdyby nawet wyrwała się z niewoli, dawnego stanowiskaby nie odzyskała.

Z rozkazu króla przygotowywano do podróży wszystko, a ludzie uprzedzeni byli, iż na Litwę odwieść mieli Sonkę. Rozstanie z dziecięciami, które zostawało w Krakowie, dodawało boleści.

Femka napróżno chodziła za nią, głaszcząc, ciesząc i poddając myśli różne; nawet tę najdziwniejszą, aby o opiekę zwrócić się do stryja, który w Wiaźmie siedział, a o krew swą upomnieć się był powinien. Lecz odważyłżeby się on przeciwko wszechwładnemu Witoldowi wystąpić?

Wieczorem biskup czuł się w obowiązku przyjść pocieszyć królowę. Nie śmiał on jej przyrzekać nic, lecz z mowy zmiarkować było można, iż do chwili ostatniej nie stracił nadziei przełamania króla.

Cała noc upłynęła we łzach i gorączkowych przygotowaniach do tej nieszczęsnej podróży. Królowa

kłaść się nie chciała, padała na łożo, spoczywała na niem zmęczona osłabieniem, zrywała się wybuchając nowym płaczem i tak doczekała wczesnego poranka wiosennego.

W podwórzu ruch się obudził o brzasku... Zaczęto wozy zaciągać, skrzynie ładować, konie prowadzić do wodopojów, wybierać ludzi, wynosić rzeczy. Gwar w przedsieniach nie dawał już spoczywać.

Król, jak zwykle, choć przebudzony, nie rad z pościeli wstawał, a dnia tego może, nie chcąc się spotkać z królową, umyślnie zależał.

Po kilkakroć czeladź swą posyłał z niecierpliwością dowiadywać się czy wszystko było w gotowości do wyjazdu, zdawał się przynaglać, aby od ciężaru tego uwolnić.

Tymczasem biskup raniutko mszę odprawiwszy w kościółku, nim królowa wyruszyć mogła, zjawił się we dworze i wszedł niezapowiedziany do sypialni królewskiej.

Idąc do niej przez otwarte okna mógł słyszeć jęki i płacz biednej skazanej, dla której oddanie Witoldowi było śmierci wyrokiem.

Wzruszył go aż do gniewu niemal neliłościwy upór króla.

Nachmurzony, z brwiami ściągniętymi przystąpił do łoża Jagielly... Tuż było okno, które ręką otworzył gwałtownie.

Wśród chwilowej ciszy, płacz i zawołania Sonki i jej dworu słyhać było wyraźnie.

— Słuchaj, miłościwy panie—zawołał—tych jęków i płaczu. Twoje okrucieństwo je wyciska... Królowa, żona twoja, łzy leje skrzywdzona i osławiona przez ciebie... Łękaś się uroków, złego oka i czarów, a sądzisz, że Bóg ci tego nie policzy i nie ukarze... Łzy te padają na szalę grzechów twoich...

Król podniósł głowę, słuchając osłupiony. To porównanie łez do czarów, których się obawiał, podzia-

łało na niego. Blade, pomarszczone ręce, które trzymał na okryciu łoża, załamał z całych sił.

Zmienionym głosem—odezwał się do Biskupa.

— Witold, Witoldowi.

Zbyszek wybuchnął.

— Książę Witold jest waszym lennikiem, nie wy jego!! Ulegać mu jest sromem, królowę mu poświęcić, sławę swoją i domu... byłoby słabością... miłościwy panie... czas jest jeszcze... błagam cię...

Chwilę trwało milczenie, złamanym głosem naostattek Jagiełło dodał.

— Niech więc jedzie do Krakowa... niech siebie i mnie stara oczyścić... ale widzieć jej teraz nie mogę.. Biskupowi się twarz rozjaśniła.

— Bogu niech będą dzięki — rzekł—zawszem liczył na to, że wam serce i sumienie nie dopuści popełnić niesprawiedliwości.

Po twarzy starego króla dwa ciche strumienie łez płynęły marszczkami i tonęły w fałdach twarzy...

Biskup wyszedł natychmiast.

Królowa w odzieży podróżnej, blada przechadzała się po izbie, a krok w krok za nią, stapała Femka. W progu płakały dziewczęta; czeladź chodziła niema, w obec tej boleści przemówić nie śmiejąc.

Zwróciła się Sonka ku biskupowi, jakby od niego promyka nadziei oczekiwała.

— Przynoszę wam, miłościwa pani — odezwał się Zbyszek — choć małą pociechę w tem nieszczęściu. Król przyzwala na to, abyście do Krakowa powrócili.

Ledwie usłyszawszy tych słów, z radośnem wykrzykiem Sonka rzuciła się całować ręce biskupa. Wszystkie męztwo stracone jej powróciło, oschły oczy, otucha w serce wstąpiła. W Krakowie ona mogła znaleźć przyjaciół i obrońców.

W mgnieniu oka wieść o tem rozeszła się z ust do ust. Marszałek Zbigniew wyszedł też sam ją potwierdzić, dając rozkazy stanowczym, woźnikom i dworowi... We wszystkich radość była niezmierna.

— Do Krakowa! do Krakowa! — powtarzano sobie...

Dodał biskup radę, aby królowa nie widząc się już z mężem, natychmiast puściła się w podróż, zapobiegając jakiemuś nieprzewidzianemu wypadkowi, któryby na Jagielly postanowienie mógł wpłynąć.

Ochoczo natychmiast dwór się zbiegł, do wozów, do koni i pobłogosławioua przez biskupa, który ją ocalił, Sonka wyruszyła z powrotem tąż drogą, którą niedawno przebywała tak wesola.

W podróży tej zaraz pierwszego dnia, Femka dowiedziała się, nie mówiąc o tem swej pani, iż Hincza z Rogowa, pochwycony został w ucieczce, a Jaszko z Koniecpola i dwaj Szczekocińscy uszli szczęśliwie.

Najsrożej obwinionym był Hincza, bo do niego Strasz miał największy żal i oczernił go, a okłamał wielce. Winny czy niewinny, wnosili wszyscy, że gardło dać będzie musiał za to, iż podejrzenie ściągnął na królowę.

Femka przez całą drogę usiłowała się wywieść, gdzie nwięzionych zaprowadzono, lecz o tem nikt nie był świadom jaki los ich spotkał.

W drodze płakała królowa ciągle... ale chwilami lzy jej osychały, a myśl pracowała nad tem, jakby zwyciężko z tej walki z potwarzą wyjść mogła. Moc ducha powracała, liczyła przyjaciół, na których rachować, ludzi, na których świadectwie oprzeć się mogła. Na czele ich stał ochmistrz Nałęcz Malski.

Poważnych niewiast wiele, które na zamku nieraz, czasu zabaw bywały, żony senatorów i ich córki mogła wezwać na świadectwo, z samych domowników i urzędników na zamku liczba wielka, nie pozyskana dla królowej, a przyjazna Sonce, przysięgą oczyścić ją pcwnieby nie odmówiła.

Zeznania dwóch biednych, strwożonych dziewcząt Kasi i Elży Szczukowskich, gdyby mękami na nich wymożono fałsze, nie mogły przeważyc świadectw ludzi poważnych i szanowanych powszechnie.

Nie wątpiła królowa, iż powszechne oburzenie musi obudzić potwarz Witolda i mściwe jego względem niej postanowienie. Książę liczył w Polsce popleczników i oddanych sobie ludzi, więcej jeszcze takich, którzy się go obawiali, lecz młodości nie miał u nikogo.

Prędzej teraz, nagłona przez królową podróż z powrotem przyprowadziła pod mury Wawelu. Sonka przybyła tu wieczorem, i zaciągnęła na zamek tak cicho, iż nazajutrz dopiero dowiedziano się w mieście o jej przyjeździe.

Poprzedziły tu ją wieści sprzeczne, przesadzone, uwłaczające jej, tak, że zdziwiono się, iż nie na Litwę, ale do Krakowa odesłaną została.

Znacząco to, iż w sprawie, mianej już za straconą, zaszła zmiana szczęśliwa.

Ciekawość podbudzoną była, zaglądano na zamek, ale królowa chora, upokorzona, smutna, w obawie jeszcze tego co Szczukowskie powiedzieć mogły, lub co na ich rachunek skłamać mogli słudzy Witoldowi nie przyjmowała i nie widywała nikogo. Mszy słuchała w kapliczce zamkowej, nie wychodziła za próg drzwi zaparła jak w klasztorze.

Nie była przecież bezczynną, gotując się do uroczystego zmycia z siebie tej plamy, jaką rzucono na nią. Ochmistrz Małski rozpoczął starania o to. Poważny zastęp osób ofiarował przysięgę... Czekano tylko, ażeby król powrócił, ostygął i dał się przedjednać.

O to starać się miał Oleśnicki.

Hincza z innemi razem zaprowadzony do więzienia, niezręcznem pokuszeniem się o ucieczkę, sobie i królowej zaszkodził. Lecz wprędce wzięty po raz drugi, odesłany został do Chęcín, z rozkazu króla zagniewanego nań wielce, i wrzucony do tej strasznej ciemnicy na wieży, w której głodową śmiercią skończył Borkowicz.

Z wilgotnego tego podziemia, do którego światło i powietrze z góry tylko dochodziło przez szpary kłapy, zamykającej je, mało kto żywym wychodził. W ziemie przez litość spuszczano tam czasem garnek węgla, aby skostniałe ciało mógł więzień cokolwiek rozgrzać, lecz one otaczającej nie mogły osuszyć zgnilizny.

Ci, których ztąd uwalniano nie odzyskiwali już sił i zdrowia...

Wesoły i ochoczy Hincza, był może pierwszy z zamkniętych w Chęcińskiej wieży, co nie stracił zupełnie nadziei, ani ochoty do życia. Młodość i nawyknięcie do niewczasów trzymały go na nogach, krzepiły, a duch mocen nie dawał ciału marnieć.

Zwolna dopiero, po upływie miesięcy, nieszczęśliwy więzień począł omdlewać i tracić otuchę; do ostatka przecież jedno powtarzał niemym ścianom ciemnicy.—Żywli wynijdę, nie spocznię i nie odetchnę, póki tu Strasza na miejsce moje nie posadzę!

Nie wątpił Hincza, nie kto inny tylko Strasz Witoldowi zaniósł do uszu te potwarze, a choć siedział na dnie, zaparty drzwiami z góry, które się raz tylko odmykały, potrafił jednak jakimś sposobem cudownym, dać znać królowej, iż nie na kim innym krzywdy swej poszukiwać była powinna, tylko na Straszku.

Inni też się domyślali, bo właśnie w tej porze zniknął i nierychło, jak gdyby u siebie tylko w Białaczowie bywał, zjawił się na służbę do królowej Jadwigi.

Ale tu wiedziano już jaki obrót przybrała sprawa królowej, i jakie na niego padło podejrzenie, znalazł więc przybywszy zimno bardzo przyjęcie i nikt z nim przestawać nie chciał.

Niedługo więc pobywwszy przestraszony, widząc, że prędzej, później zemsta go nie minie, Strasz jak się tu okazał niespodzianie, tak równie skoro zniknął.

Cała nadzieja była w tem, że Szczukowskie,

które Witold miał kazać badać, ze strachu królowę swą obmówią i jego potwarz potwierdzą.

Z obawą królowa oczekiwała o nich wiadomości. Stało się jednak inaczej niż przewidywano. Rachował Witold na to, że siostrzenicę król mu na łaskę zda i odeszle. Gdy go wieść doszła, że królowa powróciła do Krakowa i o wyprawieniu na Litwę mowy nie było, wstrzymał się książę od ostatecznych kroków, widząc, że Sonka znajdzie w Polsce obrońców i środki oczyszczenia się od potwarzy.

Poprzestał więc na tem, że Szczukowskie obie na dworze księżnej Julianny zatrzymał, a sam usprawiedliwiał swe wystąpienie tem, iż mu Strasz z Białaczowa przyniósł te powieści o życiu na Wawelu i imiona winowajców. Cebulka i Małdrzyk imię jego powtarzali, na niego zwałając wszelką winę.

Przewidzieć już było można zwycięztwo królowej, po za którą stały panie jej dworu, urzędnicy, małżonki senatorów i grono ludzi powszechnie szanowanych... W jesieni, dziecię boleści, przyszedł na świat drugi syn Kaźmirz, którego biskup krakowski Zbyszek, w ciszy i bez owych uroczystości jakie chrzynom pierworodnego towarzyszyły, ochrzcił na Wawelu.

Oczekiwano tylko przyjscia do zdrowia i sił królowej, aby ona wraz z obrońcami swemi stauąć mogła przed najdostojniejszymi panami radą i przysięgą zmyć z siebie potwarz niepoczeiwą.

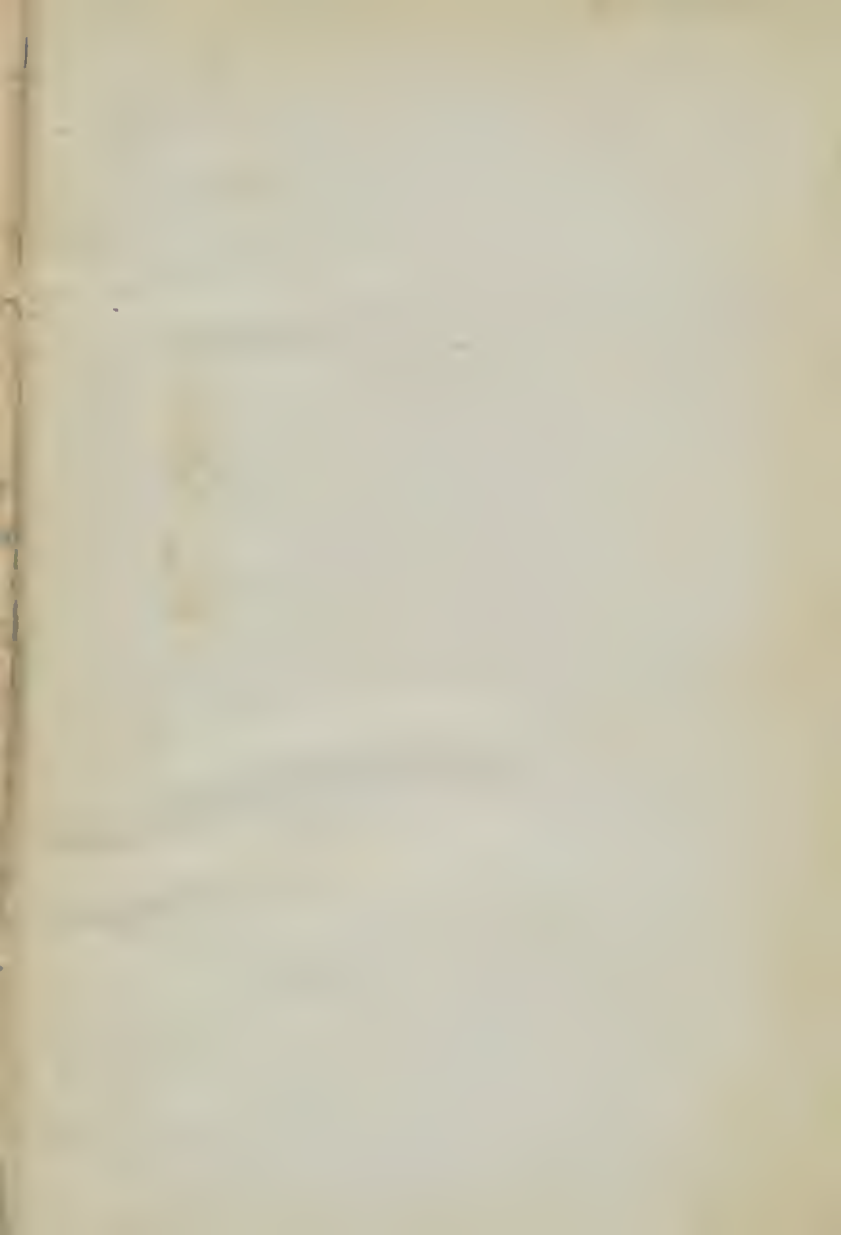
Jagiello nie pokazał się w Krakowie, sromął swej lekkomyślności, gniew jego zmienił się w żal i zgryzotę sumienia. Nie chciał się uznać, ale czuł się winnym. Truło mu to życia ostatek. Zakopywał się w lasach, unikał ludzi.

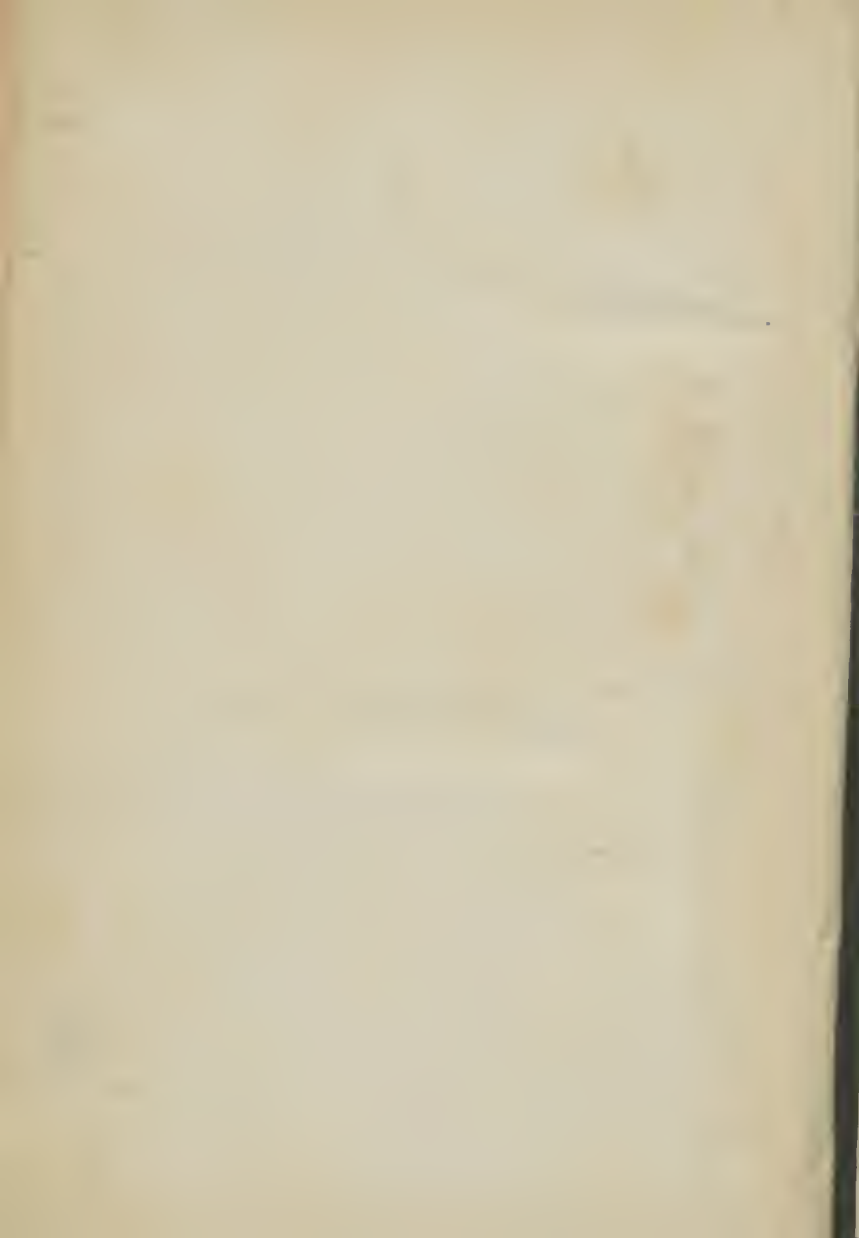
Przewidzieć jednak było można, iż wkrótce zbliży się do Sonki, która wszystko gotową była przebaczyć jemu, ale nie Witoldowi. Żadna odgródka i przechwałka z ust jej nie wyszła, milczała poważna

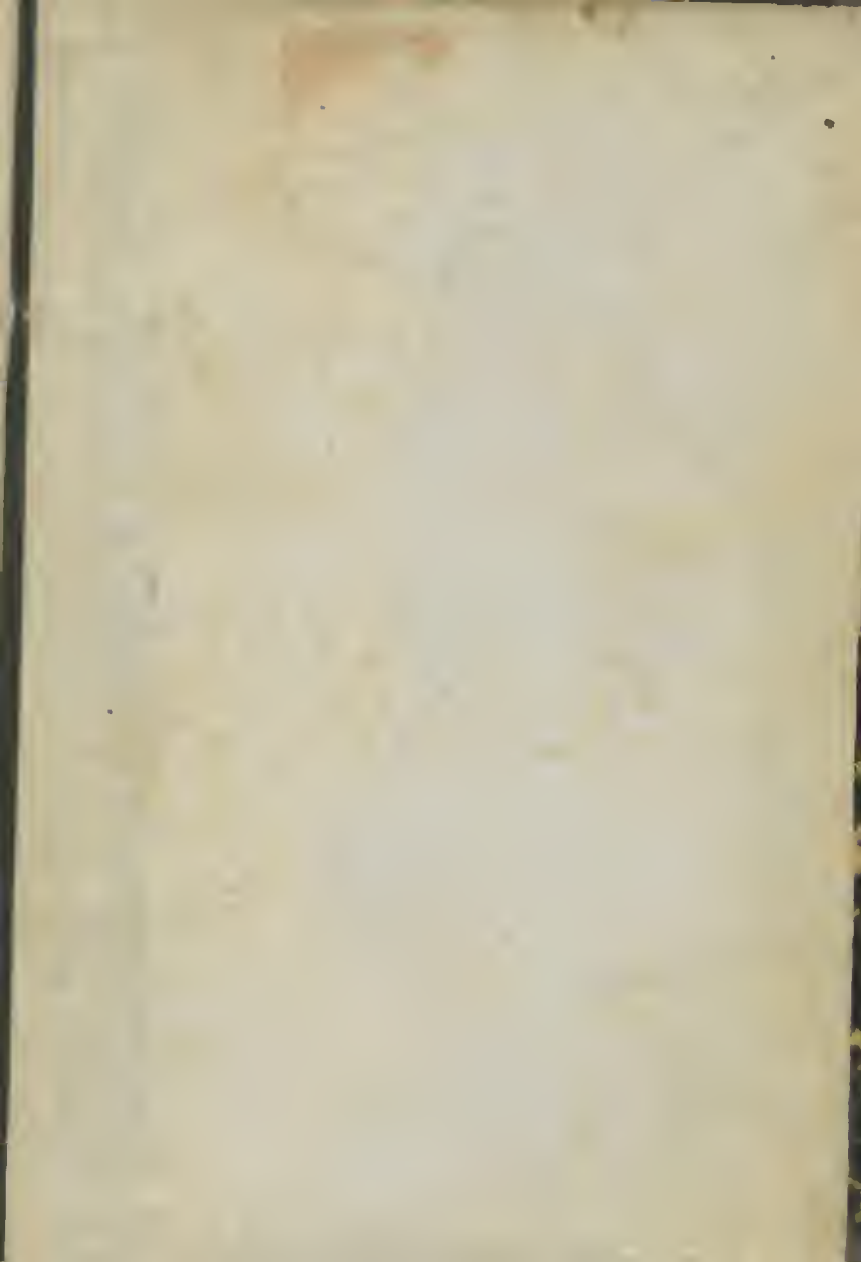
i smutna, ale patrząc na nią, można było odgadnąć, że na dnie jej duszy gromadzą się zasoby siły, do nowej walki z nieprzyjaciół, z życiem, ze światem...

Los dwu synów był w jej rękach i na zranionem sercu.

KOŃIEC TOMU PIERWSZEGO.







Biblioteka Raczyńskich

JK 571



JK0571